

OBÓZ

*Spójrz na przykład, na Evansów.
- Oparł się w fotelu, otoczony mgiełką tytoniowego dymu, dumny ze swego dopiero rodzącego się sukcesu. - Inteligencja poniżej przeciętnej, piwo, mozolna praca i piłka nożna dla niego, a dla niej odmładzające kosmetyki i marzenia o ekscytującym romansie. Ich połączone fantazje stworzyły Nową Epokę Lodowcową. Dalej, para hippisów rozmyślnie przebywających na społecznym dnie, klasyczny masochizm. Ona staje się dziwką, a on więzi ją. Kombinacja kanabinolu i C-551
A teraz Beebee... jak zareaguje, po porzuceniu go przez dziewczynę? Czy będzie się starał zdobyć inną kobietę, czy też skaże się na samotność?*

- To jest okropne! - Nie mogła opanować swego obrzydzenia i strachu.

- Jeśli cokolwiek się stanie..."

Phantom Press International prezentuje następujące książki Guya N. Smitha:

DZWON ŚMIERC I

DZWON ŚMIERC II. DEMONY

WYSPA

cykl KRABY

I. NOC KRABÓW

II. ZEW KRABÓW

III. KLESZCZE ŚMIERC I

IV. POWRÓT KRABÓW

V. ODWET

VI. POŚWIĘCENIE

TRZĘSAWISKO

TRZĘSAWISKO II. WĘDRUJĄCA ŚMIERĆ

PRAGNIENIE I. SYMPTOM

PRAGNIENIE II. PLAGA

MANIA

SZATAŃSKI PIERWIOSNEK

WĘŻE

OBÓZ

oraz cykl SABAT

GUY N. SMITH

OBÓZ

Przełożyła
Beata Stępień

PHANTOM PRESS INTERNATIONAL
GDAŃSK 1991

Tytuł oryginalny

The Camp

Redaktor

Roman Głowinkowski

Opracowanie graficzne

Maria Dylis

Projekt okładki

Radosław Dylis

© Guy Smith Associates 1989

© Copyright for the Polish edition

by PHANTOM PRESS INTERNATIONAL

GDANSK 1991

PRINTED IN GREAT BRITAIN

Wydanie 1

ISBN 83-85276-97-1

*Pamięci WENDY TRIPP,
jak obiecałem.
Wiem, że to by ci się spodobało.*

Rozdział pierwszy

- Nastaw czajnik - rzucił żonie Billy Evans, przeglądając rozłożoną na kolanach gazetę z zapowiedziami imprez i widowisk rozrywkowych. - Zrób herbatę i zastanowimy się, co robić.

Valerie podeszła do kuchenki. - Filiżanka herbaty nie rozwiąże problemu, ale możemy od tego zacząć - odpowiedziała niepewnie.

Odchrząknął i powrócił do gazety. Sprawiał wrażenie, że miał trudności z czytaniem; mrugał oczami, potrząsał głową.

- Powinieneś znowu iść na badanie. - Żona postawiła czajnik na kuchence i przyglądała mu się uważnie. Ostatnio zestarzał się bardziej, niż mogła się tego spodziewać. Jego siwe włosy robiły się coraz rzadsze, pewnie wyłysieje za rok czy dwa. Przybrał również na wadze, choć nie rzucało się to w oczy, gdyż miał na sobie gruby popielaty płaszcz i obwiązywał się zakrywającym podwójny podbródek szalikiem. Wyglądał na spoconego, mimo że było to niemożliwe przy tej temperaturze. W kaloszach jego nogi sprawiały wrażenie ogromnych, a grube skarpety przypominały te, które nosił jej chory na podagrę ojciec. Próbowwała sobie przypomnieć jak wyglądał dwadzieścia lat temu. Nie potrafiła; wspomnienia tamtych dni były już bardzo mgliste. Martwiły ją coraz większe luki w pamięci.

- To niemożliwe - odrzekł po nieskończonej długiej chwili.

- Co? - Zapomniała, o co go wcześniej zapytała, jakby to nie było już istotne.

- Wizyta u okulisty! - W jego głosie wyczuwało się irytację. Wszyscy wyjechali na południe.

- Ach, tak, rzeczywiście. - Była rozkojarzona. - Zapomniałam.

Valerie była młodsza od męża o dziesięć lat i ta różnica wieku wydała jej się teraz oddzielającą ich otchłanią. Była wysoka i szczupła, zdecydowana podjąć każdy wysiłek w walce ze zbliżającą się starością. Ukrywała pierwsze zmarszczki pod warstwą kosztownych kosmetyków. Na szczęście nie miała problemów z wagą, utrzymywała ją na tym samym poziomie od dwudziestych pierwszych urodzin. Nie piła, pozwalała sobie jedynie na okazjonalnego papierosa. Czasami zastanawiała ją, że Billy tak długo znosi związek małżeński. Kiedyś myślała, że może ma potajemny romans z inną kobietą. Ale nie, nie on, to byłoby dla niego zbyt kłopotliwe.

Boże, jakże ją to wszystko drażniło. Ten dwu pokojowy domek

wyglądał jak kwatery w koszarach z lat pięćdziesiątych. W drewnianej ścianie widniała zalepiona gipsem dziura. Tanie meble, łóżko i krzesła wymagały oczyszczenia, lichego stół pełen wyłobień i zadrapań również był do niczego. Mimo wysiłków nie można było otworzyć okiennic, więc pokój był ciemny i trzeba się było zadowolić światłem elektrycznym. W takiej scenerii zewsząd otaczały przynębionego człowieka koszmary. Kobieta bez przerwy sprawdzała, czy wszystkie guziki jej płaszcza są zapięte; pod nim nosiła jeszcze grubego sweter. Trzęsąc się z zimna nie odchodziła od kucharki, jedynej źródła ciepła.

- Proszę, to dla ciebie. - Nalała filiżankę mocnej, ciemnej herbaty. Niosąc ją do stołu wylała trochę na spodek. Nie zauważył tego tylko dlatego, że miał kłopoty ze wzrokiem. Była to jedna z niewielu rzeczy, których rygorystycznie przestrzegał. Bardzo często robił awantury przy kawie, żądając czystego spodka. Pił, głośno przelżykając, wpatrzony w przechylny ekran telewizora. Podłoga była nierówna. Pod tylną nogę stolika podkładali książkę, która teraz gdzieś się zapodziała, ale nie zamierzali jej szukać. Doszli do takiego stanu, w którym rozwiązanie najprostszego zadania nie jest już warte zachodu.

- Posłuchajmy prognozy pogody - mruknął Billy.

- Nie możemy, telewizor nie działa.

- Powinniśmy więc... - Jego oczy na moment pojaśniały, jakby nagle spadła z nich zaćma. - Nie, nie możemy, prawda? Przecież mechanik także wyjechał na południe.

Cisza. Żadne z nich się nie odzywało. Oboje wiedzieli, że wszystko zostało już powiedziane. Przenikliwy chłód utrudniał myślenie, odrętwiały mózg nie funkcjonował prawidłowo. Jak silnik samochodu w zimny poranek.

- Jak długo tu jesteśmy. Val? - zapytał ją w końcu.

- Ja... nie wiem - zagryzła wargi. - Myślę, że kilka lat. Po tym jak opuściliśmy Primrose Hill w Cradley,... albo Brierley Hill. Wiesz, ja naprawdę nie mogę sobie przypomnieć. To było przed, czy po tym, jak cię zwolniono, Billy?

- Niech to diabli, jeżeli pamiętam. - Potarł w zadumie brodę dużymi, stwardniałymi od pracy palcami. - Popatrz, jak ten czas leci. Zwolniono mnie i dlatego musieliśmy sprzedać Primrose Hill?

- Tak, tak mi się wydaje. - Chyba właśnie tak było. Przecież nie zamieniliby trzypokojowego domu w Czarnym Kraju na taki

chlew. To były lata wegetacji. Lata, które nie pozostawiły żadnego wspomnienia. - Będziemy musieli zrobić coś z tym miejscem w najbliższych dniach, pomyśl o tym. Albo wyremontować, albo sprzedać. A może i to, i to. Nie możemy zostać tu do końca życia.

- Teraz nasza kolej, by przenieść się na południe - wykrzywił usta. - Nic tu nie pozostanie oprócz trupów. Wiesz o tym równie dobrze, jak ja. Val.

Z trudem opanowała zawroty głowy, czuła się chora i słaba. To wszystko przerażało ją, szczególnie, że tego nie rozumiała. To, czego dowiedzieli się z ostatniego programu telewizyjnego, było wręcz niewiarygodne. Wydawało jej się, że oglądała te wiadomości kilka lat temu, choć równie dobrze mogło minąć dopiero kilka dni. Zamiecie, zasypane śniegiem miasta i wioski. Ludzie, przedzierający się przez zasypy wyglądali jakby brali udział w ekspedycji antarktycznej, niektórzy mieli przywiązane do butów rakiety tenisowe. Wyglądające jak białe garbate duchy, opuszczone samochody wkrótce wszystkie całkowicie zostaną pogrzebane pod śniegiem. Na zawsze, ponieważ on już nigdy nie stopnieje. Jak to nazwały gazety? - "Nowa Epoka Lodowcowa."

Wszystko to jak żywe stawało jej przed oczami. Nieznany biały świat. Nie mogła sobie przypomnieć, który to port został zablokowany przez kłę. Ustawione wokół niego przez policję ogrodzenie miało długość mili. Zdesperowani ludzie uciekali przed "angielskim lodowcem" gotowi udać się dokądkolwiek, gdzie będzie choć o kilka stopni cieplej. Nie funkcjonował transport, więc zostawiali cały swój dobytek. Życie było teraz ważniejsze. Biegli, aż w końcu zamarzali. Temperatura cały czas spadała.

- Właśnie zdobyłem gazetę. Niewielu ludzi ma teraz gazety, zapewniam cię.

- Czy to dzisiejsza? - spytała automatycznie. Kiedy się nagle straci poczucie czasu jeden dzień niczym nie różni się od drugiego. Śnieg i lód dzisiaj, wczoraj i przedwczoraj. Wciąż to samo.

- Tak - odparł obojętnie. Jego oczy zaszkliły się za okularami, w których wyglądał jak niewidomy. Z trudem próbował czytać. - Posłuchaj tego, Val.

- Tak, słucham. - Ale tak naprawdę nie chciała już o niczym wiedzieć.

Nastąpiła pauza, w czasie której Billy Evans mrużąc i zmuszając do wysiłku łzawiące oczy, to przybliżał, to oddalał zmiętą gazetę

od twarzy. Odchrząknął. Litery zaczęły mu się rozmazywać.

- Poczekaj, niech spojrzę...

"Nowa Epoka Lodowcowa". - Valerie śmiało mogła odczytać nagłówek z miejsca, w którym stała.

- W porządku, przecież mogę sam przeczytać! - Rzucił jej pełne nienawiści spojrzenie. - Mrozy utrzymują się... i nic nie wskazuje na to, aby miały zelżeć. Ogromne kry lodowe tworzą się na rzece Severn. Zamknięte są niemal wszystkie szkoły w kraju, a główne drogi stały się nieprzejezdne. Amerykańskie Linie Lotnicze przewożą artykuły pierwszej pomocy, usiłując zorganizować przewóz osób na południe. Wszystkie południowe porty i dworce są przepełnione emigrantami, pozostawiającymi za sobą cały dobytek. Eksperci są pełni obaw, że odwilż może nie nadejść.

- Co za nonsens. - Głos jej zadrżał.

- W takim razie możesz sama przeczytać! - Podsunął jej gazetę.

- Jaka tu jest data ? Jestem pewna, że już mi to kiedyś czytałeś.

- Niech cię wszyscy diabli! - Jego oczy znowu zamglily się i poczuł silny ból głowy.

Valerie wzięła gazetę. - Zaraz sprawdzę, data jest u góry na pierwszej stronie. - Była, ale nie mogła jej odczytać. Litery zwały się z cyframi w niemożliwą do rozszyfrowania linię hieroglifów. Tam, gdzie papier był mokry, powstały atramentowe plamy i pofalowany nagłówek przypominał węża.

- No, i co ?

Rzuciła gazetę na stół, a ta spadła na podłogę. Poczula jak ogarnia ją histeria i z trudem starała się ją opanować.

- Wszyscy wynoszą się za granicę - dodał zmęczonym głosem i zamykając oczy rozparł się w fotelu. - Ktokolwiek pozostanie w Anglii zamarznie w tydzień lub dwa. A jeżeli nie zamarznie, to umrze z głodu, ponieważ w kraju nie ma już żywności. My też musimy jak inni przenieść się na inny kontynent, może do Afryki.

- Nie możemy sobie na to pozwolić. Tak czy inaczej - nie mamy paszportów. Byliśmy tylko raz za granicą, w Belgii, w ten weekend tuż po ślubie.

- Nie potrzebujemy pieniędzy, ani paszportów. To jest ewakuacja. Jeżeli tylko będą mieli miejsce na pokładzie, wezmą nas.

- Jeżeli! Nie jestem pewna, czy chcę wyjeżdżać, Billy.

- Więc zostań, do cholery. Ja w każdym razie wynoszę się stąd. Zaciśnęła wargi, by się nie rozplakać. To już nie był jej Billy,

zachowywał się jak ktoś zupełnie obcy, bezduszny, obojętny. - Ale każdej zimy pada śnieg, który zawsze potem topnieje. - Jak tonący, chciała złapać się czegokolwiek. - O Boże, jakże chciałabym się dowiedzieć jaka tam była data.

- Eksperci orzekli - Billy z zamkniętymi oczyma recytował jak-by znał ten tekst na pamięć - że po czternastu ciężkich zimach mogła się pojawić "Nowa Epoka Lodowcowa". Ta zima rozpoczęła się w listopadzie i przy końcu kwietnia jeszcze nie zanosi się na odwilż. Każda następna zima staje się coraz dłuższa, nie zapowiada się, aby ta miała się w ogóle skończyć. To są słowa ekspertów.

- Billy, ja się boję. - Uczyniła gest, jakby chciała się do niego przytulić, może usiąść na kolanach, wyciągnęła do niego ręce, ale zaraz je cofnęła. Wiedziała, że mógł ją odepchnąć.

Jego powiększone szklami wielkie zabie oczy nagle otworzyły się i błysnęły na nią ze złością. - Na rany Chrystusa, kobieto, nie wpadaj w panikę. Uratujemy się. Spakujemy tyle, ile możemy unieść, przygotujemy zapas żywności i poszukamy schronienia.

- Umrzemy! - niemal krzyknęła, uderzywszy pięścią w blat stołu. - Każdy się zgubi w tych okropnych zaspach.

- Już powiedziałem, jeżeli chcesz zostać, to zostań. Jak sobie życzysz. Ale nie zatrzymuj mnie, bo zamierzam zrobić wszystko, by dostać się do Dover. - Wstał i zaczął grzebać w stosie papierów leżących na stole. Wyciągnął pozaginaną mapę. - Najpierw wyznaczę trasę, a ty w tym czasie spakuj wszystko.

W zdumieniu patrzyła na rozkładaną mapę, na jednej ze stronik zauważyła nagłówek: "Mapa turystyczna Północnej Walii z trasami wycieczek".

- Billy, to nie jest...

^

- Czy mogłabyś się zamknąć! - Pochylił się nad mapą jak krótkowzroczny uczeń rozwiązujący zadanie z geografii. - Jak mam nad tym pracować, skoro ciągle się wtrącasz. Nie mogę się skupić.

Zamilkła. Czasami coś niedobrego działo się z jej mężem, ale udawała, że tego nie zauważa. Jak to nazywano... częściowe otępienie, nie przy pięćdziesiątce! A może coś gorszego, jak guz na mózgu. Chciała wybiec z krzykiem na poszukiwanie lekarza. Miała wrażenie, że usłyszy teraz kpiący głos Billy'ego: "Tracisz czas, wszyscy lekarze również wynieśli się na południe."

To było jak zły sen i bardzo chciała się już obudzić. Nawet jeżeli naprawdę znajdują się w wilgotnej chacie, a na zewnątrz śnieg sięga

okien, to niedługo stopnieje i życie znów będzie normalne. Nudne, ale bezpieczne.

- Lepiej zacznij już to pakowanie, chyba że chcesz, abym to także zrobił za ciebie - rzucił jej pogardliwym tonem i wrócił do swojej mapy.

- Dobrze. - Głos jej drżał. - Musimy znaleźć jakieś torby.

- Weź trochę herbaty, bez której nie możemy się obejść, trochę rosółu i tego czarnego salcesonu, jeśli jeszcze został jakiś kawałek.

Kiwnęła głową. Czy on ma zamiar po drodze szukać chrustu ? Zaczęła przeszukiwanie małej szafki na żywność, dziwiąc się jak dotąd wytrzymała bez przyzwoitej spizarki.

Zauważyła, że stało się z nimi coś niedobrego. Popadli w nawyki, które zaczęły ich dzielić. Ona mu prała, gotowała, przygotowywała drugie śniadanie, gdy wychodził do pracy. Nie zdawała sobie sprawy, jak rutyna zaczęła wkradać się do ich życia. Billy nie widział w tym nic złego. Robił to samo, co jego ojciec i dziadek; w dzień produkował łańcuchy, a w nocy szedł do baru. Doszło jednak do tego, że popyt na łańcuchy zmałał i zaczęło im brakować pieniędzy. Nie mieli dzieci, więc sprzedali dom,... niech to, nie mogła sobie tego przypomnieć. Miała wrażenie jakby przez całe lata sie dzieli w tej zimnej norze. Może nigdy nie mieli domu.

Gdyby miała dzieci, może wszystko potoczyłoby się inaczej. Łzy spływały jej po policzkach. Trzymała twarz na wprost szafki mając nadzieję, że jej mąż nic nie zauważy. On nic nie rozumiał, od początku nie chciał mieć dzieci. "Dość jest na świecie tych krzyżujących dzieciaków. Val, nie musimy ich pomnażać. Mając dzieci nigdy nie mielibyśmy pieniędzy, bo byś mi je wciąż zabierała."

Zabawne, że teraz słyszała dziecięce głosy. Próbowała stłumić szlochanie, by słyszeć lepiej. Nie była pewna, krzyki i śmiech dochodziły z daleka, może od drogi do Cradley, na której dzieci grały w piłkę. Zaraz piłka uderzy w okno, a Billy otworzy drzwi i krzyknie na nie. Nie miała nic przeciwko piłce, gdy grały w nią dzieci. Ale nienawidziła tych niedzielnych popołudni, gdy Billy wychodził na mecze. Tak tydzień po tygodniu; w domu herbata, potem "Różowa Jedyńka" i wizyta w barze. Samolubny drań, nie rozumiał potrzeb kobiety. Wyprostowała się i spojrzała ze smutkiem w lustro. Stała biała, z podkrążonymi oczami. Rozpuszczając kosmyki długich ciemnych włosów zastanawiała się, czy można je jakoś podkreślić. Do licha, ciągle była młoda. Billy Evans, ty draniu, przy

pierwszej lepszej okazji znajdę sobie innego mężczyznę.

Wciąż słyszała bawiące się gdzieś dzieci. Odchyliła firankę by wyrzec na zewnątrz. Zawahała się, bo przecież śnieg oblepił na pewno już całe okno. W jej oczach zamigotała iskierka nadziei.

Spojrzała w okno, ale szyby były nieprzezroczyste.

Na dworze w promieniach słońca grupka dzieci bawiła się kolorową piłką plażową.

Rozdział drugi

Przypadkowy obserwator mógłby uznać tańczącą na zatłoczonym parkiecie parę za ojca z córką. Jednakże mężczyzna trzymał dziewczynę zbyt blisko siebie, tulił ją raczej, niż prowadził w walcu. Oboje zapatrzeni w siebie obejmowali się zuchwale i uśmiechali znacząco, rozumiejąc, że nie wypada im całować się publicznie.

Profesor Anthony Morton, wysoki szpakowaty mężczyzna, wyglądał jakby właśnie doszedł pięćdziesiątki. Teraz pochyłał się i szeptał partnerce coś na ucho, na co ona odpowiadała śmiechem. Jego kosztowny, błyszczący garnitur wyróżniał go spośród innych gości. On sam poruszał się lekko, z wdziękiem kierując mniej doświadczoną dziewczyną.

Anna Stackhouse bez przerwy uśmiechała się myśląc kroki. Jej starannie wypielęgnowane długie, ciemne włosy falowały lekko przy każdym ruchu wiotkiego, ukrytego w długiej wieczorowej sukni ciała. Spoglądała wokół siebie wzrokiem pełnym dumy, ale i niepewności. Dumna była z tego, że ten wysoki przystojny mężczyzna był jej kochankiem, lecz bała się, iż zbyt nierozsądne mogło być z ich strony pokazywanie się razem w miejscach publicznych. Możliwe, że te obawy były bezpodstawne, gdyż nikt z czasowiczów ich nie znał. W najgorszym wypadku ktoś mógłby go wziąć za słodkiego ojczulka, który poza domem zabawia się uwodzeniem młodych dziewcząt. Nikt nie powinien wiedzieć, że jest jego osobistą asystantką. Rozwiedziony mężczyzna, gdy zakocha się w młodej dziewczynie, jest jeszcze gorzej przyjmowany przez opinię publiczną, niż gdyby zdradzał żonę. Ona zaś wiedziała, że ich związek przetrwać może tylko pod warunkiem, że przebiegać będzie bez żadnych komplikacji.

Ośrodek czasowy "Raj" zbudowano na wybrzeżu walijskim wśród wielu innych, wcześniej założonych i współzawodniczących między sobą. Podstawowym zadaniem większości tych miejsc było dostarczanie gościom szeroko rozumianej rozrywki rodzinnej. Jak na brytyjski klimat było tu słonecznie. Skąpane w słońcu centrum hotelowe, baseny pływackie, zielone boisko do krykieta i do golfa. "W "Raju" zawsze gości słońce" - to slogan, rozpowszechniany przez agentów reklamowych firmy. Na trzeci sezon ośrodek zaplanował dodatkowo wiele zapewniających rozrywkę widowisk muzycznych.

Wśród gości istniały niezauważalne różnice klasowe. Średniej jakości domki i parkingi usytuowane były w dostatecznej odległości od apartamentów i domków luksusowych. To miejsce otwarte było dla każdego gościa, niezależnie od jego statusu społecznego. Bieda łączyła się z bogactwem w specyficzną całość i żywiono nadzieję, że nikt nie zauważy drobnych podziałów. Funkcjonowało to na tyle dobrze, że ośrodek był zawsze przepelniony i nikt nie składał oficjalnych zażaleń.

Anna nie była dobrą tancerką i nie lubiła głośniejszej muzyki, więc schodząc z parkietu poczuła prawdziwą ulgę. Miała lekkie zawroty głowy, ale starała się nie przywiązywać do tego wagi. Przy barze utworzyła się kolejka niecierpliwych klientów, wprawiających w zakłopotanie oszołomionego barmana. Aby zostać usłyszanym, Morton musiałby krzyczeć, więc tylko kiwnął przepraszająco głową i zabrał ją na drinka do siebie.

Jego domek stał niedaleko portierni. Był nieduży, ale dobrze wyposażony i wygodny. Przeznaczono go dla bardzo ważnych osobistości, gdyby któraś z nich chciała prznocować w obozie. Za kilka lat, gdy wyrosnie wokół niego świeżo posadzony żywopłot, będzie jeszcze bardziej odizolowany od innych. Pod witrażowym oknem utrzymywano mały, strzyżony dwa razy w tygodniu trawnik. By uchronić się przed domysłami personelu postanowili, że ona zamieszka w innym, mniej wytwornym domku. Ta niedogodność była w ich wypadku konieczna, a zadanie jakiego się podjęli

poparte było aprobatą zarówno administracji obozu, jak i rządu. Anna mówiła sobie, że to wszystko musi być legalne, skoro wiąże się z realizacją Tajnych Ustaw Rządowych. Wieść o tym, że odmówiła przyjęcia posady w laboratorium eksperymentalnym, prowadzącym doświadczenia na zwierzętach, mogła zrujnować jej karierę. To się nie mogło stać. Tony dał jej szansę, gdyby nie on, zrezygnowałaby z pracy w tym zawodzie. Jednakże interes, w który ją wciągnął, był tajny i wydawał się być brudny.

- Mówi się, że w miejscach takich jak te praktycznie nic się nie dzieje. - Tony Morton uśmiechając się podał jej martini z lemoniadą. - W tej gromadzie pięć tysięcy słoczonych jak bydło ludzi, oprócz kilku wakacyjnych przyjaciół, nikt nikogo nie zna. Również personel i kierownictwo ośrodka, gdyby nawet odkryli, że nie nocowałaś u siebie tylko tutaj, nie przywiązywaliby do tego wagi.

Anna zrozumiała, że było to zaproszenie. Spokojnie popijała

swojego drinka.

- Jeśli o to chodzi, jest mi wszystko jedno. Chciałabym jednak więcej wiedzieć o tej pracy. Nie uważasz, że wrzucanie ludziom do jedzenia nieznanych środków chemicznych nie jest zajęciem godnym szacunku ?

- To jest popierany przez rząd i zupełnie bezpieczny eksperyment, - Morton zmarszczył czoło. - Będzie on miał ogromne znaczenie dla poznania natury społecznych zachowań człowieka. Jestem pewien, że w przyszłości wiedza w ten sposób zdobyta będzie stanowiła fundament nowej świadomości społecznej, a przy okazji zaoszczędzi rządowi biliony funtów.

- To wszystko opowiadałeś mi już wcześniej, co najmniej trzy razy. - Spojrzała mu w oczy. - Nie ufam eksperymentom rządowym, Tony. Prawdę mówiąc, nie ufam rządowi w ogóle. To ich następna podstępna sztuczka, jakich już tysiące było wcześniej. Kiedy wyjdzie na jaw, będzie z tego wielki skandal.

- Tylko, jeżeli wyjdzie na jaw. - Przymknął oczy.

- Jak "Watergate".

Profesor zacerpnął powietrza i wypuścił je powoli. Nagle pojawiła się między nimi bariera. Trzeba było coś zrobić. Powiedzieć prawdę, bo w przeciwnym razie,... bo w przeciwnym razie co ? Przyglądał jej się uważnie, widział w niej bardziej śliczną młodą dziewczynę, niż asystentkę. Wszystko jedno, podpisała już umowę. Ani minister zdrowia, ani nikt inny nie zastrzegł, że nie wolno jej nic mówić. Morton jednak wolał pozwolić jej, by sama do wszystkiego doszła. Problem tkwił w tym, że ona twardo przestrzegała swych zasad: nie kupować kosmetyków wytwarzanych przez laboratoria pracujące ze zwierzętami, nie używać niczego, co pochodzi z Południowej Afryki, itp. Ależ to głupie! Ale ten eksperyment nie dotyczy zwierząt, lecz ludzi. Nie pozostaje jej nic innego, jak tylko pogodzić się z tym.

Wciąż spoglądała na niego wyczekująco. Pomyślał o dzisiejszej nocy i podjął decyzję. Uchyli jej rąbka tajemnicy i oceni reakcję. Potrafił używać różnych masek i nikt go jeszcze nie zbił z tropu.

Podjąłem się tego, ale czy miałem jakieś inne wyjście ? - zaśmiał się.

- Szantaż - skrzywiła się. - Sądziłam, że jesteś mi winien pewne wyjaśnienia.

- Być może. - Dał jej znak, by usiadła koło niego, po czym objął

ją ramieniem. - Spodziewałem się, że wcześniej mnie o to zapytasz. Spróbuję ci to przedstawić. Spójrz na dzisiejsze problemy społeczne. Wandalizm kibiców piłkarskich, znęcanie się nad dziećmi, szpitale psychiatryczne, przepełnione niezliczoną ilością pacjentów, których nawet psychologowie nie rozumieją. Ich diagnozy w połowie oparte są na domysłach, a to do niczego nie prowadzi. Nie wiemy, dlaczego ludzie reagują na pewne sytuacje obłędem i co w ogóle oznacza obłęd. Jest takie stare powiedzenie, że profilaktyka lepsza jest od leczenia. Nie ma nic prawdziwszego na świecie. Trudność polega na tym, by znaleźć sposób zapobiegania. Mówię oczywiście o problemach psychologicznych, a nie o chorobach ciała, jak AIDS, czy inne.

- To ma być wykład z socjologii ? - Miała nadzieję, że nie zabrzmi to cynicznie, ale tak właśnie się stało.

- Być może, że na próżno tracimy czas i pieniądze - ciągnął dalej, jakby jej nie słyszał - ale gdy oceniłem reakcję Evansów, nie mam już wątpliwości. To jest naprawdę zachęcający początek, chociaż przed nami jeszcze ogromnie dużo pracy.

- Co właściwie stało się z Evansami? - Zdała sobie sprawę że serce zaczęło jej bić szybciej.

- Są niezbitnie przekonani, że właśnie nadeszła Nowa Epoka Lindowcowa. - Był wyraźnie zadowolony z siebie.

- Chryste, ty chyba żartujesz. Tony!

- Nie, mówię całkiem poważnie. To kolejne potwierdzenie niezwykłej złożoności ludzkiego umysłu. Oni siedzą w swojej chatce, opatuleni w płaszczu i swetry i czynią przygotowania do wyprawy na południe.

- Boże, muszą się gotować w tym upale! Ale zaraz, przecież w chwili, gdy wyjrzą przez okno zobaczą słońce i zorientują się we wszystkim.

- Nie, wszystko jest wytworem umysłu, oni widzą to, w co wierzą. Ich domek jest obserwowany i zapewniam cię, że ich rozmowy to potwierdzają. Boją się, kryją, podświadomie przywołują obrazy kilku ostatnich zim. Są przekonani, że cały kraj pokryty jest śnieżnymi zaspami, które nigdy nie stopnieją. Są pewni, że mieszkają tu, odkąd Billy Evans został zmuszony do sprzedaży domu, zaś swego prawdziwego domu nie pamiętają. Ciekawe, jak posuwają się ich przygotowania do wyprawy.

- Ale kiedyś wreszcie wyjdą na zewnątrz i zobaczą obóz pełen

wczasowiczów, co wtedy ? - Anna nie mogła w to uwierzyć.

- To będzie najbardziej interesująca część tego eksperymentu. - Śmiejąc się przygarną ją do siebie. - Tej odpowiedzi szukamy. Do czego to doprowadzi ?

- A jeżeli wyruszą w tę, jak to nazwałeś, wyprawę, jak daleko pozwolisz im dojść ?

- Będą pod kontrolą, nie martw się. Wtedy albo zatrzymamy ich, albo podamy antidotum i pozwolimy odejść. Mullins się tym zajmie. Twoim zadaniem jest dodawać do ich jedzenia preparatu C-551.

- Oni mogą nas zaskarżyć, podniosą krzyk, opinia publiczna nie udzieli poparcia czemuś takiemu. Dlaczego nie weźmiemy ochotników ?

- Ponieważ tacy ludzie mogliby symulować reakcje. Potrzebujemy osób przeciętnych. Takich jak Billy Evans. Facetów interesujących się jedynie barem i niedzielnymi meczami piłki nożnej.

- Powiedz mi coś więcej o C-551. - Było to żądanie, nie uwzględniające odmowy.

- To nieszkodliwy środek halucynogeny. Mogę cię zapewnić, że nie był wypróbowywany na zwierzętach. Osłabia pamięć, a pobudza strach i fantazję. Nasze badania mają na celu ocenę zachowania ludzi, dla których marzenia i koszmary senne stają się realną rzeczywistością. To próba zrozumienia ludzkiego umysłu. Szukamy odpowiedzi na pytanie, jakiego rodzaju fantazje stwarza człowiek i co sprawia, że zaczyna je realizować. Gdybyśmy wiedzieli, na przykład, dlaczego chuligani na meczach piłkarskich zachowują się jak szaleńcy, albo dlaczego łagodny i potulny ksiądz staje się nagle sadystycznym mordercą, wtedy bylibyśmy w połowie drogi do rozwiązania wielu rozpowszechnionych w dzisiejszym społeczeństwie problemów.

- Wciąż nie mogę uwierzyć w to, co zrobiliście z tymi ludźmi - powiedziała po chwili drżącym głosem. - Tak, być może nadszedł czas, by eksperymentować na ludziach, a nie na szczurach, czy małpach. To jest naprawdę niegroźne. Tony ? Czy mógłbyś to powstrzymać, gdyby zaczęło wymykać się nam spod kontroli?

- Oczywiście! - odpowiedział porywczo, ale odwrócił wzrok w poszukiwaniu kieliszka. - Nie będzie to miało absolutnie żadnych skutków ubocznych. Okres, podczas którego,... hmm świnka morska była pod wpływem C-551, zupełnie nie zapisał się w jej pamięć.

ci. Gdyby, na przykład, państwo Evans wyruszyli w swoją wyprawę i skierowalibyśmy ich z powrotem do domku, po zaaplikowaniu antidotum ockną się ze swoich halucynacji. Będą kontynuować wakacje, jakby nic nadzwyczajnego się nie wydarzyło. Najprawdopodobniej obudzą się rano w swoim łóżku i będą już żyd normalnie. On zejdzie na dół do bani, a ona znów zacznie marzyć o romantycznym kochanku. To jest nawet wielce prawdopodobne - zaśmiał się znowu. - Jakże wielu mężczyzn nie rozumie potrzeb kobiet.

Pocałował ją, a wtedy i ona zaczęła się śmiać.

Rozdział trzeci

- Nie zamierzam pozostać w tym paskudnym miejscu ani sekundy dłużej! - Atrakcyjna rudowłosa dziewczyna z rozdrażnieniem łupnęła nogą, wyrażając gestem ręki, że ma na myśli cały teren ośrodka letniskowego. Po czym wskazała palcem mrowie owadów, wspinających się na kuchenkę. - Najgorsza rzecz, jakiej nie mogę znieść, to majówki!

Wysoki ciemnowłosy mężczyzna westchnął wznosząc wzrok ku niebu. Nosił długie włosy, koszulę w kratkę i spłowiałe dzinsy, przez co lekko odróżniał się od reszty gości "Raju". Jeff Beebee był zawsze miły, skłonny do śmiechu i cierpliwy, zaś Gemma co chwila wybuchała atakami złości. On wówczas wołał je po prostu przeczekać. Może teraz mógłby znaleźć jakieś kompromisowe rozwiązanie.

- Pójdę do biura poprosić tych facetów, by przyszli i je czymś spryskali - powiedział wolno i spokojnie. - W ciągu pół godziny wszystkie będą martwe.

- I myślisz, że ja po tym będę mogła spokojnie zasnąć? - Odsunęła się od samotnej mrówki, która wyłamała się z oddziału, by lepiej przyjrzeć się ludziom. - Na pewno nie zabiją wszystkich. Jedna, czy dwie przeżyją i kiedy zaśniemy... - Jej głos się załamał, a twarz zbladła na myśl, co mogłoby się zdarzyć w środku nocy.

- W porządku, pójdę i poproszę ich, by przydzielili nam inny domek.

- A skąd będziemy wiedzieć, że tam również nie ma mrówek? - histeryzowała. - Jeżeli są w jednym domku, to mogą być i w drugim. Prawdopodobnie zamieszkują cały ten teren. Spryskanie tej gromadki nie rozwiąże problemu.

Jeff jęknął w duchu. W nocy, podczas której tu przybyli, szalała burza i rankiem na pokrytej gumową wykładziną podłodze, od kuchni aż do drzwi pokoju widniała ogromna kałuża wody. To było pierwsze rozczarowanie Gemmy. Gość z obsługi położył na podłogę materiał wchłaniający wodę, ale niewiele to pomogło. Potrzeba było kilku dni, by ją całkowicie osuszyć. Myślał, że nie będzie im to przeszkadzało.

- Przeniosą nas - rzeki cicho. - Nie będzie z tym problemu.

- Na pewno będą problemy. - Jej miękkie czerwone wargi wykrzywiły się drwiąco. - Pamiętaj, co powiedział ten facet z rece-

pcji, gdy przyjechaliśmy? Mają komplet gości na te dwa tygodnie. Nie będzie już wolnego domku, by nas przenieść. Jesteśmy tu już trzy dni i przez następne jedenaście będzie tak samo. Po co przywiozłeś mnie tutaj ?

- Ależ to był twój pomysł. - Wciąż był opanowany. - Nie lubisz hoteli, nie lubisz domków letniskowych, a na wyjazd za granicę nas nie stad. Więc dokąd chcesz pojechać ? Do domu ? Tam będziesz znowu narzekać na swoją lub moją matkę.

- Jesteś niemożliwy! - Odwróciła się, weszła do sypialni i zatrzasnęła drzwi.

Jeff stał niezdecydowany. Nie było sposobu, by przywrócić Gemmie dobry nastrój, można było tylko czekać i to też nie za blisko niej. Teraz pozostawało tylko zejść do recepcji, powiedzieć im o mrówkach i zażądać, by coś z tym zrobili, a najlepiej - przenieśli jego i Gemmę do innego domku.

Ekipa porządkowa realizowała właśnie inne zlecenie, a recepcjonista nie mógł się z nimi skontaktować.

- Przykro mi, ale musi pan poczekać, panie Beebee. Jak tylko przyjdą, wyślę ich prosto do pana domku, by zajęli się mrówkami. Obawiam się, że nie możemy dać państwu innego, ponieważ mamy komplet gości. Naprawdę, bardzo mi przykro.

Jeff wrócił do domku i rozejrzał się zdumiony. Miał nadzieję, że zły humor Gemmy szybko minie, ale najwyraźniej się mylił. Przy drzwiach stały dwie małe wypchane walizki, jego przyjaciółka przebrała się już w inną sukienkę i właśnie zakładała swój ulubiony żakiet podróżny. Piegi na jej twarzy zwały się w jedną wielką plamę, a zaczerwienione oczy świadczyły o tym, że płakała. Wściekłość była jedynym uczuciem, jakie mogło doprowadzić ją do łez.

- Mam nadzieję, że będziesz miał przyjemne wakacje. - Wyciągnęła rękawiczki, dając mu wyraźnie do zrozumienia, że tu nie zostanie.

- Więc dokąd się udajesz? - Zamknął za sobą drzwi, ale został przy nich.

- To moja sprawa. A teraz, proszę, odsuń się od drzwi.

- W porządku, wyjeżdżamy, skoro nie jesteś zadowolona, ale stracimy przez to jakieś sto funtów. - Gardził sobą, że był wobec niej taki ustępliwy.

- Nie chcę byś jechał ze mną, Jeff. Wyjeżdżam stąd i tyle. A teraz pozwól mi otworzyć drzwi.

- Zostań, nie możesz...

- Czego nie mogę? - Gemma podniosła walizkę. - Mam prawo wyjść stąd i to właśnie mam zamiar zrobić. Jeżeli się nie odsuniesz, zacznę krzyczeć i będziesz miał kłopoty.

- Jak wyjedziesz stąd bez samochodu? - To zabrzmiało jak groźba. Czuł, że traci opanowanie.

- Istnieją jeszcze autobusy i tramwaje - odparła drwiąco. - Jest tu nawet autobus, którym dojadę do głównej drogi. A to dokąd jadę, to nie twój zasrany interes. Przyznam się uczciwie, że mam już ciebie dość. Dokądkolwiek jedziemy, cokolwiek robimy, ty zawsze to psujesz. Tak jak i teraz. Boże, jestem zmęczona ciągłym łażeniem za tobą i słuchaniem ciebie. Myślisz tylko o dobudówkach i garażach, i... niedobrze mi się od tego robi. Ostatni raz ci mówię, zjedź mi z drogi!

Odsunął się. Niezaprzeczalnie odczuwał ból odrąconego kochanka. I wszystko przez te głupie mrówki!

Pozwolił jej otworzyć drzwi. Podniosła drugą walizkę i wyszła, nie spojrzawszy już na niego. Obciążona bagażem szła chwiejnym krokiem, ale głowę trzymała wysoko. Szła tak szybko jak tylko mogła, by odejść jak najdalej. Obawiała się, że może jeszcze zmienić zdanie i zawrócić. Teraz miała przeciw sobie swój własny charakter.

Jeff nie zatrzymywał jej. Sama wróci, jeżeli będzie chciała, nie miał na to wpływu. To stało się w czwartek, ale ona nie wróciła również następnego dnia.

Teraz zrozumiał, że wszystko między nimi skończone. Mrówki i zalana podłoga stały się jedynie pretekstem. Prędej, czy później i tak by odeszła. Była zmęczona realizowaniem jego własnych planów.

Przez następne dwa dni włóczył się bez celu po okolicy. Gemma niezliczoną ilość razy groziła mu, że odejdzie. Była jak żywy pocisk, mogący eksplodować w każdej chwili bez ostrzeżenia. Każdy niewinny żart mogła odebrać jako obrazę, a on musiał ją wtedy przeproszać, by resztę dnia spędzić w spokoju. Przeproszanie weszło mu w nawyk, a Gemma wychodziła zwycięsko z każdej kłótni. Dla niej porzucił inną dziewczynę, a teraz ona opuściła go w potrzebie.

Wtorkowej nocy w ogóle nie spał. W środę po południu doznał dziwnego uczucia ulgi i... wolności. Ona nie wróci. Przysłałaby

bagażę, gdyby miała wrócić. Zastanawiał się, gdzie mogła teraz być. Prawdopodobnie w domu. Wyjaśniała swej matce, że to był jego błąd, że ją wyrzucił, a ona nie chce wracać.

Wieczorem wstąpił do baru, by rozweselić się samotnie wypitym kieliszkiem. Gemma wyświadczyła mu wielką przysługę robiąc to, na co on by się nie odważył. Przypomnił sobie wszystkie jej zarzuty, kaprysy, kłamstwa, jak go wykorzystywała i kpiała z niego. Ich małżeństwo byłoby katastrofą. Zaoszczędził sobie tylko rozczarowań i problemów z rozwodem.

Był głodny, nie jadł nic od 24 godzin. Przed powrotem do domku kupił sobie rybę z frytkami. Jutro rozpocznie nowe życie. Zacznie je od solidnego śniadania w restauracji, samotnie, bez konieczności wysłuchiwania niczyich narzekań.

Do jego stołu zbliżyła się młoda kobieta ubrana - jak ekipy obsługujące ośrodek - w nienagannie czystą białą marynarkę, długie ciemne włosy splecione miała w kok na czubku głowy. Uśmiechnęła się do niego przepraszająco, po czym odsunęła stojące naprzeciw niego krzesło i usiadła z gracją. Odczytał jej imię z błękitnej wizytówki przypiętej do kłapy: "ANNA STACKHOUSE".

- Dobrze się pan bawi na wakacjach - dyskretnie zajrzała do notesu -... panie Beebee?

- Tak... dziękuję - odpowiedział bez entuzjazmu.

- To dobrze. Pana towarzyszka nie pojawiła się na kolacji. Mam nadzieję, że nie jest...

- Ma się dobrze. - Od wtorku z nikim nie rozmawiał i nagle pojawiło się w nim pragnienie, by komuś o tym wszystkim opowiedzieć. - To znaczy taką mam nadzieję. Odeszła ode mnie i już nie wróci.

- Och! - Anna Stackhouse starała się okazać zakłopotanie. - Bardzo mi przykro.

- Mnie nie - odburknął z żalem i skrywaną dotychczas urazą w głosie. - To jęzda i dobrze, że się jej pozbyłem. Zasłużyłem na odpoczynek. Ach, przepraszam, nie powinienem mówić takich rzeczy, ale dusiłem to w sobie przez dwa dni i...

- Nic nie szkodzi - uśmiechnęła się, nie tylko z grzeczności. - Mów, jeśli chcesz, jeżeli to ma pomóc.

Opowiedział jej wszystko, co wydarzyło się w przeciągu trzech ostatnich lat. Potrafiła słuchać tego z zainteresowaniem, jak gdyby było to dla niej tak samo ważne, jak dla niego.

- z tego, co mi powiedziałaś wynika, że jesteś zadowolony z jej odejścia. - Gdyby знаła go lepiej, pewnie uściśnęłaby mu rękę.

- Na pewno nie ma powodu, by się zamartwiać - uśmiechnął się.

- W końcu mam wakacje i zamierzam miło je spędzić.

- Oczywiście. - Znów zajrzała do notesu. - Czy smakują ci posiłki? Żadnych zastrzeżeń?

- Nie, są wspaniałe.

- Cieszy mnie to. - Zawahała się. - Chyba nie będziesz miał nic przeciwko temu, że zapytam, co ci smakuje najbardziej?

Zastanowił się chwilę. - Jem prawie wszystko, lubię zdrowe i ostre potrawy.

- Polecam ci na jutro siekaną wołowinę. Próbowałam jej w zeszłym tygodniu i jest naprawdę fantastyczna.

- Zapamiętam sobie. - Nie chciał, by odeszła i zastanawiał się jak mógłby ją zatrzymać, ale ona już wstała od stołu.

- Miło było cię poznać... na imię mam Anna.

Miał wrażenie, że się rumieni. - Mam nadzieję, że jeszcze się zobaczymy.

- Zajrzę tu jutro zobaczyć jak smakuje ci wołowina. Do zobaczenia... Jeff - uśmiechnęła się na pożegnanie.

Odprowadził ją wzrokiem do drzwi kuchni. "Przestań się oszukiwać, chłopie, ona na pewno ma już kogoś. Nie ma wprawdzie obrączki, ale to jeszcze o niczym nie świadczy" - pomyślał.

Zamówił następną kawę i starał się przypomnieć sobie wszystko, co jej o sobie powiedział. Musiało ją to strasznie znudzić.

Anna Stackhouse wróciła do swego biura i pozbierała notatki na temat Jeffa Beebee. Ręka jej drżała i znowu zaczęło ją gryźć sumienie. Jutro musiała zdać raport profesorowi Mortonowi. Powiedziała sobie, że nie spotka się więcej z Jeffem. To byłoby perfidne.

Rozdział czwarty

Alan Jay przyjechał do ośrodka wypoczynkowego "Raj" z komuny w Herefordshire. Miał za sobą długą, uciążliwą podróż autostopem. Kierowcy niechętnie zatrzymywali się, by zabrać potężnie zbudowanego mężczyznę z rozczochraną brodą, w obdartych spodniach, i dziurawej koszulce.

Po drodze trafił na korek uliczny. Przeszedł wzdłuż rzędu samochodów i pospiesznie wskoczył na tył jednej z ciężarówek. Tak jechał aż do wczesnego popołudnia, kiedy wóz powoli zatrzymał się, a kierowca dał mu znak, by wsiadł do kabiny.

- Dokąd zmierzasz, kolego? - Wyglądało na to, że facet szuka towarzystwa i prowokuje rozmowę. Alan pomyślał, że gdyby tylko o to chodziło, nie zabierałby kogoś takiego, jak on.

- Daleko.

Chwila ciszy i następne pytanie. - A jak się nazywa to miejsce?

Lepiej będzie jak mu powiem. - To ośrodek wypoczynkowy. Jak oni go nazwali... "Raj", chyba tak.

- Prosto tam? - Kierowca po kilku spojrzeniach zorientował się, że autostopowicz nie ma żadnych bagaży.

- To byłoby głupie myśleć, że kłamię, nie uważa pan? - odpowiedział z irytacją.

- Wybacz, nie chciałem cię urazić. - Musiał zwolnić, gdyż znowu dostali się w korek. Zanosilo się na to, że taka jazda będzie się ciągnęła aż do Machynlleth. Alan przypomniał sobie, jak będąc dzieckiem, przyjeżdżał na wakacje do Borth. Dawno temu...

- Nie gustuję w takich miejscach. Ale niech każdy wybiera to, co lubi, życzę ci dobrej zabawy.

- Przepraszam przyjęte. Pobyt tam jest nagrodą za wygranie konkursu.

- Nie mów! To znaczy... nigdy nie spotkałem nikogo, kto by wygrał coś z tych rzeczy.

- Znalazłem ten konkurs w jakimś lokalnym szmatławcu, tam, gdzie byłem ostatnio - Alan odprężył się i mówił już swobodnie. Nie robił tego od kilku miesięcy. - Postanowiłem spróbować. Pokazali mi listę pięciu najlepszych ośrodków, organizujących wakacje rodzinne. Kazali mi wskazać jeden i w dwudziestu słowach uzasadnić wybór. Obliczyłem, że jeżeli konkurs sponsorowała firma posiadająca ośrodki letnie, to właśnie to trzeba było wybrać. Po-

wiedziałem im też, że tam mają odpowiednich ludzi do opieki nad rozpuszczonymi dziećmi, które można im oddać, gdy chce się odpocząć. Oczywiście miałem rację i wygrałem.

- Bystry z ciebie chłopak. - Kierowca wydał z siebie ochryply śmiech. Boże, jak ten włóczęga śmierdzi. Założę się, że od miesiąca się nie kąpał. Wykopią go z tego obozu jak go poczują. - Nie zabrałeś ze sobą rodziny?

- Nie, zostawiłem swoją kobietę. Sam chcę się zabawić.

Alan zamilkł na wspomnienie Donny. Opuściła komunę trzy tygodnie temu, by odwiedzić krewnych w Irlandii. Zapewniała go, że przyjedzie do obozu. Ale to nie było takie pewne. Ta ładna, drobna dziewczyna o krótkich ciemnych włosach kierowała się w życiu dziwnymi instynktami.

Donna powinna była wrócić w poniedziałek, a dziś był już piątek. Kiedyś pomyślałby, że zostawiła go dla jakiegoś obcokrajowca. Ale nie chciał się wtedy przyznać do zazdrości. Teraz znów wyjechała i pewnie już nie wróci. Do diabła z nią, Alanie Jay, jesteś głupcem i taki już pozostaniesz.

Gdy minęli Machynlleth próbowało ich zatrzymać kilku autostopowiczów. Jakies dzieciaki z miasta, wybierające się na wycieczkę w góry. Mijając je słyszeli jak głośno krzyczały.

Ludzie przyglądali mu się, gdy szedł w stronę obozu. Strażnicy stojący przy głównej bramie nie wierzyli, że ma przepustkę, dopóki im jej nie pokazał. Alan podszedł do budynku recepcji i zobaczył kolejkę ludzi, czekających przed drzwiami. Gdy pomyślał, że teraz po tym wszystkim będzie musiał czekać w kolejce, zaczął żałować, że wygrał ten konkurs.

Ludzie odsuwali się, by go przepuścić. Słyszał jak ktoś mruczał coś niewyraźnie, szmery ściszonego śmiechu wśród ludzi stojących dookoła. Na pewno użyją sobie na nim przez te dwa tygodnie, trzeba będzie się z tym pogodzić. Zapalił. W takim miejscu jak to nikt chyba nie będzie miał nic przeciwko narkotykom.

Recepcjonistka wręczyła mu klucz z pomarańczowym blokiem, na którym wymalowany był numer 24. Musiał wysilić wzrok, by mu się przyjrzeć. To chyba ze zmęczenia i gorąca.

Wyczuł, że Donna była w domku, jeszcze zanim otworzył drzwi.

- Cześć! - Wyszła z łazienki owinięta ręcznikiem. Pozwoliła by opadł, odsłaniając małe, kształtne piersi. Może jednak nie kochała się z nikim ostatnio.

- Dotarłam tu przed tobą.
- Dobrze. - Usiadł na brzegu łóżka. - Chryste, co za parszywe miejsce! To nie dla nas.

- Nie, ale mamy swobodę, jedzenie jest dobre i spędzimy tu całe dwa tygodnie, Al.

- Ja wolę żarcie, a ty możesz sobie odpoczywać. A przy okazji, wypaliłem skręta, jutro będę nieprzytomny.

Zaśmiała się. - Liczyłam na ciebie, Al. W takim miejscu jak to można się spokojnie odprężyć.

Kiwnął głową i wyciągnął z kieszeni spodni brudny, owinięty gumką zwój banknotów pięciofuntowych. - Ja płacę. Podwójna stawka.

- Al, chyba nie...

- Nie, nie zwędziłem tego. - Jego uśmiech rozproszył wątpliwości. - Rodzice stali się, jak sądzę, wielkoduszni. Dumni są ze swego syna, który, choć jest fizycznie zdegenerowany, jednak potrafił wygrać konkurs wakacyjny!

Donna odetchnęła z ulgą. - Wierzę ci, Al. Wolalabym się urodzić ze srebrną łyżeczką w ustach zamiast gumowego smoczka. Założę się, że jest tylko jedna osoba w całym obozie, która mogłaby uwierzyć, że twój ojczulek zasiada w parlamencie, a w dodatku jest torysem. Ty stary hipokryto!

- Dopóki przysyła regularnie pieniądze, nie obchodzi mnie, kim jest. - Alan mrugnął. - Wie dobrze, że jeśli mnie zawiedzie, musiałbym sam pojechać po pożyczkę do domu, a on nie chciałby, bym rzucił się w oczy jego wyborcom. Szczęble społeczne nie mają znaczenia, gdy jesteś hippisem. Nie martw się, będzie pożyczać nam pieniądze tak długo, jak trzymam się od niego z daleka. To okazja.

- Ja to nazywam szantażem. - Skończyła się wycierać i zakładała sztruksowe spodnie. - Każda chwila rozkoszy jest nasza, Al, nie zmarnuj żadnej z nich.

- Nie mam zamiaru. - Przynął ją do siebie i pocałował. W myślach jeszcze raz kwestionował jej wierność. Jeśli znowu pójdzie do łóżka z innym, zabiję ją. Nikt nie może jej mieć.

Potem poszli coś zjeść.

- Narobiłem jakichś kłopotów. - Następnego dnia wieczorem Alan Jay wrócił późno do domku. Gdzieś niedaleko stąd słychać było muzykę i gwar rozmów. - Włączyłem się po okolicy i on sam

mnie znalazł.

- Jesteś pewien, że się nie mylisz? - Donna była zdenerwowana. Odkąd byli razem, zachowywał się jakoś dziwnie. Może czuł się czemuś winien, wciąż się denerwował i był podejrzliwy.

- Nie, on był całkiem prawdziwy. Nazywa się McNee. Typowy spekulant. Używa brylantyny i śmierdzi nią na milę. To się powtarza regularnie, to nie może być przypadek. Trzymaj. - Rzucił jej wypchaną kopertę. - Lepiej odprężymy się, kochanie.

- Mam niestrawność. - Zwinęła skręta i zapaliła, wciągając gębokoboko dym. - Ale ten deser był cudowny, owoc kiwi w kremie z dodatkiem sherry. Miałam zamiar, tak jak i ty, wziąć ciastka, ale ta kobieta z obsługi odradziła je nam. Ona jest całkiem miła.

- Taak. - Wypuścił dym nosem. - Naprawdę miła. Nikt w restauracji nie chciał, byśmy się do nich przysiedli. Tylko ten jeden stolik był wolny i ona od razu podeszła i usiadła z nami. Prawdziwa dama.

- Pomyślałam, że może mógłbyś zmienić ciuchy na lato. - Palila nerwowo, obawiając się jego reakcji i zaraz dodała. - Albo, na przykład, mogłabym obciąć ci te spodnie. Przy tej pogodzie tak będzie wygodniej. Zgadzasz się?

- Zastanowię się nad tym - zamruczał zaspanym głosem. W ciemności widziała tylko żarzącego się papierosa.

Palili w milczeniu. Alan Jay leżał na kocu na dwuosobowym łóżku i wpatrywał się w kwadratowe okno oświetlające pomarańczową poświatą mały pokój. Na ulicy jaśniały latarnie, słychać było roześmiane głosy przechodniów. Z oddali dudniła muzyka. Nie było zbyt ciemno jak na tak późny wieczór.

Spojrzał na dziewczynę śpiącą obok. Przynajmniej wyglądała na śpiącą, jej nagie piersi unosiły się rytmicznie. Wyglądała jakby we śnie przezwyciężyła resztki swej skromności. Ale kim ona była, do diabła? Pewnie jakaś dziwka, którą poderwał. Wiedział, że to miejsce nie było komuną.

Bolała go głowa. Zamknął oczy, ale ból zwiększył się jeszcze bardziej. Jezu Chryste! Próbował się zorientować gdzie się znajduje. Miał problemy z pamięcią. Poczuł wielką ochotę, by napić się mleka, więc powoli wstał. Idąc chwiając się na nogach, wdepnął w jakieś wiadro i kopnął je z hałasem. Coś mu zaświtało w głowie. To ta dziewczyna, Donna, doprowadziła go do takiego stanu. Ta cholerna suka wyjechała; baba z wozu, koniom lżej!

Sięgnął w ciemności po bibułę i tytoń, ale wszystko rozsypało

mu się na łóżko. Zapalił zapalnąkę trzęsącymi się rękoma, by podpalić papierosa i wypuścił ją powodując deszcz iskier. Gasnąca zapalnąka i iskry wypaliły w prześcieradle dziury. Wciągnął dym gęboko do płuc i zatrzymał go tam przez kilka sekund.

Strzępki wspomnień wracały do niego i znów odchodziły jak światło słoneczne, próbujące przeniknąć gęstą mgłę. Na myśl o komunie dręczył go jakiś niepokój. Nie mógł sobie przypomnieć imienia tej dziewczyny. Jeżeli nie mógł jej mieć, to nikt inny nie będzie jej miał. Chciał ją zabić, dusił ją, bił ją po głowie, aż bolał go nadgarstek. Nie był pewien czy tego nie zrobił. Nie mógł jej tego zrobić. Może to ona go w ten sposób okłamywała.

Spojrzał na nią. Była ładna, drobna, ale nie rozpoznawał jej. Chociaż miał wrażenie, że już kiedyś gdzieś ją spotkał. Może to jedna z dziewcząt z komuny. Przy następnym pociągnięciu papierosa wydał mu się kwaśny i zgasił go o brzeg popielniczki. Ból głowy zmaliał i zaczął zdawać sobie sprawę z jeszcze jednej, bardziej przyjemnej rzeczy. W półmroku spojrzał na nią i uśmiechnął się. To jest coś, czego mu brakowało od tygodni.

Porwali przeciągnął ręką po jej płaskim brzuchu, ale gdy natrafił na elastyczne majteczki, zawahał się. Pragnął przypomnieć sobie, kim była. Ale, czy to w rzeczywistości miało jakiegokolwiek znaczenie? Nie leżałaby przecież z nim tutaj, wbrew swej woli.

Poruszyła się, poczuł jak napręza ciało. Wtedy ot

i spojrzała na niego. Spotkał jej wzrok pełen zdziwienia i zuchwałości. Uśmiechnęła się wymuszenie, po czym ujęła jego dłoń i delikatnie, acz stanowczo, zdjęła ją ze swej bielizny.

- Wszystko w odpowiednim czasie. Ale, czy nie zapomniałeś o czymś? - zapytała.

Otworzył usta. W jednej sekundzie jego towarzysza stała mu się absolutnie obca. Musiał się pomylić myśląc, że widział ją już kiedyś. Więc co, do cholery, robi z nim w tym nieznanym miejscu?

- Kim jesteś? - spytał niepewnie ściszone, ochryplym głosem.

- Jestem... Cindy - zawahała się, jakby szukając jakiegoś pseudonimu. Podniosła się na łóżku i rozejrzała. - Chyba jestem u ciebie, bo to na pewno nie jest mój pokój.

- Jesteś u mnie - Alan odpowiedział najprościej jak potrafił.

Nie wiedziała, gdzie jest, tak samo jak on. A więc okazało się, że to miejsce jest jego mieszkaniem; to rozwiązywało już wiele problemów. - Wróciłaś tu ze mną, ale byłaś tak zmęczona, że zaraz

zasnęłaś. - Zabraniało to dość prawdopodobnie.

- Tak sądzę. - Głos jej lekko drżał. - Czasami, jeśli klienci sobie tego życzą, nocuję u nich.

- O czym ty mówisz? - Przyglądał się jej uważnie. To musiał być jakiś głupi żart. Jak powiedziałaś... klienci?

- Klienci - tym razem odpowiedziała ostro. - Mężczyźni. Wciąż jesteś pijany?

- Nie. - Potrząsnął głową. To nie mógł być kac, czuł się bardziej oglupiały i przytępiony.

- My... poszliśmy do restauracji, prawda? - Niewyraźne wspomnienie zatłoczonej sali. Pamiętał, że jadł z tą dziewczyną obiad, ale nic więcej.

- Myślę, że coś jedliśmy - zgodziła się niepewnie. - Musiałeś wrzucić coś do mojego drinka - dodała oskarżającym tonem. Spojrzała na swoje rzeczy porozrzucane po pokoju. - Nie lubię takich sztuczek, wychodzę stąd!

- Poczekaj! - Pizytrzymał ją za ramię, choć próbowała się wyrwać. - Nigdzie nie pójdziesz. Chcę się dowiedzieć, o co tu w ogóle chodzi.

- Jesteś głupi - odparła. - Myślałeś, że możesz dostać wszystko co chcesz za nic, za nędzny obiad i drinka. Spróbuj cokolwiek zrobić, a zacznę krzyczeć. Policja zamknie cię za gwałt. Chcesz tego?

Znowu rozboleła go głowa. Zrobiło mu się niedobrze. - Po prostu powiedz, o co ci chodzi. Czego chcesz?

- Czego chcę? - zapytała podniesionym głosem. - Zaraz ci wyjaśnię. Ja pracuję. Jestem prostytutką. Mam nadzieję, że wiesz, co to znaczy. Biorę trzydzieści funtów i jesteś mi coś winien. Takie są reguły, rozumiesz to? Zbudź się, a ja wychodzę. Marnuję swój czas.

Wzrok mu się rozmyślał, pokój falował. Coś mu mówiło, że ona nie nabierała go i mówiła prawdę. Nie miała powodu, by kłamać.

- Rozumiem - powiedział i na chwilę zamknął oczy. Wciąż tam była, siedziała na łóżku, wolną ręką zapinając biustonosz. Za trzydzieści funtów mogła go znowu zdjąć... Zdał sobie sprawę, że trzyma ją za ramię. Wstał z łóżka.

- Więc jak?

Poszedł prosto do drzwi. W zamku tkwił klucz z pomarańczową tabliczką i wymalowanym numerem 24. Mógłby otworzyć drzwi i wyrzucić ją do diabła. A za pięć minut wróciłaby z policją. Była w

tym pewnego rodzaju pułapka, której nie rozumiał, ale nie chciał tracić czasu na zastanawianie się. Wiedział tylko jedno - nie może pozwolić jej wyjść. Przekręcił klucz.

- Hej, co tam robisz? - Dziewczyna, która nazywała siebie Cindy, była już na nogach. Teraz z przestachem cofnęła się pod ścianę trzymając majtki, jakby się bała, że zaraz zostaną zerwane. - Nie waż się mnie tknąć, będę krzyczeć.

- Krzycz sobie, ile chcesz. - Wskazał kciukiem okno. - Przy tym zgiełku nikt cię nie usłyszy, a jeżeli nawet, to jak w wielu takich przypadkach i tak nie zareaguje. Dalej, sama się możesz przekonać.

"O, Chryste, mógłbym rozwalić tę jej małą głupią twarzyczkę. Chyba zależało jej na czymś. Głupia, przebiegła ulicznica, nie miała zamiaru uciekać stąd. W końcu musiał być jakiś powód, dla którego tu przyszła" - przebiegło mu przez głowę.

- Słuchaj, powiem ci coś. - Trzęsa się, już niemal wpadła w panikę. - Możesz mieć mnie za darmo, jeśli pozwolisz mi odejść, proszę!

- Bez obrazy. - Wyszczrzył zęby, wyciągnął klucz i wrzucił z brzękiem do kieszeni. - Nie jestem pewien, czy chcę się z tobą kochać. Przemyślę to. A na razie nigdzie nie pójdziesz, zrozumiałaś?

Kiwnęła głową i zaczęła płakać.

Rozdział piąty

Profesor Morton przekładał na biurku notatki, popijając małymi łykami ciepłą kawę z ekspresu. Wyciągnął z kieszeni fajkę.

- Fascynujące, niezwykle fascynujące - pochwalił Annę Stackhouse. Był bardzo zadowolony z tego, co mu przeczytała.

- Tak, to działa, ale co teraz? - Siedziała niespokojnie po drugiej stronie biurka, trzymając w ręku mały notes z pozaginanymi stronami. Wzrok utkwiony miała w następnej nie zapisanej kartce.

Zatrzymał się, by wydmuchnąć chmurę dymu tytoniowego. Kiedy mówił, fajka poruszała się w kąciku ust. - Państwo Evans wciąż omawiają plany swej wyprawy na południe. Pocą się w zimowych ubraniach, a odczuwają intensywne zimno! Ale jak dotąd nie nabrali odwagi, by wyjrzeć za drzwi. Obserwujemy ich. Tak jak wciąż przypatrujemy się temu hippisowi i jego dziewczynie.

- Co się z nimi dzieje? - W rzeczywistości wołała tego nie wiedzieć. Po tym jak spotkała ich w restauracji kilka dni temu, zaczęła im współczuć. Od chłopaka rozchodził się nieprzyjemny zapach i oboje byli notorycznymi narkomanami. Usiłowała uciszyć wyrzuty sumienia. Czowała się jakby pracowała w nazistowskim obozie koncentracyjnym, gdzie przeprowadzano na ludziach dziwaczne eksperymenty. Czy była między nimi jakaś różnica? Nie było żadnej, oprócz tego, że ich doświadczenia wydawały się być bezpieczne. Jeżeli nie były, będzie musiała żyć z tą świadomością do końca życia.

-Dziewczyna jest przeświadczona, że jest prostytutką. - Morton zachichotał. - Mój Boże, nie można znaleźć lepszej! On zaś znajduje się w zupełnym pomieszeniu. Więzi ją jak w klatce, a ona grozi mu policją oraz oskarżeniem o porwanie i gwałt. Będziemy musieli poważniej zająć się tą sytuacją, gdyż w nim zaczyna wzrastać tendencja do używania przemocy. Oni są pod wpływem nie tylko narkotyków, ale i własnych środków, swoistego koktajlu chemicznego, jeśli mnie dobrze rozumiesz.

Rozumiała, nawet za dobrze. Co będzie jak ten facet zabije swą dziewczynę? Albo dostanie ataku serca? Poruszali się po bardzo ryzykownym gruncie, a skutki mogły być katastrofalne.

- A co z Beebee? - zadał pytanie, przyglądając się jej uważnie. - Myślałem, że zajmiesz się nim ostatniego wieczoru. Dziś rano wyglądał całkowicie normalnie, poszedł pływać, a całe popołudnie

spędził na plaży. Cos' poszło nie tak?

Annie zdrząły ręce, ale nie spuszczała wzroku z notesu. Miała nadzieję, że jej głos nie załamię się przy odpowiedzi.

- Przygotowałam się na jego przyjście, ale on poprosił tylko o kawę. Najwidoczniej zjadł już coś wcześniej. Zaprawiłam posiłek. Tak czy inaczej, jego dziewczyna odeszła i myślę, że lepiej będzie, jak tobie pierwszemu to powiem. Planowaliśmy wciągnąć ich do eksperymentu jako następną parę, pomyślałam, że nie zechcesz kontynuować go, gdy on został sam. - Zabrzmiało to niezbyt wiarygodnie, ale profesor tego nie zauważył.

- Ależ oczywiście! - Podniósł brew dziwiąc się, że mogła tak pomyśleć. - Według twoich raportów, Beebee mógłby być najbardziej interesującym przypadkiem.

Drgnęła. Przekroczyła swoje obowiązki, kiedy nie było takiej potrzeby. Jej uczucia względem profesora zmieniły się. Wczoraj był dla niej ideałem mężczyzny, wyzwalającym nową rewolucję w psychologii. Dziś zaś stał się człowiekiem okrutnym i bezlitosnym. Cel rzekomo uświęcał środki, lecz nagle środki stały się dla niej nie do przyjęcia.

- Spójrz, na przykład, na Evansów. - Oparł się w fotelu otoczo-
nym mgiełką fajkowego dymu, dumny ze swego dopiero rodzącego się sukcesu. - Inteligencja poniżej przeciętnej, piwo, mozolna praca i piłka nożna dla niego, a dla niej odmładzające kosmetyki i marzenia o ekscytującym romansie. Ich połączone fantazje stworzyły Nową Epokę Lodowcową. Dalej, para hippisów rozmyślnie przebywających na społecznym dnie, klasyczny masochizm. Ona staje się dziwką, a on więzi ją. Kombinacja kanabinolu i C-551 A teraz Beebee... jak zareaguje, po porzuceniu go przez dziewczynę? Czy będzie się starał zdobyć inną kobietę, czy też skaże się na samotność?

- To jest okropne! - Nie mogła opanować swego obrzydzenia i strachu. - Jeśli cokolwiek się stanie...

- Nic się nie stanie. - Pochylił się ku niej. - A jeżeli nawet, to nie z naszej winy. Podjęliśmy wszelkie możliwe środki ostrożności. Domki są obserwowane. Mamy ludzi przygotowanych do działania w razie jakichkolwiek kłopotów.

- Możemy nie zdążyć - odpowiedziała oschle.

- Nonsens. - Zacisnął usta. Jego oczy błysnęły. - Słuchaj, nikt nie może się stać emocjonalnym impotentem. Wybraliśmy przy-

padkowo ze spisu gości określoną liczbę ludzi i już co nieco o nich wiemy. W większości dotychczas znaleźliśmy jedynie ich zawód. To tylko wskazówka - musimy wiedzieć więcej. Byłaś w mieście z Beebee i rozmawiałaś z nim. Uzyskaliśmy w ten sposób kilka cennych informacji. Zatem zrób to dziś wieczorem!

Polecenie zostało wypowiedziane z siłą wystrzału. Anna kiwnęła głową. - W porządku. Tony. Chciałam jedynie być pomocna.

- Zostaw to mnie. Twoje zadanie jest proste. Wrzucić do jedzenia tabletkę, która natychmiast tam się rozpuszcza. Bez smaku, nie do wykrycia. My zajmiemy się resztą. Nie widzę powodu, dlaczego miałabyś się martwić.

- Myślę, że jestem przemęczona. - To było rzeczywiście prawdą. Spędzili dwie noce w luksusowych domkach, a żadne z nich nie spało więcej niż kilka godzin. Profesor zdawał się być niezmordowany, nie było po nim widać najmniejszego śladu zmęczenia. Czujny i bezlitosny. Poczwała jak przechodzą ją ciarki. - Ale dopilnuję tego.

- Dobra dziewczyna. - Widać było, że się odprężył. - Może moglibyśmy spotkać się w barze około dziesiątej. Mają tam wyśmienitą kuchnię.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu wolałabym dziś wcześniej położyć się spać. Może innym razem.

- W porządku - uśmiechnął się. - Zatem jutro wieczorem?

Poczwała niepokój. Może boi się, że sprawy idą niedobrze.

- W porządku. - Wstała. Teraz trzeba było wrócić do restauracji i odegrać następną scenę swej podwójnej roli. Jej nerwy były napięte do granic wytrzymałości i to nie tylko ze względu na C-551.

- Cześć! - Jeff Beebee spojrział z uśmiechem na podchodzącą do jego stolika Annę. Dziś zamiast służbowego białego stroju miała na sobie długą, letnią sukienkę wspaniale podkreślającą jej szczupłą figurę. Miała pięknie uczesane włosy, jakby właśnie wracała od fryzjera. Pomyślał, że byłoby miło, gdyby zrobiła to dla niego. Ale trzeba być realistą. Prawdopodobnie po prostu korzystała z okazji zjedzenia niezobowiązującego obiadu. Ale mimo wszystko, przyjemnie jest sobie pomarzyć.

- Chyba cały dzień leżałaś na słońcu. - Podziwiała jego brązową opaleniznę. Większość wczasowiczów wyglądała jak ugotowane czerwone homary. - A ja od dziewiątej do siódmej siedziałam w

dusznym biurze.

- Długie godziny. - Bawił się nerwowo widelcem. - Znam to. Ja latem zaczynam pracę o ósmej, a kończę z nastaniem zmierzchu. Ale za to przy kiepskiej pogodzie mam wolne. Jak to jest cały dzień spędzać na pracy nad posiłkami? Z pewnością trudno wtedy schudnąć!

Roześmiali się oboje. Niepokój i poczucie winy ponownie odezwały się w niej. W torebce miała małą szarą tabletkę. Wystarczy jeden zręczny ruch. Kelnerka przerwała im rozmowę; ona poprosiła sok, on - rosół. Położyła torebkę na kolanach, otworzyła z trzaskiem. Trzeba wrzucić to do głównego dania. Zwlekała nie tylko z braku odwagi. Powtarzała sobie - to jest zupełnie bezpieczne. Dokładnie śledzimy przebieg każdego eksperymentu. Poza tym jest jeszcze antidotum.

Mówili o jakichś nieistotnych sprawach. Zupełnie nie mogła skoncentrować się na rozmowie. W końcu zeszli na temat Gemmy, ale Jeff zakończył go nonszalancko. - I pomyśleć tylko - uśmiechnął się - że gdyby nie odeszła, nie jadłbym teraz z tobą obiadu. Ona narzekałaby na wszystko, co tylko istnieje. Jak to się mówi, nie ma tego złego... Przy okazji, nie wziąłem wczoraj tej siekanej wołowiny.

Czuła, że się rumieni.

To znaczy, nie mam nic przeciwko wołowinie, po prostu przestałem jeść mięso. Kiedyś w domu często jadłem szynkę, lubiłem też przyrządzać na obiad stek lub zrazy. Ale ostatnio zastanawiałem się nad istotą spożywania mięsa. Myślałem o zwierzętach, które trzymamy na uwięzi i karmimy po to tylko, by je później zabić. Przez całe życie muszą pochłaniać podawane im chemikalia. A potem do rzeźni. Eksploatacja, tylko tak to można nazwać. Jeżeli nie zabijamy ich dla mięsa, to używamy do różnych eksperymentów. Jednemu wstrzykuje się preparat A, drugiemu preparat B i obserwuje reakcje. Przeprowadza się bezustanne badania, by stwierdzić jak jakiś krem do twarzy działa na skórę. Tak, czy inaczej wszystkie te środki są rakotwórcze. Każdy, kto się naprawdę nad tym zastanowi, przestanie jeść mięso. W końcu ja też tak zrobiłem. Czy ty, na przykład, chciałabyś, by na tobie eksperymentowano?

Miała wrażenie, jakby jego słowa raniły ją niby noże. Wzrok utkwiła gdzieś poza nim. On się domyślił! Po chwili oprzytomniała.

Nie bądź głupia, dziewczyno, w każdej gazecie można wyczytać tego typu rzeczy; demonstracje, protesty - uspokajała się. "Ten eksperyment dotyczy ludzi, nie zwierząt!" Gdyby jakiś wariat wstrzyknął w supermarkecie arsenik do mrożonego indyka lub batoników czekoladowych, byłoby to niewiele gorsze od tego, co sama teraz robiła. Znów trzasnął zamek torebki.

- Powiedziałem ci wszystko o Gemmie - spoglądał na nią z nad talerza - i zanudzałem... swoim życiem. Pora się zrewanżować. Opowiesz mi o swoim przyjacielu?

Chciał potraktować pytanie jak niewinny żart, a zabrzmiało jak poważne, pełne głębokiej ciekawości żądanie. Zawahała się. Miała w pamięci siwowłosego Tony'ego Mortona, wpatzonego w nią wzrokiem pełnym srogiej nagany i otoczonego dymem tytoniowym marki Gold Block. Powiedz mi z kim jesteś, Anno!

- Nie mam stałego chłopaka - odrzekła. - Miałam kiedyś, raz, ale znudził mnie. - Kłamała i czuła jak się czerwieni. "Mam faceta, który mógłby być moim ojcem. I wpuszczam go do łóżka, bo jest moim szefem. Kupuje mi wszystko, czego zapragnę. Jestem prostytutką, tak jak myśli o sobie ta biedna dziewczyna z domku numer 24" - powtarzała sobie w duchu.

- Zatem twoim hobby jest rozczarowywanie potencjalnych kochanków?

Odkryła w nim nowy zapach i bezskutecznie próbowała go zignorować. Spoglądała w jego oczy z uśmiechem. "Nie bądź śmieszna, znasz go od wczoraj, a to nie jest prawdziwa randka. Ależ tak, jest, przecież okłamałaś swego kochanka, by przyjść tutaj."

- Myślę, że byłam za bardzo pochłonięta moją przyszłą karierą. Przedkładałam studia nad miłość. Potem to samo było z pracą. Tak aż do dziś.

- Gordon Bleu?

- Nie, biologia. - Znów skłamała.

- Biologia?

- Najpierw chciałam studiować chemię, lecz zmieniłam zdanie. Ale nie mówmy już o pracy, bo zanudzimy się na śmierć.

'Oboje zamówili lody brzoskwiniowe. C-551 nie działał w niskich temperaturach. Kawa była jej ostatnią szansą. Otworzyła torebkę.

- Ja myślałem o architekturze - kontynuował. - Nie o stawianiu ludziom garaży, czy przybudówek, ale o projektowaniu. To prze-

rażające, że ludzie lubią mieszkać w betonowych pudełkach dostawianych do innych betonowych pudełek.

- Podać kawę? - Raz jeszcze stanęła przy nich kelnerka.

- Dla mnie czarna. - Anna spojrzała na Jeffa. Ręka zdrząła jej pod stołem.

- Ja wezmę mrożoną - zdecydował.

Do diabła z Tony'm Mortonem! Kamień spadł jej z serca i zrobiło się jej na moment słabo.

Przy kawie rozmowa już się nie kleiła. Wydawało się, że on ma coś ważnego do powiedzenia, lecz nie potrafił ubrać tego w słowa. Popijał swoją zimną kawę spoglądając w głąb filiżanki, jakby tam chciał znaleźć natchnienie. Zerknął na zegarek, była 22.45.

- Miałabyś coś przeciwko temu, gdybyśmy poszli napić się czegoś do mojej chatki? - wreszcie wydusił to z siebie.

Spuściła oczy, by się upewnić, że torebka jest zamknięta. Zaprasza mnie do siebie. To już jest więcej, niż zwykła randka. Stopniowo zaniedbywała najpierw pracę, potem kochanka. Wszystko dla jakiegoś niedosłzłego architekta, którego prawie nie zna.

- Dobrze. - Kiwnęła głową i dopiła kawę. - Zgadzam się na jednego drinka. Nie chciałabym dziś zbyt późno kłaść się spać. Nie wiele spałam przez ostatnie kilka nocy. Pracując, oczywiście. - Tym razem nie kłamała.

Jeff już wcześniej przygotowywał się do tej wizyty i kupił kilka butelek wina. Większość ludzi piła wino i Anna nie była wyjątkiem. Podał jej kieliszek. Wyglądała na zadowoloną.

- Jak długo zamierzasz zostać w tym "Raju"? - Wydawało mu się, że już go o to pytała, ale może chciała się upewnić.

Próbował nie robić sobie większych nadziei. Może ona po prostu wolała trzymać się takich nic nie znaczących tematów.

- Wynajęliśmy... wynajęłam domek na dwa tygodnie i nie chciałabym zmarnować tych pieniędzy. - Gdy dotknął lekko jej dłoni, poczuł, że cała drży. - Dlaczego pytasz?

- Tak, po prostu... z ciekawości.

- Potrzebuję odpoczynku. Z wyjątkiem zimy pracuję siedem dni w tygodniu. Jest bardzo ciężko, za dużo pracy. I każdy wyobraża sobie, że jego zamówienie powinno być zrealizowane jako pierwsze. Przy większym zleceniu, jak garaż, pracuję trzy dni i już trzeba ją przerwać, bo ktoś czeka na ciebie od tygodni z jakimś drobiazgiem. Robisz, co tylko możesz, by zadowolić wszystkich.

Poza tym ludzie zwlekają z zapłatą, a są i tacy, którzy potrafią nie zapłacić w ogóle, bo nie dokręciliś jakiejś tam śrubki. Dużo pracy i zmartwienia. Raz wzięłem pięć tysięcy dolarów, ale wierz mi, kosztowało to o wiele więcej. Moja rodzina nie pochwała tego. Im się wydaje, że po skończeniu prywatnej szkoły powinienem mieć pracę, do której chodzi się w garniturze. Życie nie jest usłane różami. Wybrałem się na zasłużony urlop i muszę wykorzystać go do końca.

- Zasłużyłeś sobie na to. - Ścisnęła mu dłoń. Wpatrywała się w niego. Miękkie usta uśmiechały się do niego, oczy jaśniały błękitem. Wtedy pocałował ją nagle. Poczula się jak myszka, na którą niespodziewanie spadł jastrząb. Spodziewał się, że to ją spłoszy, ale tak się nie stało. Nie odrywając od siebie ust, odstawili kieliszki. Przyłgnęli do siebie. Anna przycisnęła go do siebie tak mocno, jakby bała się, że ta chwila już się nie powtórzy i chciała nacieszyć się każdą jej sekundą.

- Nie powinnam ci na to pozwalać. - Zastygła wtulając twarz w jego koszulę. W jej torebce leży mała szara tabletki, niewinna jak bomba zegarowa.

- Ponieważ jest ktoś inny! - Stał w napięciu, ciemne chmury zbierające się nad jego nadziejami doprowadzały go do szału.

- Jest ktoś inny - wyszeptwała. - Ale to nic poważnego. Raczej kłopotliwego. Nie powinnam była tego w ogóle zaczynać.

- Rozumiem. Chociaż niezupełnie. - Nie wiedział, czy oznaczało to, że chciała zostać ze swoim kochankiem, czy też nie. Trzeba było podjąć stanowczą decyzję. Nie chciał dzielić się Anną z jakimś innym facetem. Z drugiej strony podziwiał jej uczciwość, nawet jeżeli chodziło tu tylko o niewinną wakacyjną przygodę.

- Jestem trochę zmieszana. - Zachowywała się jak nastolatka. Chciałaby i mieć ciastko, i zjeść je. - Lubię cię Jeff, w tym cały problem.

- To jest więcej niż przyjaciel?

Zawahała się na moment i kiwnęła głową. - Tak.

- Więc w czym problem?

To nie jest takie proste, jak ci się wydaje. Nie mogę ci tego wyjaśnić. W każdym razie, jeszcze nie. Ale Jeff - jej oczy zasły mgłą, - czy naprawdę musisz tutaj pozostać? To znaczy... jest masa takich miejsc, jak to, nieprawdaż?

- To znaczy - odpowiedział z goryczą - że chcesz, abym się

spakował i wyjechał. To rozwiązałyby twój problem. Najlepiej jak wyniosę się z twojego życia, zanim już będzie za późno i pozostawię cię i jego w spokoju. O to ci chodzi?

- Tak... i nie. - Teraz już łzy spływały potokami po jej policzkach, czuła jak zbliża się załamanie. - Nie chcę, żebyś wyjeżdżał, to nie ma z tym nic wspólnego. Nie mogę ci o tym powiedzieć, proszę, uwierz mi. Chcę żebyś został, chcę być z tobą. - To było szaleństwo, znali się dopiero kilka godzin. Poczuli nienawiść do Tony'ego Mortona, za to co robił ludziom i za to, co zrobił jej i Jeffowi.

Potrząsnął głową i pocałował Annę raz jeszcze. - Nie zamierzam wyjeżdżać. Nie wiem o co, do diabła, chodzi, ale zostanę. Zobaczmy się jeszcze?

- Ależ tak! - potwierdziła bez wahania. Pragnęła go i tylko to miało znaczenie. Jeśli to będzie konieczne, zacznie kłamać i oszukiwać, by chronić go przed tym obrzydliwym eksperymentem. Może nawet rzuci tę pracę? Musi być jakieś wyjście. Chryste, Morton ma pod dostatkiem ludzi i świnek morskich, może się obejść bez Jeffa Beebee.

- Może jutro wieczorem? - Patrzył na nią, jak wyglądała sukienkę, podniosła torebkę i ścisnęła ją mocno w dłoni, jakby w obawie, że ktoś mógłby jej ją zabrać.

- Jutro wieczorem. - Uśmiechnęła się, ale głos jej drżał. - Może dla odmiany wyjedziemy gdzieś poza teren ośrodka. Zrozum, dla mnie to jest miejsce pracy, chciałabym wyrwać się stąd na kilka godzin. Mam na myśli jakąś restaurację, jeśli się zgadzasz. Te restauracje w ośrodkach lotniskowych to tylko bary samoobsługowe, niezależnie od tego, jak się nazywają.

Stał w drzwiach i przyglądał się niknącej w ciemności sylwetce. Rozsądek podszeptował mu, by wynieść się stąd już teraz, zanim dowie się, o co w tym wszystkim chodzi.

Lecz jego serce podpowiadało mu co innego. Wiedział, że woli zostać.

Rozdział szósty

David Dolman przebywał w ośrodku już od tygodnia. Twarz miał wydłużoną, długi, ostro zakończony nos i szare ruchliwe oczy. Miał około pięćdziesiątki, siwe, krótko ścięte włosy. Wytarte dzin-sy kontrastowały z ciemną marynarką, która musiała pochodzić z czasów, gdy jej właściciel przyszedł na świat. Używał szorstkich słów, jakby sarkazm już dawno wszedł mu w nawyk. Irytował w ten sposób każdego swego rozmówcę.

Zapytany o zawód odpowiedział, że jest "przewodniczącym rady zakładowej". Pięć lat temu stał na czele dwóch tysięcy robotników, strajkujących przeciwko nowemu ustawodawstwu przemysłowemu. Chciano skrócić robotnikom przerwę śniadaniową o pięć minut i zrekompensować to zwiększeniem premii. W czasie zebrania pracowników żarliwość przemówienia wzięła górę nad logiką i spowodowała powszednią histerię. Dwie godziny później na nowo podjęto pracę, a Dolman został zdymisjonowany przez własny związek. Rana, jaką mu wtedy zadano, dotąd paliła jego buntownicze serce. Od tamtej pory działał samotnie, korzystając z każdej okazji, aby występować przeciwko wszelkim przejawom niesprawiedliwości. Spotkać go można było w czasie różnorodnych protestów, pikiet, buntów i zamieszek. Dwa razy zatrzymała go policja. Za pierwszym razem został zwolniony z braku dowodów, a za drugim zmuszony był do zapłacenia 30 funtów i złożenia zobowiązania, że nie będzie już więcej naruszał porządku publicznego.

Ostatnie, najspokojniejsze dwa lata swojego życia spędził na pisaniu do gazet anarchistycznych podlegających artykułów, które podpisywał inicjałami "D.D." Nawet wydawcy nie byli skłonni ujawniać nazwiska Dolmana ze względu na jego niepewną reputację. Niepowodzenia traktował jako wstęp do przyszłych zwycięstw i rozgłosu.

Teraz znów poczuł w sobie potrzebę zabrania głosu, dość miał anonimowości. To właśnie sprawiło, że przybył do "Raju". Tu spędzali swój letni urlop i przemysłowcy, i robotnicy, tu mógł znaleźć poparcie dla swoich idei. Często, szukając odpowiednich ludzi odwiedzał bary na obrzeżach ośrodka. Tak spotkał Artura Smitha, pracownika ośrodka, strzygącego trawniki i boiska,

Artur był o rok młodszy od Dolmana. Gęsta czupryna siwych włosów, dwudniowy zarost, wymięty popielaty płaszcz i kalosze

na nogach. Łaził w nich po boiskach rozczarowany własnym losem. Jego ciągle nachmurzona twarz wyrażała bezgłośny protest przeciwko tutejszej hierarchii społecznej.

- Cały ten ośrodek to policzek wymierzony ludziom pracy. - Dolman postawił towarzyszowi kufel piwa. - Wystarczy się nieco rozejrzeć, by się o tym przekonać. Zakamuflowany podział na "my i oni." Luksusowe domki i przyczepy kempingowe, bogaci i biedni zebrani razem. - Z dezaprobatą machnął ręką. - A ta buda ma niby przypominać dom rodzinny ? Świnie niech idą do koryta! A po drugiej stronie stoi normalny bar, gdzie podają drogie wina. Rozumiesz bracie, co mam na myśli?

- Tak. - Artur głośno siorbał piwo. - Upijają się i śmieją każdej nocy, tak samo jak ja czy ty. Rzygać się chce! - Zaczął gestykulować. - Bogaci się bogacą, a biedni biednieją. Po co się zamartwiać, przecież i tak nic nie można na to poradzić.

- Czyżby ? - ironizował Dolman.

- Oczywiście. Rząd dba tylko o własny interes. Robotników trzyma się z dala. Wykorzystuje się ich jak niewolników. Czy wiesz, że moja dzisiejsza gaża jest niższa, niż trzy lata temu ? Szef mówi - albo to bierzesz, albo odchodzisz. Traktujemy to raczej jako robotę dorywczą. Oni na tym wychodzą doskonale. Od maja do września mają komplet gości. My zaś z nadejściem jesieni wracamy na zasilek dla bezrobotnych albo łapiemy jakieś przypadkowe zajęcia za grosze. Nie mamy wyboru, w tej części kraju nie ma pracy.

- Co robi, wobec tego, twój związek ? - Oczy Dolmana zwężyli się.

- Związek ? Jaki związek ?

- Chcesz powiedzieć, że nie należysz do żadnego związku ?

- Nie w tym cholernym "Raju". Podpisałem umowę, która zastrzega, że nie wolno mi należeć do żadnego związku.

- Jezu Chryste! - Udawał zaskoczenie i złość. - I ludzie zgadzają się na takie warunki ?!

- Nie mają wyboru. - Smith opróżnił kufel.

- Pozwól, że postawię ci drugi. - Podeszedł do baru. Wiedział, że powoli rozbudza w rozmówcy złość. Nasiona zostały zasiane. Wszystko w swoim czasie, bez pośpiechu. Trzeba pozwolić mu zastanowić się nad tym, co usłyszał.

- Myślisz, że można coś zrobić ? - Artur przyjął podany mu kufel i już spijał pianę z wierzchu. Zastanawiał się nad tym przez lata

znoszonych krzywd i nie sądził, aby ten facet mógł mu teraz pomóc. Przynajmniej mógł pogadać z kimś, kto podzielał jego punkt widzenia. Żaden związek nic by tu nie zmienił. Z nadzieją jesieni wszyscy i tak odchodzą do pomocy społecznej.

- Ludzie zarządzający tym miejscem muszą zdać sobie sprawę z tego, że nie są tu sami. - Dolman oparł się o stół.

- Jeśli masz na myśli strajk, to lepiej nie zawracaj sobie tym głowy. - Smith zacisnął swe wysuszone wargi. - Już ci mówiłem, nie sprawi im żadnego kłopotu zastąpienie nas innymi ludźmi.

- Nie chodzi o strajk - Dolman mówił dalej. - W każdym razie jeszcze nie. Można jednak utrudnić nieco życie tym wyzyskiwaczom.

- W jaki sposób ?

- No... - przerwał i na chwilę zamknął oczy, jakby próbował skupić myśli. - Tak myślę, że zepsutymi kosiarkami nie można ścinać trawy. Albo nawet pożar w magazynku z narzędziami...

- Hola! Jest tu przecież policja!

- No i co z tego! Można to zrobić tak, że policja nie będzie w stanie nic udowodnić. Można by trochę napaskudzić, mam na myśli luksusowy apartament. Pokazać snobom, że nie są lepsi od siedzącego w swym obskurnym domku robotnika.

- Ci eleganci przestaliby tu wtedy przyjeżdżać.

- Dokładnie. - Dolman wykrzywił twarz w uśmiechu. Już ma w garści tego Smitha. Ale to dopiero początek. Było jeszcze dużo do zrobienia. - Eleganckie domki będą mogli zająć goście tacy, jak ty. Firma będzie musiała zmienić warunki, albo ośrodek opustoszeje. Rozumiesz ?

- Ale co to ma wspólnego ze mną ?

- Dobrze pytanie. Na początek niewiele ci to pomoże, tyle, że nie będziesz już przeganianym sługą. Gdy będziesz kosił trawę, wyjdzie z domku facet, by z tobą pogawędzić, może poczęstuje cię papierosem. Zrobisz mu przysługę, a on będzie ci dawał napiwki. Będziesz pracował dla ludzi, którzy będą okazywać ci zrozumienie. Będziesz miał za sobą klasę pracującą. Każdemu gościowi wyjeżdżającemu do domu daje się w recepcji ankietę do wypełnienia. Jeżeli obsługiwałeś ich dobrze, zaznaczają, że pracownikowi opiekującemu się trawnikami wyrządzana jest krzywda. Przekonają ich, że jeżeli ta firma będzie dalej tak traktowała swój personel, oni zdecydują się spędzić następne wakacje gdzie indziej. Rób tak, a

szef zacznie się bać, że w przyszłym roku nie będzie miał gości.

- Myślisz, że to zadziała? - Zachwyt rozlał się na twarzy Artura Smitha. Jego wątpliwości utonęły w piwie.

- Oczywiście, że tak, trzeba tylko trochę czasu. Najpierw musisz stawić czoła bogaczom. Nie możesz pozwolić, by cię lekceważyli. "Robotnicy dla robotników" - tak powinna brzmieć twoja dewiza. Załóż swój związek, walczący o lepsze warunki pracy i płacy. A za rok czy dwa będziecie nadawać ton i rządzić całym tym ośrodkiem. Tak się dzieje wszędzie, dlaczego nie miałoby stać się i tutaj. Milczenie do niczego nie doprowadzi. Musisz być przebiegły. Przy najmniej pozbędziesz się tych, którzy przez lata srali na ciebie.

- To ma sens. - Artur pociągnął jeszcze jednego długiego łyka i zastanawiał się, jak przedłużyć rozmowę o jeszcze jeden kufel.

- Zastanów się nad tym, a jutro znowu się napijemy. - Dolman był gadatliwy, ale wiedział kiedy skończyć. Tylko nie powtarzaj tego nikomu. Nie wszyscy są tacy bystrzy, jak ty. Będziemy musieli poczynić ostateczne plany, uzgodnić co dokładnie trzeba zrobić. Zobaczymy się jutro wieczorem, bywaj.

Smith patrzył za odchodzącym Dolmanem i ze zdziwieniem pytał siebie, dlaczego sam wcześniej o tym nie pomyślał.

David Dolman przychodził regularnie na obiad do restauracji. Nie cierpiał dań na wynos i barów szybkiej obsługi. Nawet za czasów, gdy był przewodniczącym związku, jadał codziennie w przyzakładowej restauracji. Liczył się prestiż. Nie zdobędzie się szacunku zbytnią poufałością z podwładnymi. Nie należało się z nikim dzielić. Miał zasadę: "Zawsze będą bogaci i biedni, ale lepiej do tych drugich nie należeć." Zachowywał też w tajemnicy posiadanie małej willi na wsi w okolicach Devon. Jak na razie mieszkał w małym, służbowym mieszkaniu w Londynie. Starał się zachować pozory tak długo, jak tylko można. To był ważny element jego strategii.

Na początku drugiego tygodnia pobytu w obozie Dolman znalazł się przy jednym stoliku z Jeffem Beebee. Obaj spoglądali na siebie badawczo, tak jak zwykle bywa, gdy dwoje obcych ludzi siedzi naprzeciw siebie. Żaden z nich nie miał w zwyczaju nawiązywania przygodnych znajomości. Pogrążyli się w studiowaniu menu.

- Wezmę zupę i pieczeń - oznajmił Dolman i spojrzął na Jeffa. - A co dla pana? Polecam zakąski, to zapewne specjalność tutejszej kuchni.

- Sok owocowy, rybę i frytki. - Jeff Beebee odprowadził wzrokiem przechodzącą przez jadalnię kelnerkę. Nie był pewien, czy podoba mu się ten facet przy stoliku. Szorstki, pewny siebie typ. Oto cena, jaką się płaci, przebywając samotnie na urlopie. Z drugiej strony sali zauważył, siedzącą koło jakiegoś gościa Annę. Przeszył go ból zazdrości. - "Nie bądź tak cholernie głupi, to przecież jej praca" - pomyślał.

- Nazywam się Dave Dolman - Facet przy stoliku wyciągnął do niego dłoń.

- Jeff Beebee. "Ta rozmowa nie będzie przyjemna" - pomyślał.

- Jakie wrażenia z pobytu tutaj, Jeff? - Zbyt bezpośrednie pytanie jak na rozmowę o niczym.

- Odpowiada mi, mogę robie to, na co mam ochotę. To taki ośrodek w starym stylu.

- Tak? - Usta Dolmana ułożyły się w szyderczy uśmiech. - Kiedyś takie obozy budowano dla robotników. Teraz im to zabrano. Wprowadzono tu klasę średnią i bary z koniakiem, spychając ludzi pracy do ich oddalonego od rozrywek getta. Pochowano ich dyskretnie, by zaspokoić snobów. Ja to wszystko dostrzegam, a pan?

- Nie mogę powiedzieć, aby mnie to dręczyło, czy przeszkadzało. I chyba większość ludzi tu przyjeżdżających podziela mój pogląd. - Jeff powściągnął swą irytację. On chyba nie będzie marudzić przez cały obiad? Może Anna mogłaby coś zrobić, żeby się stąd wyniósł.

- Dobry wieczór panom. - Serce zabiło mu szybciej, gdy do stolika podeszła Anna ubrana w białą marynarkę. Ogarnęło go dziecinne pragnienie pokazania całemu światu, że ona jest jego dziewczyną. Ale trzeba było zachować spokój, mieli dopiero za sobą jedną randkę. "Chyba nie przyszła tu, by powiedzieć mi, że się już więcej nie spotkamy?" - przestraszył się.

- Ach, pan Dolman. - Zajrzała do swego notesu. - Jak panu smakuje obiad?

- Jedzenie jest w porządku. Ale cała reszta cuchnie!

" Rozumiem. Ja jestem odpowiedzialna tylko za posiłki - odpowiedziała zimno. W niej również ten człowiek nie wzbudzał sympatii. - Właśnie idzie kelnerka. - Odwróciła się do dziewczyny niosącej na tacy pieczeń i budyń Yorkshire. - Pomogę ci. Susie. Pieczeń dla pana, panie Dolman?"

- Tak - odburknął i przyglądał się jak Anna stawiała przed nim talerz. - Jezu Chryste, nie widziałem jeszcze miejsca, gdzie podawano by robotnikom tak duże porcje, jak tutaj. Ich na to nie stać.

- Obawiam się, że ja nie mogę im w tym wzglądzie pomóc. - Anna wymieniła z Jeffem porozumiewawcze spojrzenie. - I jak, jest pan zadowolony panie Dolman ?

- Gdybym nie był, już byś o tym usłyszała, moja droga - odrzekł z pełnymi ustami.

"Jakiz prymitywny facet" - pomyślał Jeff. Umyślnie irytował Annę, urodzony intrygant. Niewątpliwie jakiś anarchista. Jeff skupił się najedzeniu. Nie miał zamiaru psud sobie posiłku słuchaniem kogoś takiego jak David Dolman.

O 23.30 Anna pojawiła się w barze nocnym. Była zaniepokojona, jakby miała spotkad jedzącego Ui Dolmana.

- Co to był za facet! - Jeff trzymał jej dłoń. - Zaskoczył mnie już w momencie, gdy usiadł do stolika. Na szczęście gdy odeszłaś, nie miał już ochoty na rozmowę. Do końca pobytu tutaj nie chciałbym siedzieć z nim przy jednym stoliku.

- Nie martw się, już przeniosłam go gdzie indziej - uśmiechnęła się do niego. - Jest znany nie tylko w obozie. Ten facet walczy przeciw wszystkiemu, nie raz miał kłopoty z policją.

- Macie takie informacje o gościach ?

- Kiepska reputacja sama ciągnie się za ludźmi. - Rozejrzała się. - A tak przy okazji... Myślę, że lepiej będzie jak nie będziemy się więcej pokazywać publicznie.

- Och! - Zadrżał. - Twój kochanek się uskarżał ?

- Nie mów tak, Jeff, proszę. - Jej oczy zaszyły mgłą. Uwierzył mi, nic mnie już nie łączy z tym człowiekiem. Oprócz tego, że jest moim szefem. Mógłby utrudniać mi życie.

- Ach, rozumiem. - Spojrzał na swoją wieprzowinę, wyglądała niesmacznie. - Jeśli tak, to nie bój się mnie odstawił.

- To nie jest tak. - Jej głos brzmiał szczerze. - Nie chcę się z nim spotykać, ale chcę zatrzymać moją pracę. W każdym razie jeszcze przez jakiś czas.

- Całkiem słusznie, nie mogę oczekiwać, że rzucisz pracę z powodu jakiejś wakacyjnej znajomości. Cóż, jest jak jest. Z tym w końcu można się pogodzić.

- Tego oczekiwałem. - Poruszyła ramionami jakby chciała w ten

sposób zrzucić z siebie wszelkie udręki. - Dobrze, ale do pracy zabieram się później. Od tej chwili nie chcę już o niej myśleć.

Śmiali się beztrzesko, dopijając następny kieliszek wina. Niepokój Anny gdzieś uleciał. Z oddali słychać było rytm swingującej muzyki i gwar bawiących się ludzi. Przechodzili tam i z powrotem między domkami, żądni rozrywki, zabawy i śmiechu. Ale Jeff wyczuwał w tym jeszcze jakiś ukryty niepokój, choć nie potrafił go dokładnie określić. Anna coś skrywała. Wczoraj dała mu do zrozumienia, że nie powinien tu mieszkać. Coś dręczyło ją w głębi duszy.

- Kiedy kończy się sezon ? - Pocałował ją i pomyślał, że może nadszedł czas, by porozmawiać poważnie.

- Dwudziestego piątego września. W tym roku o tydzień wcześniej. - Dlaczego pytasz ?

- Zastanawiałem się... co chciałabyś robić później ?

- Myślę, że wrócę do Cambridge, tam mam mieszkanie. Zimą pracuję w biurze firmy.

- Nie sądziłem, że macie biura w Cambridge. W mojej broszurze był tylko adres w Londynie. W końcu tam wysłałem swój czek.

- Nie pracuję bezpośrednio dla tego ośrodka. - Zamknęła oczy.

- Jestem w towarzystwie dostarczającym żywność. - Niechciała, by zadawał więcej pytań. Zbliżyła swe wargi do jego ust.

Przeszedł go palący dreszcz. Pociągnął ją za sobą na sofę. Anna była inna. Może to było głupie, ale wyniósł ją na piedestał, ponad inne dziewczyny. Rozpaleni szaloną namiętnością płonęli w swych objęciach. Wciąż bał się, że uczyni coś, co mogłoby nagle zniweczyć wszystko. Jego dylemat rozstrzygnął się, gdy jej ręka wślizgnęła się pomiędzy ich ciała i odepchnęła go lekko.

- W sypialni będziemy mieli więcej miejsca - wyszeptwała.

Podniósł się, pomógł jej wstać i poprowadził do sąsiedniego pokoju. Weszli tam, nie zapalając światła. Dwoje drżących i rozpalonych namiętnością ludzi.

Rozdział siódmy

Wyścigi osłów zawsze cieszyły się sporym zainteresowaniem. Cały teren ogrodzono z dwóch stron, aby stworzyć tor wyścigowy. Porządkowi ostrzegali głośno rodziców, by pilnowali dzieci przed samowolnym wychodzeniem na bieżnię, Ludzie opiekujący się zwierzętami mieli zawsze ogromne trudności z namówieniem ich do wzięcia udziału w biegu. Jakiś jaskrawo ubrany mężczyzna podawał im skrycie z wypchanych kieszeni marchewkę. Od tygodni w ten sposób osławiano osły.

W połowie trasy, sześć metrów nad ziemią, widniała platforma, na której - przy mikrofonie siedział komentator. Dookoła panowało totalne zamieszanie, osły nie potrafiły ustać w miejscu i próbowały uciec od swoich dżokejów do człowieka z marchewkami.

Wzdłuż całej długości toru stali zgromadzeni ludzie. Komentator zapisywał na tablicy numery zawodników i ogłaszał je swym grzmiącym głosem. Na kwadrans przed rozpoczęciem wyścigu bukmacher ogłosił zamknięcie zakładów. Mógł zrobić to tylko w momencie, gdy nie będzie miał już klientów.

Miały się odbyć trzy biegi. Krążyła pogłoska, że największym faworytem w dniu dzisiejszym był Benjamin III, zwycięzca z zeszłego miesiąca. Dzielił on swe zaszczyty na zmianę z J-J, Noddy i Joshua. Jednak większość ludzi nie wiedziała, czy stawia na właściwego zawodnika. W wyścigu brały udział osły z większości okolicznych obozów, co dodatkowo dezorientowało graczy. Według zasady - im większy chaos, tym lepiej dla totalizatora.

W końcu linia startowa była gotowa i wśród tłumu zaległa cisza. Bomba poszła w górę. Wystrzał z pistoletu przestraszył większość zwierząt, które zaczęły wierzcąc i uciekać w przeciwnym kierunku.

- Ruszyli! - Człowieka na platformie ogarnęło gorączkowe podniecenie, dzieci krzyczały, a porządkowi nawoływali. - Proszę się odsunąć, oni rozpędzają się coraz bardziej! Proszę wziąć to dziecko od barierki! Dziękuję pani. Benjamin wyprzedza ich już o dwie długości, razem z Hobbitem, który depece mu po piętach. To bez wątpienia najbardziej fascynujący wyścig sezonu!

Benjamin III nagle zwolnił nieco, jakby chciał się zatrzymać. W tej samej chwili biegnący tuż za nim, zaskoczony Hobbit został zepchnięty do tyłu.

- Benjamin III, po zacieklej walce z Hobbitem, zdobył prowa-

dzenie. Na trzeciej pozycji jest w tej chwili Muffin. Och, panie i panowie, co za wyścig!

Krzyczący tłum przepychał się w stronę mety. Jedno ze zwierząt zbuntowało się przed metą, zaczęło brykać i w końcu biec z powrotem na start. W odpowiedzi rozległ się chór gwizdów.

Benjamin przerwał wstęgę. Hobbit przybiegł za nim jako drugi. Wtedy część ludzi ożywionych świadomością wygranej zaczęła pchać się prosto do okienka bukmachera. Reszta ustawiała się w kolejkach po watę cukrową lub torebkę frytek.

Organizatorzy długo uczyli się sztuki panowania nad nastrojami ludzi. Wyścig się zakończył, a już rozbrzmiewały zapowiedzi innych imprez, mających się odbyć niebawem. Za dziesięć minut można było, na przykład pojeździć na zwycięskim Benjaminie III.

Komentator odłożył megafon i zdjął z siebie błyszczącą kurtkę. Bał się awantur, gwizdów, bombardowania zgnitymi jabłkami, które Jimmy ze straganu z owocami rozdawał dzieciakom. Ale dziś wszystko poszło gładko. Zszedł po drewnianych schodach i udał się na herbatę.

Po chwili ktoś inny zaczął wspinać się na platformę. Ludzie z początku nie zwracali uwagi na tę postać, mimo że nie miała na sobie służbowego stroju. Tutaj panował zwyczaj niekomentowania i ignorowania tego, co się widzi.

A tymczasem ów człowiek podniósł megafon i przyłożył go do ust..

- Panie i panowie, bracia, towarzysze robotnicy!

- Boże wszechmogący, co to, do licha ? - Komentator wyścigów siedział już w kawiarni przy herbacie, gdy doszły do niego te słowa. Porządkowi patrzyli w zdumieniu na platformę, tłum zaś znieruchomiał w oczekiwaniu.

- Bracia, mogliśmy zebrać się razem w tym obozie, ponieważ żyjemy w tym kraju na statusie tak zwanych robotników. Podczas, gdy, tacy jak wy czy ja, uciskani i wyzyskiwani pracujemy, inni bogacą się i tyją. I coraz bardziej rozleniwiają się. Choćby tutaj. Podobno to miejsce jest ośrodkiem rekreacji dla klasy pracującej, ale rozejrzyjcie się wokół. W drugim końcu obozu stoją luksusowe domki, bary i restauracje. W niczym nie przypominają one ubogich pokojów w waszym getcie. Nawet tutaj jesteście wyzyskiwani. Pytam was, czy zamierzacie się z tym pogodzić ? Czyżbyście byli zadowoleni z tego, co dostajecie?

- Jezu, co to za przybłęda ? - zapytał mężczyzna w żółtym kombinezonie. Koledzy spojrzeli na niego. Ktoś powinien interweniować. Pierwszy raz coś takiego się tu wydarzyło.

- Ściągnę go na dół. - Inny mężczyzna ubrany w taki sam kombinezon wstał i naszył w tamtą stronę. - Cholerny wariat!

Tłum cofnął się i słuchał. Nic nie zagłuszało głosu mówcy. Może to kolejny dowcip, przygotowany przez organizatorów ?

Człowiek w żółtym kombinezonie zaczął biec. Gdzie, do diabła podziła się policja ? Pewnie, popijając herbatę, liczą zebrane od gości napiwki. Ich obowiązkiem było zająć się tym facetem. Przerdarł się do schodów i spojrzął w górę.

Stał tam mały człowieczek z wyrazem szalonego fanatyzmu na twarzy. To na pewno nie był żart.

- Hej, koleś! Myślę, że dla własnego dobra powinieneś zejść już na dół! - Miało to zabrzmieć stanowczo, lecz zamiast tego wydało się głupią zaczepką. Człowiek na górze nawet tego nie usłyszał i krzychał dalej.

- Kurczę, muszę tam wejść! - Człowiek w żółtym kombinezonie nie przepadał za problemami, a poza tym miał lęk wysokości. Normalnie w razie potrzeby można było wezwać pomoc przez radio. Dziś akurat nie miał przy sobie radia, jeszcze nigdy nie doszło do awantury podczas wyścigów.

- Hej, koleś! Zejdź lepiej na dół! - krzyknął głośniej, ale i tym razem facet na platformie nie zareagował.

Zaczął wspinać się nerwowo po schodach. Próbował nie patrzeć w dół. Dokładnie badał każdy stopień, zanim na nim stanął. To tylko dwadzieścia kroków, ale wystarczająco wysoko, by złamać nogę. Albo kark. Zatrzymał się i spojrzął na tłum. Większość ludzi stała i słuchała tych bredni. Głupcy!

Nareszcie wszedł na szczyt. Nikt nie podążył za nim, by mu pomóc.

- Oni was znieważają, bracia, ruszczą was! Macie zamiar to tak spokojnie znosić ?

- Daj temu spokój, bracie. - Głowa i ramiona pracownika obozu były już na wysokości platformy. Widział już nogi krzykacza, spodnie wypchane w kolanach i zdarte tenisówki. Zaszary włóczęga, pewnie jakiś narkoman.

Mówca przerwał swój wywód, odwrócił się i spojrzął na wchodzącego człowieka. Temu zaś zaschło w ustach i myślał już tylko

O tym, by jak najszybciej znaleźć się na bezpiecznej ziemi. Ten facet to na pewno wariat, trzeba patrzeć mu prosto w oczy, a zacznie się bać. Ów szaleniec zaś wlepił oczy w intruza i wrzasnął na niego:

- Czego tu chcesz, synku, do cholery ?

- Lepiej... niech pan zejdzie na dół. Musimy rozebrać... platformę.

- Złaż na dół, bo inaczej sam cię zepchnę, ty kapitalistyczny sługusie! Wysłali jednego ze swych niewolników, by przeszkodzić mi w mówieniu prawdy! Zjeżdżaj!

Tamten chciał się wycofać, nie miał ochoty bić się z kimkolwiek na tej wysokości, ale już było za późno. Zobaczył zbliżający się ku niemu trampek, podniósł rękę, by ochronić twarz i w tym momencie stracił równowagę. Obdarty trampek uderzył w jego nos. Gdy spojrział w dół, zakręciło mu się w głowie i poczuł, że spada ze schodów. Słyszał trzask łamanych desek, próbował chwycić się ich, gdy jego ciało odbijało się i ześlizgiwało. Spadał coraz szybciej pośród rozlegającego się wokół kpiącego śmiechu. "Wy dranie, będziecie się mieli z pyszna, gdy skręcę kark" - przemknęło mu przez myśl.

Gdy uderzył o ziemię, poturłał się parę metrów. Dopiero teraz poczuł ból w złamanej nodze i smak krwi w ustach. Wokół wszystko pociemniało i zasnęło się szkarłatną mgłą. Leżał skulony, a tłum szczydził, ujadął jak sfora psów, która dopadła wystraszonego lisa.

Mężczyzna w górze ciągnął swoje przemówienie, jakby nic się nie stało. To była tylko mała przerwa.

- Widzicie, bracia, oni boją się prawdy, ale ja nie zamilknę...

Wtedy pojawiło się dwóch biegnących mężczyzn w szarych mundurach i kaskach ochronnych. Przy pasach przymocowane mieli gumowe pałki, a na koszulach widniały emblematy miejscowej policji. Pilnowali porządku w lokalach nocnych. Ten incydent zaskoczył ich. W biegu wskoczyli na drewniane skrzypiące schody i wyciągnęli pałki.

Poniżej dwóch mężczyzn w żółtych kombinezonach opatrywało swego kolegę, wzywając przez radio pogotowie ratunkowe. Lecz w pierwszym rzędzie trzeba było rozegnać ten motłoch.

- Odsuńcie się, wy kapitalistyczne świnię! - Stojący na szczycie Dolman nie wyglądał na zniechęconego czy przestraszonego. Był jedynie zły, że znów musi przerwać przemówienie. Przyglądający się wszystkiemu tłum wrzał, nie spodziewał się takiej rozrywki w

lej chwili. Wszyscy przekonani byli, że to gra, rozmyślnie przygotowane przez organizatorów widowisko. Pokaz czynów kaskaderskich, lub coś takiego. Całkiem zabawne przedstawienie.

Dolman naprężył swe gibkie ciało do następnego kopnięcia. Miał zamiar trafić w wylaniającą się właśnie przed nim twarz. Wrzasnął z niepohamowaną wściekłością. Jednakże, gdy palcem u nogi dotykał już niemalże hełmu policjanta, ten zręcznie uchylił się przed ciosem. Zapewne przeszedł odpowiedni kurs samoobrony, był pewny swej przewagi. Dolman aż krzyknął z bólu, gdy jego noga wzbijając się w powietrze, naciągnęła mięsień. Poza tym wyciągnięta noga pociągnęła za sobą drugą. Dolman zaczął wymachiwać ramionami próbując złapać równowagę. Upadł z głuchym trzaskiem na środek schodów i klnąc ciężko sturlał się w dół. Runął tuż przy noszach, które przyniesiono dla jego wcześniejszej ofiary. Leżał błady, z niewidzącymi oczyma zwróconymi ku niebu..._

Tłum przyjął to z aplauzem. To był wspaniale wykonany numer. Bufonada zakończona wspólnym upadkiem dobrej i złej postaci.

- To mu w zupełności wystarczy. - Policjant schodził powoli. Nie było powodu do pośpiechu, reszta roboty należy do sanitariuszy.

- Chodźmy dopić herbatę, Joe.

Tim Morrison był kierownikiem "Raju" od czasu jego założenia. Większość swych dochodów przeznaczał na wydatki, czyniące życie wygodniejszym. Garderoba pełna drogich garniturów, cygara, dobrze zaopatrzonej barek w imponującym gabinecie, cotygodniowe wizyty u fryzjera, mające wzmocnić ondulowane i farbowane na popielaty blond włosy. Był trzydziestoosmioletnim, pełnym wigoru kobieciarzem, dalekim wszakże od planów matrymonialnych. Chyba, że pewnego dnia zarząd mianowałby go dyrektorem. Nie brakowało mu przecież bystrości i kompetencji, zawsze wiedział jak uniknąć skutków przypadkowych błędów i znaleźć w razie potrzeby kozła ofiarnego. Uważał, że popularność wśród personelu nie jest receptą na awans, zmniejszałaby tylko szacunek dla jego osoby. Codziennie okazywał im zdecydowanie i stanowczość. Dbał o dobro klientów i własną reputację. W recepcji kazał powiesić swoją fotografię oprawioną w ramkę i podpisaną złotymi literami: "KIEROWNIK". "Być widzianym i rozpoznawanym" - tak brzmiała jego dewiza.

Bieżące problemy powinny być od razu zgłaszane administracji. Tim pracował w swoim biurze od 9.00 do 15.30. Dyktował listy sekretarce i odbierał telefony. Poza godzinami urzędowania wielokrotnie kontrolował pracę swego personelu. Jego zadaniem było sprawować opiekę nad obozem, więc osobiście doglądał, czy wszystko funkcjonuje prawidłowo. Często wpadał do jednego z barów napić się czegoś oraz sprawdzić jego wydajność i podejrzeć reakcje klientów.

Zmartwienia Tima Morrisona zaczęły się dopiero z chwilą, gdy na teren obozu przybył / za pozwoleniem Zarządu Dyrektorów / profesor Morton z ekipą naukowców. Tim doszedł do wniosku, że wymuszenia na nim, by podpisał tajne dokumenty, nie powinien brać za zniewagę. Demonstrował przecież od samego początku lojalność wobec firmy. W końcu to szefowie zasugerowali, by uległ temu zwariowanemu pomysłowi. Jeżeli nastąpi jakiś przeciek, wszyscy zlecą ze stołków i rząd pewnie również poda się do dymisji.

Zapalił cygaro. Nie dla pozy, tym razem. Naprawdę potrzebował hawańskiego tytoniu, by uspokoić nerwy. Musiał też zrobić coś z rękoma, by nie bawić się nimi jak uczeń na dywaniku u dyrektora szkoły.

- Trzeba to doprowadzić do końca - Morton mówił płynnie, żując koniuszek fajki. Napelniał biuro kierownika gęstym dymem tytoniowym. Drzwi były zamknięte, słychać było jedynie z sąsiedniego pokoju szybkie stukanie maszyny do pisania.

- Dwoje ludzi jest rannych. - Tim po raz kolejny zmienił pozycję w fotelu. - Jednym z nich jest gość, drugi to nasz pracownik. Obaj z powodzeniem mogą zrobić nam awanturę.

- O Dolmana się nie martw.

- On jest jedną z tych twoich...świnek morskich ?

Oczy Mortona błysnęły złowrogo spod gęstych brwi, ale zaraz zgasły. - Tak, prowadzimy na nim eksperyment. Zdaje się, że jest przesiąknięty anarchistycznymi ideałami i teraz walczy przeciwko wszystkiemu, co kojarzy mu się z państwem. Wiemy, że rozmawiał z jednym z twoich pracowników, to człowiek, który kosi trawę, Arthur Smith.

- Smith, ten leniwy drań. Zwolnię go, możesz go sobie zabrać.

- Nie, nie. My chcemy go tylko obserwować. Bez tych rzeczy. Ale Dolmana musimy... zatrzymać. Rozumiem, że ma zwichniętą

kostkę i przeżył wstrząs. Ale musi wrócić do swojego domku i...

- On potrzebuje opieki medycznej. Szpital nie wypuści go za pewne do jutra.

- Nie może iść do szpitala. Nie możemy pozwolić sobie, aby go przebadano. Dopilnuj, by twoi sanitariusze zabrali go prosto do domku. Powiedz im to teraz, zanim jacyś głupcy zadzwonią po ambulans ze szpitala!

Tim Morrison drżącą ręką podniósł słuchawkę i wykręcił numer. Miał nadzieję, że krótka komenda ukryła niepewność jego głosu, potem odłożył słuchawkę na widełki. - Załatwione. - Był cały spocyny. - Oni pewnie myślą, że oszalałem. Mieli właśnie dzwonić do szpitala. Donnachie jednak będzie musiał tam pojechać, najprawdopodobniej ma złamaną nogę. - I nigdy nie uda się nam tego zataić.

- Słusznie. - Morton pozwolił sobie na lekki uśmiech satysfakcji. - Musimy się nim zaopiekować, dasz mu podwójne wynagrodzenie, wyślesz do domu na płatny urlop do końca sezonu. Nie będzie zadawał pytań.

- Zawsze się ktoś taki znajdzie.

- Naturalnie, ale odpowiedź jest prosta. Dolman był pijany, wszedł na platformę i spadł. Na szczęście każdej nocy zdarzają się tu bójki pomiędzy pijanymi. To wydarzenie było tylko kolejnym widowiskiem. Powiemy mu to, gdyby zadawał pytania, po tym jak nasze środki przestaną już na niego działać. On sam nic nie będzie pamiętał. Powiemy mu, że miał dużo szczęścia, gdyż policja nie zatrzymała go za chuligaństwo. Ma reputację podżegacza, nie raz już łamał prawo. Będzie się jeszcze cieszył, że zostawiono go w spokoju, zobaczysz.

Tim Morrison odetchnął z ulgą. Profesor miał na wszystko odpowiedź. Jak na razie. Wyglądało na to, że niepokój dręczyć będzie kierownika tak długo, aż ci naukowcy nie opuszczą obozu.

- Napije się pan ? - Gestem wskazał barek,

- Dlaczego nie ? - Morton był uśmiechnięty i rozluźniony. - Małą szkocką, poproszę. Przy okazji chciałbym cię jeszcze o coś prosić. Mógłbyś zajrzeć do kartoteki gości ?

- Moja sekretarka może ją przynieść. - Morrison podszedł do telefonu. - O kogo chodzi ci w szczególności ?

- Potrzebne mi informacje o facecie nazwiskiem Beebee. Jeżeli miałbyś takie, których my nie mamy, oddałbyś mi wielką przysługę.

Rozdział ósmy

Dzień dłużyl się Jeffowi Beebee. Włóczył się nie mogąc znaleźć sobie miejsca. Wolałby teraz, aby dni były krótsze, a noce dłuższe. Anna zdominowała jego myśli. Nie mógł doczekać się nastania zmierzchu, gdy ona, jak potajemna kochanka, wkradnie się do jego domku.

Leżał pośród kamieni na plaży i płał się w gorącym słońcu. Nie zwracał uwagi na hałasujące wokół niego dzieci, ani na fale uderzające o brzeg. Nie opuszczało go wspomnienie ostatniej nocy. Kochali się wciąż i wciąż, aż w końcu Anna zgodziła się zostać na całą noc. Rankiem, gdy się zbudzili, kochali się raz jeszcze. Bał się wtedy, że mógł to być piękny erotyczny sen, który skończy się wraz z przebudzeniem.

Teraz dni wydawały mu się jedynie przerwą, odpoczynkiem pomiędzy namiętnymi nocami. Te, pachnące miłością, ożywcze myśli upajały go. Gemma zamknęła przed nim drzwi, a Anna otworzyła je. Nie było czasu na łamanie sobie serca. Raj w "Raju". Nigdy dotąd nie pragnął tak mocno, by wakacje trwały wiecznie. Jednak gdzieś tam w nim, na dnie duszy, tkwił niepokój. Anna niewątpliwie ukrywała coś przed nim. Był wszakże pewien, że go nie zdradzała. W porządku, ma problem ze swoim szefem, chce zakończyć jakąś sprawę, nie tracąc przy tym pracy. To było całkiem logiczne. Ale czuł, że chodzi tu o coś więcej. O coś, co powodowało, że w te piękne erotyczne marzenia wkradało się zwątpienie, strach, że dziś wieczorem wszystko może się skończyć Gemma nie potrafiłaby zadać mu takiego bólu, jaki by wtedy przeżył.

Rozejrzał się i spojrzął na zegarek. Była 13.35. Pora na obiad w restauracji. Ale nie chciał tam iść, nie był głodny. Planował wyjść gdzieś z Anną wieczorem. Kupił dwie butelki jej ulubionego blue nun.

Nie chciał dłużej leżeć na plaży. Był zbyt niespokojny. Było tyle rzeczy, którymi mógłby się teraz zająć: pływanie, może tenis, gdyby znalazł partnera. Jednak żadne z tych zajęć nie pociągało go.

Wstał, zebrał rzeczy i zaczął iść powoli po kamieniach w stronę piaszczystych wydm. Sunął przez nie miniaturowy parowóz, ciągnący za sobą odkryte wagoniki. Jeff nigdzie się nie spieszył. Szedł po prostu wzdłuż torów, gotów odskoczyć po usłyszeniu gwizdu wracającej kolejki.

Minął parę nastoletnich kochanków całujących się w zaciszu krzewów. Zazdrościł im nieskomplikowanego życia i tego, że mogli **być** teraz razem. Nie, nie miał powodów, by komukolwiek zazdrościć. Żaden z tych facetów nie miał przecież Anny. To on był tym szczęśliwcem.

W pewnym momencie skręcił na ścieżkę, prowadzącą do dużego jeziora z tajemniczą, zadrzewioną wysepką pośrodku. Na powierzchni wody pływały beztrzesko dzikie kaczki, wielkie stado gęsi kanadyjskich spacerowało po trawie. Ludzie rzucali im skórki od chleba. Ptaki podbiegały, łapały je i oddalały się z powrotem na bezpieczną odległość. Jeff usłyszał z oddali gwizd lokomotywy, która wolno wlokła się w stronę plaży, wioząc w wagonikach ściśniętych i krzyczących pasażerów. Anna miała rację, to nie było dobre miejsce dla niego. Ale nie mógł go w tej chwili zamienić na wyspy Bahama. Poza tym, te tak niepozornie zapowiadające się wakacje stawały się najbardziej ekscytującymi w jego życiu.

Myślał o tym, co zrobi, gdy te dwa tygodnie dobiegną końca. Oczywiście będzie musiał wrócić do pracy. Dobudówka majora Briggsa nie będzie czekać wiecznie, podobnie jak wiele innych zamówień. Anna z pewnością tu zostanie. Może mógłbym brać wolne i przyjeżdżać w każdy piątek. Tak przez dwa miesiące, do końca sezonu. Do Cambridge od jego domu też nie było daleko.

Salony gry to również nie miejsce dla niego. Maszyny wyciągające od ludzi pieniądze. Dzieci co tydzień przychodziły tu wydawać kieszonkowe. Wciągało ich to jak narkotyki. Jeff zajął się jakąś nudną grą, która w żadnym wypadku nie dawała szansy na wygraną. W pewnym momencie zaczął przyglądać się facetowi, stojącemu w drzwiach salonu. Na głowie miał nisko osadzone, zacienające twarz sombrero, obwisłe wąsy zakrywały złośliwy wyraz cienkich ust. Ściągnięta do tyłu skórzana kamizelka i ręka spoczywająca na wiszącym u pasa rewolwerze. Arogancka postawa, nogi szeroko rozstawione, ciało lekko pochylone do przodu. I przykuwające uwagę oczy, zimne, niebieskie, widzące wszystko. Prowokowały. Afisz wiszący nad drzwiami, w których stał, informował, że był to "REWOLWEROWIEC". " Spróbuj się z nim " - dodano małymi literkami. Na pudełku z odpowiednim otworem na monetę leżała kopia rewolweru. Jakiś mały chłopiec podbiegł i wyciągnął broń z pochwy bez wrzucenia monety, a wtedy zapalił się neon sygnalizujący "OSZUSTWO". Wtedy chłopiec odrzucił broń

i uciekł szybko wystraszony grożącą mu karą. Widać było, że nie ma ochotników zainteresowanych podjęciem wyzwania.

"Twardziel" wyglądał jak żywy. Jeff wyjął z kieszeni dziesięciopensówkę i obracał ją przez chwilę w palcach. Nie ma żadnej nagrody do wygrania, to tylko próba własnej zręczności. Albo pobijesz tego faceta, albo nie i wtedy stracisz pieniądze, to było uczciwe. Elektroniczna broń, żadnych naboji. Wrzucił monetę do otworu, a Wtedy głowa rewolwerowca drgnęła.

-Kiedy powiem "pal", żóltodziobie, to pal. Albo zjeżdżaj z miasta! - zabrzmiał w mikrofonie głos z pseudoamerykańskim akcentem.

Jeff czekał w napięciu, ściskając kolbę rewolweru, wlepiając wzrok w te pełne nienawiści oczy. Zastanawiał się, czy kochanek Anny tak właśnie patrzy. Jej szef, siwiejący i pokryty bliznami, zagamiający wszystko, czego zapragnie. Przystojny i twardy, a ponad wszystko zwycięski. Nienawidzę cię, rywalu, i zniszczę cię!

-Pal!

Jeff spanikował i pociągnął za spust. Kto pierwszy wystrzeli, przeżyje. To nie był on. Przypomniały mu się chłopięce zabawy, pistolety na kapiszony i okrzyki "bang! bang!" Ujrzał świecący punkt ponad krawędzią biodra przeciwnika.

"CHYBIONY"

- Niedobrze, żóltodziobie. Spróbuj jeszcze raz, albo wynoś się z miasta. - Nagranie było zniszczone, niewyraźne. Może rewolwerowiec lubił wypić. Jeff trzymał rękę na kolbie. Żarówka zapaliła się znowu. Był spięty i trząśł się. Ty głupi dzieciaku! Szybko rozjeźrał się wokół. Nikt na niego nie patrzył, wszyscy w salonie pochłonięci byli grą.

-Pal!

Jeff odczekał chwilę i skierował broń na imitującą skórę kamizelkę. Rewolwerowiec nie był tak szybki jak się zdawało. Mechanizm był zużyty. Jeff wycelował dokładnie w środek piersi postaci. Wstrzymał oddech, wypalił.

Figurka drgnęła, coś w niej lekko zgrzytnęło, jakby rzeczywiście dostał się do jej wnętrza nabój. Jest martwy. "TRAFIONY." Zielony neon zapalił się i zaraz zgasł. Broń wróciła do kabury, strzelec powrócił do swej zwyczajnej pozy, niebieskie oczy rozglądały się już, szukając nowego ochotnika. Szef Anny i jej ex-kochanek został trafiony prosto w serce. Warto było poświęcić dziesięć pen-

sów,

Jeff odłożył pistolet i rozejrzał się po sali. W drzwiach stała dziewczyna i bacznie mu się przyglądała. Niska, ciemnowłosa, miała na sobie wytarte brudne dżinsy i podartą bluzę. Spojrzał na nią i pokiwał głową. Bawię się w kowboi i Indian jak dzieciak. Ale to przynajmniej przerwało nudę.

Ona wciąż patrzyła na niego. Przyjrzał się jej. Wyglądała jak jedna z dziewczyn wałęsających się w nocy na dworcu, które, gdy szybko je mijales, próbowały cię zatrzymać prosząc o ogień. Jej łewe oko było podbite i spuchnięte, dolna warga skaleczona. Biedne dziecko, miała pewnie awanturę ze swoim kochankiem. Ależ tu zaduch. Przeszedł szybko w stronę drzwi.

- Przepraszam. - Zabrzmiało to niespodziewanie grzecznie i zrównoważenie. Zastąpiła mu dłoń. W ustach trzymała ręcznie skręconego papierosa, strzępki tytoniu wystawały z bibułki. Jeff poczuł się zakłopotany.

- Przepraszam, nie ma pan przypadkiem ognia ?

- Pewnie. - Zaczął grzebać po kieszeniach, aż w końcu znalazł swoją zapalniczkę. Podniósł i zapalił. Teraz spojrzał z bliska na jej twarz. Dziewczyna była naprawdę piękna, czy też mogłaby być, gdyby ktoś jej nie uderzył. Zranione oko było niemalże zamknięte, warga nieprzerwanie krwawiła, broda była lekko umazana krwią.

- Dzięki. - Mocno pociągnęła papierosa, wciągając dym głęboko do płuc. - Przypuszczam, że nie mógłbyś mi pomóc, prawda ?

Jeff wyglądał na zmieszanego, rozejrzał się na prawo i lewo, bojąc się przez moment, że Anna mogłaby być tutaj. Schował zapalniczkę i spuścił oczy.

- To zależy - odparł. - Od wielu rzeczy. - Nie chciał się w nic wplątywać.

- Tu obok jest herbaciarnia. - Szła blisko niego. - Może mogliśmy porozmawiać. - Powinien był iść przed siebie i wmieszać się w tłum ludzi odwiedzających sklepy z pamiątkami. Zamiast tego pozwalał, by dziewczyna szła krok w krok za nim. A teraz siedzieli oboje, popijając herbatę w kącie zatłoczonego baru. W taki sposób zaczynają się wakacyjne romanse. Jeff, wpatrując się w ciemny brązowy płyn, zastanawiał się jak z tego wybrnąć. Zawsze można wstać i wyjść. Ale to później, najpierw posłuchajmy jej opowieści.

- Więc pobiłeś Dzikiego Billa ? - śmiała się.

- Za drugim razem. Po prostu nudziłem się. - Niech to, powiedziała jej, że mi się nie spieszy. - Co cię trapi ?

- To! - Wskazała na skaleczone miejsca. - Przy okazji, jestem Cindy.

- Ja na imię mam Jeff.

- Jestem dziwką - powiedziała spokojnie.

- Co ? - Otworzył oczy ze zdumienia, pomyślał, że może źle dosłyszał.

- prostytutką, sprzedaję swoje ciało. - Mówiła wolno, odkrył nawet lekkie lekceważenie w jej głosie. Jak u nauczyciela, wyjaśniającego coś klasie pełnej głupców. - Biorę trzydzieści funtów, ale musisz użyć prezerwatywy. W dzisiejszych czasach to całkiem rozsądne, nie uważasz... Jeff ? Aha, i masz pozwolenie tylko na jeden orgazm.

- Nie, dzięki. - Wstał, ale ona złapała go za rękę z przeproszającym, błagalnym wyrazem twarzy.

- Przepraszam, nie chciałam ci tego proponować, nie powinnam była mówić w ten sposób. Chciałam ci po prostu wyjaśnić jak ze mną jest. Rozumiesz to, prawda ?

- Tak. - Usiadł znowu, ale był zły na siebie, że jednak nie poszedł.

- Nie idę na te rzeczy. Mam dziewczynę. - Przynajmniej myślę, że mam.

- To wspaniale. Nie chciałabym robić czegoś, czego ty nie chcesz. Ale jeśli zmienisz zdanie, jesteś mile widziany. Obserwowałam cię przy tej grze. Widzisz tu nie ma wielu samotnych mężczyzn **oprócz nastolatków, a ja muszę z kimś porozmawiać.** Mam kłopoty, duże kłopoty.

"O to chodzi" - pomyślał. Była całkiem dziecinna. Może po prostu nie umie się dostosować do otoczenia, ale to byłoby zbyt proste. Nie, ona była narkomanką, był o tym przekonany. Nałykała się czegoś, jest zdezorientowana. Pewnie jej chłopak od niej odszedł, bo zaczęła uprawiać wolny seks. Był zdesperowany, nie rozumiał tego.

- Boję się, że jak wrócę do mojego domku, mój chłopak zacznie mnie bić. - Teraz jej głos brzmiał dramatycznie. Czuł jak drży jej ręka, którą wciąż trzymała go za ramię.

- Po co zatem wracać ? - odburknął gwałtownie. Okazywanie zbyt wielkiej sympatii mogło przysporzyć mu kłopotów. - Możesz

go zostawić. Albo zwróć się do zarządu obozu, a nawet policji.

- Ja nie mogę tego zrobić! - Była przerażona. - Nie mogę opuścić Alana, on mnie potrzebuje.

- W zabawny sposób ci to okazuje.

- Myślę, że to narkotyki - wyszeptała. - Ostatnio stał się bardzo nerwowy. Ma halucynacje. Myśli, że jestem kimś innym, nazywa mnie imieniem Donna. Więził mnie w domku, żebym nie poszła na policję. W żadnym razie bym tego nie zrobiła. Ale musiałam się wykraść po papierosy i teraz boję się wrócić. Będzie mnie przeklinał, że byłam u świń, mógłby nawet coś mi zrobić!

- Dlatego powinnaś znaleźć ochronę.

- Chcę, żebyś ty mi pomógł, Jeff.

Zakręciło mi się w głowie. To było jak koszmarny sen. Najpierw włóczył się bez celu, potem znalazł się w salonie gier i strzelał do rewolwerowca, a teraz pije herbatę z dziewczyną, która mówi, że jest prostytutką i prosi go, by chronił ją przed jej niebezpiecznym kochankiem.

- Nie musisz się z nim bić. - Czuł desperację w jej głosie. - Widzisz, wszystko, czego od ciebie chcę to, żebyś poszedł ze mną do domku. Możesz stać na zewnątrz, gdy wejde. Jak zaczniesz się dziać coś niedobrego będę krzyczeć.

- A wtedy ja mam sprowadzić pomoc. I zniknąć.

- Niech będzie. - Kiwnęła głową. Odprowadź mnie do domu, powalęśaj się koło niego i jeśli nic nie usłyszysz, pójdziesz swoją drogą. Proszę!

- Chodźmy i skończmy to wreszcie. - Wstał, a ona nie odrywając się od jego ramienia, poszła za nim. - Ale nie zamierzam robić nic ponad to. Nie robię też tego specjalnie dla ciebie, pomógłbym każdemu, rozumiesz ?

Wolał, żeby nie trzymała go pod ramię, gdy szli ulicą do Zielonego Obozu wzdłuż ciasnego szeregu sklepów. Prześladowała go obawa, że mógłby tu spotkać Annę. Lub jeszcze gorzej, że ona mogłaby obserwować ich gdzieś z ukrycia. Taki epizod mógłby spowodować fatalne następstwa. Postanowił, że w każdym razie i tak opowie o tym Annie.

- To tutaj! - Dziewczyna zatrzymała się, przez moment miał wrażenie, że chciała zawrócić. - Numer 24. Zasłony w pokoju są chyba rozsunięte, może najpierw zajrzyjmy do środka przez okno.

Nie chciał tego, ale ona wepchnęła go na chodnik prowadzący

do domku. Mijając drzwi sprawdzali numery. 26...25...24.

To było śmiechu warte. Wspięła się ponad framugę okna, by zajrzeć do wnętrza. Zatrzęsa się i odetchnęła głęboko z ulgą.

- Śpi! - wyszeptwała. - On po prostu śpi. Spójrz, Jeff.

Chcąc nie chcąc spojrzął w końcu i ujrzał wielkiego mężczyznę rozciągniętego na kanapie. Czarna gęsta broda opadająca na miedziany tors podnosiła się i opadała rytmicznie.

- W takim razie nie będzie cię teraz zadręczał. - Zdołał wyrwać się z jej uścisku. - Teraz możesz wejść. No dalej, masz ku temu najlepszą okazję.

- Nie wiem jak ci dziękować.

Miała zamiar go pocałować, ale cofnął się, odwrócił i szybko odszedł. Nie oglądał się za siebie. Cokolwiek się stanie, nie obchodziło go to już.

Wchodząc w gwarną ulicę miasteczka powrócił myślami do Anny.

Anna spóźniała się już około godziny. Jeffa zaczęła ogarniać panika. Drobnie wątpliwości wzrastające w ciągu dnia teraz osiągnęły apogeum. Porzuciła go. Wybrała ku temu najprostszy sposób i pozwoliła, by sam doszedł do tej konkluzji. Musiała dbać o swoją pracę, rozumiesz to, prawda, Jeff? Obóz Wypoczynkowy "Raj" to nie jest dobre miejsce dla ciebie. Tak, widziała mnie po południu z tą dziewczyną. Widziała jak siedzieliśmy w barze, albo jak szliśmy do Zielonego Obozu, jak trzymaliśmy się za ręce. To przecież była dziwka. Nie chce przyjść do mnie, skoro byłem z nią!

Dobrze, skoro nie przyjdzie, wymelduje się jutro i pojedzie do domu. Niech sobie zatrzymają tę resztę gotówki. Gemma miała rację, ten pomysł z obozem był od samego początku niewypałem. Ale nie chciał znów rozgrzebywać tego w umyśle. Była 23.20 a jej wciąż nie było i pewnie już nie przyjdzie.

Wtedy usłyszał nieśmiałe pukanie do drzwi. Rozpacz zmieniała się w gwałtowne podniecenie. Siłą woli ledwo powstrzymywał się, by nie biec do drzwi. Spokojnie, ostatnio zbyt łatwo ulegał kobietom.

- Cześć! - Wyglądała na zmęczoną, ale uśmiechała się jak zwykle. - Co za straszny dzień!

- Kłopoty? - zapytał z wyraźnym uczuciem ulgi.

- Zawsze mamy kłopoty. - Powiesiła marynarkę na krześle. - Coś tu ładnie pachnie, Jeff.

- Ryba kupiona na wynos. - Zaczął wyklądać ją na dwa talerze, nie było tak źle, jak się obawiał.

- Przepraszam za spóźnienie. - Pocałowała go. - Wierz mi, to nie z mojej winy.

- Wierzę ci. - Nalał trochę wina. - Ale przyznam się, że byłem trochę zaniepokojony.

Nagle wszystko stało się proste i jasne.

- Ja też miałem raczej męczący dzień. Talerze były rozstawione i postanowił opowiedzieć jej o Cindy. Tak na wszelki wypadek. Lepiej wyjaśnić to od razu. Chciał oczyścić sumienie.

- Och? Nie myślałam, że czasowicze mogą mieć problemy.

- Do dziś i ja tak myślałem. - Zaśmiał się trochę nerwowo. - Widzisz, włożyłem się leniwie po obozie zatopiony w myślach o dzisiejszej nocy, kiedy...

Opowiedział jej wydarzenia tego popołudnia. Bał się trochę jej reakcji. Słuchała z głębokim zainteresowaniem, lekko marszcząc czoło. Gdy podniosła kieliszek zauważył, że ręka drży jej lekko, a wino przelewa się z jednej strony na drugą.

- Jak ona wyglądała? - zapytała z ciekawością.

- Mała, ciemnowłosa, wyglądała, jakby wyszła właśnie z zarośli. Oczywiście posiniaczone oko i krwawiąca warga nikogo nie upiękuszają.

- Powiedziałeś, Cindy? - Anna spytała raczej samą siebie. Spojrzała mu w oczy. - Zauważyłeś numer domku?

- Tak, dwadzieścia cztery.

Widział jak się zatrzęsała. Cholera, powinienem był siedzieć cicho. Ale dlaczego Anna tak się tym przejęła? Zezłościło ją to, straciła dobry nastrój.

- W każdym razie, czułem, że muszę o tym komuś opowiedzieć.

- Opowiedzieć! - Odstawiła kieliszek. - Mówiłeś o tym jeszcze komuś ?

- Nie, jeszcze nie.

- W takim razie nie rób tego!

- Hej, uspokój się Anno. Będę miał tę dziewczynę na sumieniu, jeśli ten drań w tej chwili bije ją, kaleczy, a może nawet zabija. Nie zrobiłem nic, by temu zapobiec. Nie należę do tych, którzy idą swoją drogą, jak gdyby nigdy nic, kiedy po drugiej stronie ulicy ktoś dostaje po głębie.

- Nie... nie zawsze to tak wygląda. - Odwróciła wzrok. - Zapew-

niam cię. Nie możesz zgłaszać o tym nikomu, rozumiesz ?

- Nic nie rozumiem. Wiesz coś o tym. Czy ta dziewczyna, Cindy, jest twoją przyjaciółką ? O co tu chodzi ?

Milczała przez chwilę. Wzięła głęboki oddech, by uspokoić nerwy. - Jeff, chciałabym, abyś miał do mnie zaufanie. Chciałabym ci o tym powiedzieć, wierz mi, naprawdę. Ale nie mogę. W porządku, jeśli to cię zadowoli, zgłoszę o tym komu trzeba. Ale proszę, zaufaj mi i nie zadawaj więcej pytań na ten temat, bo nie mogę na nie odpowiadać! - Zawiesiła mu się na szyi z twarzą wtuloną w jego koszulę. Czuł jak walczy ze łzami. - Jeff, nie rozumiem tego, ale kocham cię!

Te bezcenne słowa odbijały się echem w jego umyśle, zmuszały, by przytulić Annę mocniej do siebie. Euforia przekraczająca jego najśmielsze marzenia. Ale to nie zmieniało faktu, że coś złowrogiego działa się w tym miejscu.

- W porządku - odpowiedział. - Nie powiem nikomu ani słowa. Ale tylko dlatego, że też jestem w tobie zakochany, Anno. Ale jest jakiś problem, który cię dręczy. Gdybym mógł ci pomóc. Gdybyś chciała mi o tym opowiedzieć, wysłuchałbym. Och, kochana, martwię się o ciebie tak bardzo.

W tym momencie Anna nie była w stanie już dłużej powstrzymać łez.

Rozdział dziewiąty

Gwyn Mace leżał na łóżku i od dłuższego czasu starał się przypomnieć sobie problem, który trapił go wczoraj. Obudził się z niejasnym uczuciem, że poprzedniego dnia wydarzyło się coś, co przez całą noc nie dawało mu spać spokojnie. Z początku zaczęła wzrastać w nim paniczna obawa, że może przeżył jakiś wstrząs. Nie rozpoznawał tego dziwnego pomieszczenia. To z pewnością nie był jego dom. Miał bardzo przestronną willę na wsi z ogrodem i stajenką, gdzie Sara trzymała swego łaciatedego kucyka. Co to za miejsce? Jakaś instytucja, cela w szpitalu psychiatrycznym albo więzieniu?

Bał się wstać z łóżka. Łóżko było miłym bezpiecznym miejscem, można było naciągnąć kołdrę na głowę i odizolować się od świata. Nie musiało się wtedy na nikogo patrzeć. Można było się schować. Trząśł się i pocił, ale bał się wyjść do łazienki. W najgorszym wypadku zmoczy prześcieradło i narobi kłopotów tym, którzy go tu wzięli.

- Ruth? - Zabrzmiało to jak piskliwy szept. Jego żona z pewnością musiała gdzieś tu być, nie opuściłaby go w krytycznej sytuacji. Pomyślał, że mógłby usłyszeć ją, gdyby była w sąsiednim pokoju za tymi zamkniętymi drzwiami.

Gwyn Mace był już po czterdziestce, z owalną twarzą, ciemnowłosey, czarujący, a jednocześnie pozbawiony skrupułów. Twardy, choć niedoceniany przez kolegów człowiek interesów. Genialny i sprytny, dawał się lubić tylko w przypadku, gdy podzielało się jego zdanie w każdej kwestii.

- Ruth?

Usłyszał kroki. Bezszelestnie otworzyły się drzwi, w których ukazała się Ruth Mace. Miała starannie uczesane krótkie ciemne włosy. Kilka siwych kosmyków błyszczało w pierwszych promieniach porannego słońca przeświecających przez nie dosunięte zasłony. Chodziła zawsze sztywno, jakby cierpiała na artretyzm. Miała na sobie letnią niebieską sukienkę i sandały. Prawdopodobnie właśnie przygotowywała śniadanie, gdyż w rękę trzymała nóż usmarowany masłem. Była ładna, ale uśmiechała się jakoś sztucznie i mówiąc bardzo starannie dobierała słowa. Surowe wychowanie wpoilo w nią posłuszeństwo i religijność. Starła się chodzić w każdą niedzielę do kościoła, a poza tym miała irytujący zwyczaj

zawsze za wszystko przepraszać. "Do cholery, jeszcze trochę, a zaczniesz przepraszać samą siebie" - powiedział jej Gwyn tydzień po ślubie, a wtedy ona wybuchnęła płaczem i od razu zaczęła go za to przepraszać.

- O co chodzi, Gwyn? - Zinrużyła oczy przed silnym światłem słońca.

- Gdzie... gdzie jesteście? - Złapał koldrę tak, by mógł się pod nią w każdej chwili schować.

- Jesteśmy na wakacjach, Gwyn. - Zawsze, gdy mówiła do niego, wymawiała jego imię. Już dawno zrezygnował ze zwracania jej na to uwagi. - Wiesz jak bardzo potrzebujesz odpoczynku, byłeś bliski załamania nerwowego. Musisz nauczyć się relaksu, Gwyn.

- Ale gdzie? - Spojrzał z dezaprobatą na pokój.

- W ośrodku wypoczynkowym. Wiesz przecież o tym, Gwyn. Znów cię pamięć zawodzi. Właśnie prosiłeś, żebym ci przyniosła śniadanie do łóżka. Bóg świadkiem, że założyłeś sobie na to. Dziwne, że te wszystkie śniadania przy pracy i firmowe obiady nie doprowadziły cię jeszcze do ataku serca. Lekarz powiedział, że jedynym twoim problemem jest stres. Przez te dwa tygodnie nie będziesz robił dokładnie nic. Nawet ludzie, dla których praca jest ich całym życiem muszą kiedyś odpoczywać, Gwyn.

- Obóz wypoczynkowy! - Nie mógł w to uwierzyć. - Ależ to straszne!

- To nie wygląda tak jak kiedyś - uśmiechnęła się delikatnie. - To jest miejsce, gdzie zorganizowano bardzo dużo różnorodnych rozrywek, ale ty możesz robić to, co lubisz. To był pomysł Sary. chciała w tym roku pojechać na wakacje z Normanem, ale doszliśmy do wniosku, że to niemądre. Myślę, że siedemnastoletnie dzieci są jeszcze na to za młode, jak sądzisz, Gwyn?

- Jeśli ty tak uważasz. Gdzie oni są?

- Sara poszła popływać. Norman przyjedzie dopiero we wtorek. Teraz odpoczywaj i niczym się nie martw, Gwyn. - Odwróciła się i poszła do kuchni.

Westchnął i zamknął oczy. Cóż, przynajmniej mógł się cieszyć, że nie jest to zakład psychiatryczny ani więzienie. Obóz wypoczynkowy nie jest może najgorszy, ale on nie miał zamiaru brać udziału w żadnych głupich grach. Załamanie nerwowe, to jakieś kpiny. Wciąż nie opuszczało go niejasne wspomnienie ostatnio przeżytych przykrości. Różne rzeczy bez ładu pojawiały się w jego

umyśle. Może podano mu środki uspokajające i dlatego wszystko było takie mgliste.

Pracował jako doradca handlowy. Nie posiadał żadnych kwalifikacji, opierał się tylko na długoletnim doświadczeniu, które warte było o wiele więcej niż jakiegokolwiek dyplomy. Przede wszystkim trzeba było mieć nienaganne maniery, charyzmę i być godnym zaufania. "Zaufanie rodzi sukces" - tak sobie zawsze powtarzał.

Nie było problemów z brakiem klientów, kłopoty zaczynały się dopiero, gdy mieli płacić. Uczył ich jak rozporządzać pieniędzmi, jak zmusić Petera, by zapłacił Paulowi, jak możliwie najdłużej utrzymać gotówkę, a oni później te same brudne sposoby wypróbowywali na nim. Gwyn nie był zwykłym doradcą, uczył swych klientów wszystkich legalnych i nielegalnych sztuczek finansowych, np. oszustw podatkowych które nazywał "ratowaniem się od podatków", szczególnie podatku od wzbogacenia się. Samotnie studiował prawo akcyjne i znał wszystkie jego luki. Uśmiechnął się na wspomnienie swoich własnych spółek. Gdy nadchodził czas spłaty kredytu, rozwiązywał firmę i w następnym tygodniu, pod innym nazwiskiem zakładał inną. Wszystko oczywiście legalnie. Trzeba było pamiętać o swobodnym polu działania. Gwyn Mace trzymał mocno kołdrę nad sobą. Jemu dano dużo swobody, aż w końcu wdepnął na niepewny grunt. Spacer o dziewiętej, a już była 8.55. No cóż, nie wolno się poddawać.

Ruth nie wiedziała o połowie tych spraw. Nie chciała wiedzieć. Jej wadą była zbyt przyzwoitość. Sara i Norman z pewnością kochaliby się, gdyby wyjechali razem na wakacje. Sara mogłaby zająć w ciężę, a to dla Ruth byłby najgorszy powód do wstydu. Gdyby się o tym dowiedzieli sąsiedzi, albo co gorsza współwyznawcy, na pewno wyklęliby ją z kościoła. Albo, co bardziej prawdopodobne, zaczęliby śmiać się z nich i plotkować.

Tak samo było, gdy Gwyn zabiegał o Ruth. Ona zawsze słuchała swojej matki. "Nie, Gwyn, nie pozwolę ci robić czegokolwiek aż do nocy poślubnej. Nie możesz mnie dotykać, jedna rzecz pociąga za sobą drugą, nie chcemy stwarzać takich pokus, prawda?"

Gwyn chciał, ale to nie miało znaczenia. Ruth w czasie nocy poślubnej była zimna. "Połóż się i pomyśl o Anglii" - tak brzmiała rada matki. Ten jej strach był wciąż żywy i przykry dla innych domowników. Chryste, Ruth nie miała pojęcia jak bardzo potrzebował teraz jej pieniędzy.

Rzeczywistość znów stała się jaśniejsza i Gwyn odsłonił wykrzywioną twarz grymasem. Poczul ulgę i wysliznął się z łóżka. Chciał zapomnieć o wizytach u lekarzy. Wakacje typu "jeść, pić i być szczęśliwym". Taka ostatnia hulanka. Pieniądze nie były ważne, nigdy ich w zasadzie nie posiadali. Gwyn planował wyjazd za granicę, najlepiej do Hiszpanii. Może zostanie tam i utworzy jakąś firmę; nowe możliwości bez ograniczeń. Ale Ruth nie zgodzi się na nic tak ryzykownego, szczególnie, że Sara ma taką ochotę wyjść za Normana. Urodzona i wychowana w Anglii do końca pozostanie brytyjską córą o wąskich horyzontach. Więc przyjechali na wypoczynek do obozu wypoczynkowego. To nawet całkiem nieźle. Życiem dzisiejszym, zapomnieć o jutrze. Teraz nie ma się czym martwić, na to przyjdzie czas, gdy wrócę do domu. Życie wciąż trwa i tylko to się liczy.

Ruth rzeczywiście zamartwiała się strasznie, ale nie o Gwyna czy Sarę. Jej obawy rosły z dnia na dzień, każdego ranka budziła się z uczuciem przerażenia. Tak jak jej mąż wolała nie wstawać z łóżka, tylko leżeć przykryta kołdrą. W momencie, gdy wstawała, robiło się jej niedobrze. Z nagłą wzbierały się w niej nudności, musiała szybko biec do łazienki modląc się, by nie zajmowała jej właśnie Sara. Kiedy zwymiotowała uczucie mijało i do końca dnia nie miała już takich problemów. Klasyczne oznaki, nie miała już wątpliwości. Przeszła już raz przez to wszystko, gdy miała przyjść na świat jej córka.

Perspektywa urodzenia dziecka była przerażająca, szczególnie w wieku czterdziestu sześciu lat. Mogło dojść do różnych komplikacji, a poza tym ona nie pragnęła drugiego dziecka. Nie po tym, co przeszła przy pierwszym. Wolałaby raczej stracić je lub umrzeć przy porodzie. Bóg ją ukarał. Ale za co? Za te drobne grzechy? Wszyscy grzeszą. Nie mogła sobie przypomnieć żadnego większego naruszenia boskich przykazań. Powzięła zasadę niemyślenia i niemówienia nigdy źle o nikim, bez względu na to, jak się ten ktoś do niej odnosił. Nigdy nie była niewierna wobec męża. Gwyn żądał od niej seksu czasami dwa razy w tygodniu, podczas gdy ona wolała, by ta aktywność zamarła już w ich związku. Powtarzała sobie wciąż od nowa, że nie znajduje żadnej przyjemności podczas stosunku płciowego. Nigdy. Robiła to z obowiązku małżeńskiego, to była jej kobieca rola. Poza tym za jakieś sto lat rodzaj ludzki i tak nie będzie już istniał. Ruth zdawała sobie sprawę, że są takie ko-

biety, które to lubią. Cóż, każdy jest inny. Dla niej było to niemożliwe. Można kochać kogoś, nie robiąc tego. Orgazm był dla niej czymś okrytym tajemnicą. Może na początku seks sprawiał jej jakąś niewyraźną przyjemność, ale to było wszystko. Dawno już z tego wyrosła. A teraz, gdy wydarzyło się coś takiego, chciałaby w jakiś sposób przerwać te stosunki. Choć w rzeczywistości było coraz gorzej.

Gwyn stwierdził, że nie było już potrzeby stosować środków ostrożności i przez kilka ostatnich miesięcy pożądał jej bardziej niż kiedykolwiek w przeciągu ostatnich dziesięciu lat. Boże, nienawidziła, gdy używał prezerwatyw. To jest takie brudne! A teraz płaciła karę za odrzucenie szansy na operację sterylizującą, jaką miała piętnaście lat temu. Matka uprzedzała ją o tym. "To najlepsza forma antykoncepcji, moja droga" - powtarzała. "Twój ojciec nie dokucał mi już po twoim urodzeniu. Po prostu dlatego, że nie chcieliśmy mieć więcej dzieci. Zdał sobie sprawę z daremności i nikczemności wykorzystywania mnie dla zaspokajania swoich żądz. Jeśli poddasz się tej operacji, Gwyn nie będzie miał żadnych oporów, by brać cię w każdej chwili, gdy przyjdzie mu na to ochota. Posłuchaj mojej rady, zniechęcaj go już teraz, a znajdzie sobie inne zajęcia, które będą go pochłaniały".

Ruth smarowała kanapki trzęsącą się ręką. To musiało stać się tej nocy, gdy Gwyn wrócił z szampańskiego przyjęcia na cześć otwarcia nowego biura. Był pijany, a ona też prawie że miała na to ochotę. Namówił ją do robienia takich wstrętnych rzeczy. Po tym nigdy już nie czuła się czysta. Jej mąż żądał od niej czynów, stojących poza wszelkimi normami. I teraz Bóg ją za to ukarał! Stała w obliczu katastroficznej wizji urodzenia następnego dziecka. Nawet jeśli nie będzie żadnych komplikacji, czekały ją nocne karmienia, niedosypianie, zmienianie i pranie pieluch. Miała ochotę głośno wykrzyknąć całą swoją rozpacz.

Myślała nawet o aborcji, w jej wieku nie byłoby to nawet zbyt trudne do załatwienia. Nie, to morderstwo. Pan ukarałby ją jeszcze gorzej. Musiała urodzić to dziecko. Przerazało ją to, ale nie było wyjścia.

- Cześć, mamó! - Sara otworzyła drzwi z hałasem. Miała na sobie krótkie spodenki i koszulkę. Ciemnowłosa dziewczyna, urodą szalenie podobna do matki. Ruth powstrzymywała się od zwrócenia jej uwagi, że nie nosiła bielizny. Wyglądała prowokująco, a

to tylko przynosi dziewczynom kłopoty. Mężczyźni wykorzystują każdą szansę.

- Skromnie powiedziawszy, nie wyglądasz na szczęśliwą. Rozchmurz się, jesteśmy na wakacjach, zapomniawszy?

- Ja mam się dobrze. To twój ojciec nie miał najlepszego poranka - Zwaliła odpowiedzialność na męża. Zasłużył na to, to była jego wina.

- Stary nieszczęsny obzartuch. Zawsze jest mu niedobrze, gdy nie może wstać i iść do pracy. Nie zwracaj na niego uwagi.

- Poczęstuj się kanapką. - Ruth podniosła tacę. - Podam tacie śniadanie.

- Chcesz, żeby zrobił się gruby i leniwy. Już jest gruby, więc połowę zadania masz za sobą. Ale Bóg jeden wie, jak można go rozleniwic.

- Cicho, usłyszysz cię.

- No i co z tego?

- Nie mów tak. - Zawahała się przez chwilę. - Zapewne jesteś przejęta jutrzejszym przyjazdem Normana?

- Ach, on!

Ruth patrzyła na nią z niedowierzaniem. Miesiącami jej córka nie mówiła o nikim innym, tylko o tym chłopaku. Było to nawet nieco niepokojące. A teraz nonszalancko wyrażała swoje lekceważenie.

- On staje się uciążliwy. - Gryzła kanapkę. - To jak sprowadzanie węgla do zagłębia górniczego Newcastle. Tu jest mnóstwo takich jak on.

- Saro! - Ostatnio przyjrzała się lepiej temu Normanowi. Pochodził z szanowanej rodziny. Nie miała zamiaru pozwalać córce, by włączyła się z jakimiś nieznanymi chłopakami. Z tego na pewno wyniknęłyby jakieś kłopoty. Jeszcze skończy tak jak ona! - Twój ojciec i ja mamy masę problemów. Wydaliśmy dużo pieniędzy, by Norman mógł tu do ciebie przyjechać. Lepiej nie psuj nam wakacji jakimiś bzdurami. Zrozumiałaś?

Sara rozumiała aż za bardzo. - W porządku. Ale dziś wieczorem wychodzę.

- Dokąd? - To krótkie pytanie zawierało w sobie kategorię żądanie uczciwej odpowiedzi. Nie dlatego, że Sara kiedykolwiek ich okłamywała.

- Po prostu, wychodzę. - Spokojnie smarowała kanapkę marmo-

ładą. - Mamo, nie jestem już trzynastoletnią dziewczynką. Chcę po prostu wyjść sama. Czy to źle?

- Nieee. - Ruth wykrzywiła usta i pochyliła głowę. - Tylko, że ja i tata chcielibyśmy pójść dziś wieczorem do kina. Na "Krokodyła Dundee"

- Widziałam to dwa lata temu.

- Cóż, nie będę cię zmuszać, byś zobaczyła to jeszcze raz. Ale sądziłam, że już zapomniałaś i pójdziemy razem.

- Z tym, że ja nie sądzę, abym chciała spędzić tak cudowny wieczór, siedząc w kinie z rodzicami. Mam siedemnaście lat i większość dziewcząt w tym wieku chodzi do dyskoteki lub tam, dokąd ludzie przychodzą się bawić. To nie czasy, gdy ty byłaś w tym wieku, mamo.

- Świetnie. - Ruth znów podniosła tacę i zwróciła się w stronę drzwi do sypialni. - Ale nie wpakuj się, w żadną biedę. Tato... twój ojciec nie ma kondycji do rozwiązywania problemów. Ma dość własnych zmartwień.

Sara skoncentrowała się na swojej kanapce. Jedno było dla niej pewne, nie powstrzymają jej przed wyjściem dziś wieczorem. Miała randkę. Na samą myśl przebiegał jej ciało dreszcz podniecenia. Spotkała go wracając z basenu. Potężnie zbudowany mężczyzna, z wielką rozczochraną brodą, przez co trudno było odgadnąć jego wiek. Sądziła, że mógł mieć jakieś dwadzieścia pięć lat. Obóz wypoczynkowy był takim miejscem, gdzie szybko nawiązywało się znajomości.

- Cześć! - zastąpił jej drogę. - Masz ochotę na fantastyczne lody?

Nie miała, ale pozwoliła kupić mu jednego. Norman wyglądał przy nim jak chłopiec z podstawówki. Rozmawiali trochę i uśmiechali się do siebie.

- Robisz coś dziś wieczorem? - Doszli do kiosku z gazetami i Sara nie chciała, by odprowadzał ją dalej. Lepiej, żeby rodzice nie widzieli ich razem.

- Nie. - Była zdenerwowana i spięta. - Jestem tu z rodziną.

- Cóż, dlaczego by nie zostawić ich, by robili to, na co mają ochotę? A my moglibyśmy pójść nad jezioro, popływać łódką. - Zręcznie skręcił sobie papierosa, włożył do ust i zapalił. Przyglądał jej się przenikliwie.

- W porządku. - Miała wyrzuty sumienia. W każdym razie Norman nie przyjedzie do jutra. Poza tym nie była jego własnością.

- Cieszę się. Więc o dziewiątej. Jak masz na imię?

- Sara.

- Ładnie. Do mnie mów Al.

- W takim razie do zobaczenia wieczorem, Al.

Zastanawiała się, czy to był skrót od Alan czy Albert. Ale to nie miało znaczenia.

Więc od dwudziestu minut była umówiona na randkę i nie miała zamiaru zmarnować jej na siedzeniu w kinie z rodzicami. Oznaczało to też długie godziny cierpliwego czekania.

- Twój ojciec za bardzo się przemęcza. - Ruth Mace wróciła do kuchni, zamknęła za sobą drzwi i powiedziała do swej córki cichym głosem: - Odkąd tu przyjechaliśmy, nie wygląda dobrze.

- Ty też nie wyglądasz najlepiej, mam. Jesteś blada jak duch.

- Wymiotowałam. - Usiadła na krześle chowając twarz w dłoniach. - Saro, mam mdłości każdego ranka. - Nagle poczuła wstyd, ale nie mogła dłużej dusić tego w sobie. Jej córka oszaleje, gdy dowie się o jej sekrecie. Przez lata wpajała jej ostrożność i ostrzegała przed zachwytem nad seksem, który zawsze rozczarowuje kobietę. To tylko psychosomatyczne zjawisko. A teraz sama przy tym wpadła.

- Mamo, ty chyba nie jesteś... - Sara nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać. Nie mogła w to uwierzyć.

- Jestem. - Ruth patrzyła przed siebie niedowidzącym wzrokiem.

- To wina twojego ojca, Saro. To przez niego jestem w ciąży!

Gwyn w tej samej chwili ubierał się w sypialni. Starał się przezwyciężyć depresję i strach. Do diabła z jutrem, dziś miał zamiar żyć. Nie wolno psuć tak niespodziewanych wakacji. Jeżeli Ruth nie zechce polepszyć swojego nastroju, to znajdzie sobie kobietę, której nie trzeba będzie do tego zmuszać.

Rozdział dziesiąty

Poranek profesor Morton spędził na czytaniu raportów z przebiegu eksperymentu z preparatem C-551. Siedział zgarbiony przy biurku i nie odrywając oczu od kartki co jakiś czas wypukiwał z fajki popiół.

Państwo Evans nadal przygotowywali się do swej wyprawy na południe, gdzie panował cieplejszy klimat. Ale wciąż jeszcze nie wyszli ze swego domku. Byłoby to interesujące doświadczenie,, gdyby to zrobili. Należeli do tego typu ludzi, którzy bardzo niechętnie przełamują swoje przyzwyczajenia i unikają ryzyka.

Pewnego dnia jednak ich przygotowania dobiegną końca i wtedy będą musieli coś zrobić.

Alan Jay i jego dziewczyna wychodzili na teren obozu oddzielnie. Pozwalali sobie na potajemne wycieczki, gdy jedno z nich spało. Ale zawsze wracali do domku numer 24. To było jedyne miejsce, gdzie czuli się bezpiecznie. Dwoje kochanków, którzy nagle stają się dla siebie obcymi ludźmi, nie opuszcza się jednak. W niej zrodziło się przekonanie, że jest prostytutką, a on jak dotąd nie wie kim jest. Ale też już nie za bardzo się tym martwi.

Dolman leczy swoje rany, a poza tym maleje w nim nienawiść do kapitalistów. Mimo to wciąż spiskuje po cichu i raczej bezowocnie. Smith wałęsał się wokół jego domku i próbował się z nim porozumieć. Morton był przekonany, że gdyby się spotkali znów mogłyby się coś wydarzyć.

Państwo Mace, pierwsza rodzina poddana eksperymentowi. Gwyn był krętaczem, finansowym oszustem. Od lat próbują go złapać służby podatkowe, ale prawdopodobnie nigdy im się to nie uda. Teraz pozbawiony jasności myślenia człowiek ten zaczynał wpadać w panikę. Jak urzędnik, który boi się wyjechać na urlop, mimo że od dawna mu się on należy. Nie potrafi zadysonować swym wolnym czasem, jak też stawić czoło czekającym go problemom. Jego żonę zaczynają zawodzić nerwy. Żyła w świecie pełnym ograniczeń i z obsesyjnym poczuciem obowiązku. Teraz zaś wyobraża sobie, że zaszła w ciążę. Skrywany przez lata strach teraz mści się na niej. Ta ciąża to tylko jej wyobrażenie, ale co ona teraz robi ? Pytanie to pobudziło apetyt profesora.

Zaś ich córka doszła do wniosku, że ma już dość normalnego życia nastolatki i za wszelką cenę chce je zmienić. Zresztą cała

trójka zamierza zrobić coś zupełnie kontrastującego z ich dotychczasowym zachowaniem.

Tony Morton przerwał czytanie i odłożył fajkę. Przez kilka chwil siedział wpatrzony w zamkniętą kartotekę. Znikło gdzieś jego samozadowolenie, czuł w sobie jakieś niezrozumiałe poczucie irytacji. Wstał i bezgłośnie przeszedł przez gruby dywan. Lekko uchylił drzwi i zajrzał do sąsiedniego biura.

Anna siedziała tyłem do niego, zajęta swoją pracą nad preparatami chemicznymi. Była taka piękna. Czuł ból i żal, że wszystko potoczyło się w taki sposób. To była tylko jego wina. Tak nie powinno było się stać, nigdy nie będzie w stanie wymazać tego z pamięci. Zapracowane noce, zmęczenie przeszkadzające w spełnieniu namiętności, wątpliwości moralne co do bezpiecznego eksperymentowania z preparatem C-551 na ludziach. Teraz wszystko skończone. Nie pocieszało go już wspomnienie tego krótkiego okresu, gdy należała do niego.

Po tych kilku sekundach, gdy obserwował ją z ukrycia, smutek zamienił się w postawę pełną pewności siebie.

- Anno. - Pchnął drzwi, a ona odwróciła się w jego stronę.

- Jeśli możesz przerwać na moment... - Szeł grzecznie, ale z pewną wyższością w głosie wzywał swoją asystentkę.

- Oczywiście. - Podniosła się na drżących nogach i zbyt szybko. Zorientował się, że jest zdenerwowana.

Gdy oboje znaleźli się w gabinecie, profesor usiadł z powrotem za biurkiem i zapalił fajkę. Tę rozmowę trzeba przeprowadzić poważnie i bez pośpiechu. Uśmiechnął się do niej i wskazał krzesło po drugiej stronie biurka. Anna wiedziała, że Tony był mistrzem w skrywaniu swych prawdziwych uczuć.

- Co do naszych prywatnych spraw - mówił niezwykle łagodnie - czy powinienem dojść do wniosku, że między nami wszystko skończone ?

Przełknęła ślinę. Nagle jej krzesło stało się najbarwniejszym i najgodnym krzesłem na świecie. Starła się zbytnio nie wiercić.

- Nie denerwuj się tak. - Machnął ręką jakby ta sprawa nie miała dla niego większego znaczenia. - W pełni rozumiem, że tak jest. Po prostu chciałem się upewnić. Mam nadzieję, że mnie rozumiesz.

- Tak - Zakłuła ją coś w żołądku. - Obawiam się, że wszystko skończone.

- Jest ktoś inny? - Pytanie znów zabrzmiało całkiem zwyczajnie.

Nie patrzył na nią, przyglądał się raportom, które przyniosła wczoraj.

- Tak. Jest.

- Dziękuję, że sama powiedziałaś - mówił dalej tym samym tonem. - A teraz muszę pochwalić cię za te raporty. Dokładne, potrafisz zaakcentować najważniejsze szczegóły. Eksperymenty przebiegają bardzo pomyślnie... z jednym wyjątkiem!

W tym momencie Anna Stackhouse zmieniła pozycję i oparła się w krzesło. Wolałaby spaść z niego i wypaść przez podłogę z tego pokoju. Jego oczy przewiercały ją teraz.

- Tak? - Udawała zaskoczoną.

- Beebee! - powiedział ze złością. - Nie mogę zrozumieć, dlaczego C-551 nie został mu podany. Może był jakiś powód - uśmiechnął się z sarkazmem. - Może ten człowiek jest uodporniony na środki halucynogenne ?

Annie jakby odjęto głos. Wiedziała, że nie potrafi przekonywająco kłamać, nawet gdyby miała wcześniej przygotowaną odpowiedź. A niech to, ten drań już wie o wszystkim.

- Czy to jest... takie ważne ? - Gorączkowo szukała argumentów.

- Szczerze mówiąc, tak. Mamy tu młodego człowieka z zamożnej rodziny, który zdecydował się pracować fizycznie na budowach, mimo że jest dyplomowanym fizykiem. Buntownik, nie uważasz? Tylko co go do tego skłania? Jest okropnie dużo rzeczy, których chcielibyśmy się o nim dowiedzieć. A byłby jeszcze bardziej interesujący, gdyby jego organizm był w stanie odrzucać C-551. Dlaczego mu tego nie podałaś?

Nie odpowiedziała. Na końcu języka miała już uczniowskie "nie wiem". Ale to zabrzmiałoby głupio i tylko by jej zaszkodziło. Wpatrywała się w popielniczkę, jakby była zahipnotyzowana światłem odbijającym się od jej wypolerowanej powierzchni. Poczwała czująco gdzieś w jej wnętrzu złość.

- Więc jak? Chcesz żeby sam ci powiedział, dlaczego nie dałaś mu tych środków?

- Mów - rzuciła prowokująco.

- Ponieważ jesteś emocjonalnie zaangażowana. Byłaś z nim. Choć to jest już mniej istotne. - Jego gniew świadczył jednak o czymś zupełnie odwrotnym. - Muszę ci wszakże o czymś przypomnieć. Przed podjęciem pracy w naszym departamencie, podpisałaś kilka dokumentów. A to, co robisz, bardzo poważnie zagraża

naszemu bezpieczeństwu. Mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę.

- Nie wyjawiałam żadnych tajemnic! Nie wspomniałam o tym ani jednym słowem. Po prostu nie podałam mu tych środków.

- Ach, tak. - Oparł się w fotelu trzymając w ustach fajkę.

- Więc okazuje się, że pieczołowicie przygotowywane akta i raporty są już nic nie warte tylko dlatego, że pozwoliłaś sobie na romans z jedną z naszych... świnek morskich. Zdaje się, że lubisz to zwierzątko. W ten sposób przeciwstawiasz się zaleceniom rządu, który poparł ten eksperyment i jest za niego odpowiedzialny

- Po prostu chcę, by Jeffa pozostawiono w spokoju.

- Moja droga dziewczyno. Twoje zdanie nie ma tu żadnego znaczenia. Twoje postępowanie zbyt dalece pogwałciło nasz regulamin. Podpisałaś deklarację, że bez zastrzeżeń będziesz posłuszna odgórnym zarządzeniom, a teraz łamiesz tę obietnicę. Co w rezultacie może okazać się dla ciebie szalenie ryzykowne.

- Więc zwolnij mnie. Gdy stąd wyjdę, nie zobaczysz mnie już więcej.

- Niestety, dla ciebie to nie jest zwyczajna praca. Gdybyśmy zwalniali wszystkich nieposłusznych pracowników, mielibyśmy już na karku chmarę wścibskich szpiegów. Wiesz dobrze jak poważny to eksperyment i informacje o nim nie mogą przedostać się do publicznej wiadomości.

- Ale ja chcę się z tego wycofać!

- Jeszcze raz ci mówię, że nie możesz. - Jego śmiech wywoływał w niej zimne dreszcze. - Nie możemy pozwolić ci odejść ot, tak sobie, moja droga!

- Grozisz mi. - Czowała w sobie ogromne napięcie.

- Ścisłej mówiąc, usiłuję przekonać cię, byś kontynuowała pracę, której się podjęłaś.

- A jeśli nie zechcę? - Chciała dowiedzieć się na czym stoi, więc postawiła wszystko na jedną kartę.

- Będziemy zmuszeni do podjęcia odpowiednich kroków.

- To wymijająca odpowiedź.

Cóż, wymijające odpowiedzi są charakterystyczne dla polityków, a to jest sprawa polityczna.

- Każdy ma prawo służyć temu, czemu zechce. Dalej, profesoro, wykrztuś to wreszcie bez owijania w bawełnę. Co zrobisz, jeśli odmówię respektowania zarządzeń?

- Obawiam się, że przez wzgląd na bezpieczeństwo, trzeba będzie cię... zatrzymać - mówił spokojnie, ale i groźnie.

- Zamknąć, tak? Wsadzić do szpitala dla psychicznie chorych, jak to się robi z dysydentami w Rosji.

- Dosadnie powiedziawszy, tak. Nie będziemy mieli wyboru.

- Mogę iść na policję.

- Wydaje mi się, że źle oceniłem twoją inteligencję. - Pochylił się ku niej. - Nie myślałaś chyba, że to by ci w czymś pomogło?

Miała ochotę wstać i uciec z tego pokoju, schować się gdzieś daleko. - Domyślałam się, że nie. Ależ śmierdzi tu rosyjskimi metodami. Policja zrobi to co im rozkażecie. Zrobicie wszystko, by mnie zamknąć. Albo, jak to nazywacie, "uciszyć".

- Nie zmieniamy tematu. - Morton wstał nagle, przeszedł przez pokój do okna i trzymając ręce w kieszeniach patrzył na główny parking samochodowy. Niewzruszony, jakby przywykł już do rozwiązywania takich problemów. - Posłuchaj, Anno, nie musimy posuwać się do najgorszego. Żadne z nas. Pracowałaś dobrze, nie mógłbym żądać więcej, a teraz zamierzasz przez jakieś głupstwo zniszczyć to wszystko i przy okazji zrujnować wysiłek nas wszystkich.

- Jakieś głupstwo!

- Dokładnie. - Odwrócił się i spojrzał w oczy.- Słuchaj, Jeffowi Beebee nie stanie się żadna krzywda, jedynie dozna kilku... fantazji. Ponad wszelkie prawdopodobieństwo jest to całkowicie bezpieczne. Po kilku dniach wróci do siebie, zupełnie nieświadom tego, co się wydarzyło. Przecież możemy podać mu antidotum już po kilku godzinach. Nikt by na tym nic nie stracił. Jedyne ty, jeżeli się wycofasz. Natychmiast przenieśliśmy cię do jakiejś nudnej pracy laboratoryjnej, prawdopodobnie w Stanach. Nigdy więcej nie zobaczyłabyś już Beebee. Zostaniesz z niczym, a on znajdzie sobie inną dziewczynę. Bądź rozsądna, Anno. Jeśli ty nie podasz mu tego środka, to zrobi to kto inny. Przez swój upór zostaniesz ukarana, a on i tak zostanie poddany eksperymentowi. Więc czy nie byłoby lepiej wrzucić mu tę tabletkę i po kilku dniach wrócić do swego romansu. Być może mógłby on trwać nieprzerwanie. Ale tego nie możemy być pewni. Anno, masz przed sobą życiową szansę. Nigdy nie będziesz miała takiej drugiej. Tak między nami, to wciąż życzyć ci jak najlepiej. Ale musisz mi dać ostateczną odpowiedź, tak albo nie. Teraz!

Spuściła głowę. On mówił prawdę, nie było już odwrotu. Albo

ona poda Jeffowi C-551, albo zrobią to oni. Tak, czy inaczej to się stanie. A ona będzie ukarana za bezskuteczny upór.

- Nienawidzę tej pracy i nienawidzę ciebie. Ale domyślam się, że nie mam wyboru.

- O Boże! - Nabijał fajkę nową porcją prasowanego tytoniu, najwidoczniej był całkiem zadowolony z odpowiedzi. - Chyba nigdy cię nie doceniałem. Że tak powiem, małe emocjonalne uniesienie. W takim razie zapomnijmy, że ta rozmowa w ogóle miała miejsce. A dziś wieczorem podasz Jeffowi tabletkę, zgoda?

- Tak myślę. - Wstała i pośpiesznie wyszła z gabinetu.

Rozdział jedenasty

Alan był nieco inny niż to wyobrażała sobie rano. Wydawał się wtedy bardziej energiczny, może nawet zbyt gadatliwy i roześmiany. Teraz był nie tyle powściągliwy, co nawet posepny. Gdy zeszedł nad brzeg jeziora, Sara straciła cały swój wcześniejszy entuzjazm. Myślała o rodzicach, siedzących w zatłoczonym, dusznym kinie. Tutaj było ciemno, z oddali dochodziły krzyki i płacz dzieci. Jeśli to miała być randka, to nie mniej fascynujące byłoby przebywanie w domu.

Większość łódek przywiązana była do pomostu. Kilku chłopców stojąc w jednej z nich próbowało polować na kaczki i w pewnej chwili wszyscy o mało co nie wpadli do wody. Al odwiązał jedną z łódek i wrzucił do środka linę. Silny, milczący mężczyzna, miał na sobie wytarte szruksy. Przyprawiał ją o gęsią skórkę, ale szła za nim krok w krok. Czowała, że inne dziewczyny mogłyby jej go pozazdrościć. Nigdy nie doznała takiego wrażenia będąc z Normanem, on był zbyt "zwyczajny". Al wskoczył do łódki, a potem pomógł jej zrobić to samo. Bała się, że się pośliznie i wpadnie do wody. Umiała co prawda dobrze pływać, ale to jezioro było tak ciemne i mętne. Uff! W końcu znalazła się w kołyszącej łódce. Wciąż milcząc złapał za wiosła i zaczął nimi rytmicznie poruszać. Oddalali się od brzegu.

Słońce chowało się za wznoszące się na zachodzie góry, a od morza wiał kojący wietrzyk. Był to jeden z tych ciepłych dni, kiedy od rana do nocy chodzić można tylko w krótkich spodenkach i cienkiej koszulce. Sara próbowała się odprężyć, ale nie potrafiła. Tak samo było na jej pierwszej randce z Normanem. Gdyby tylko Al zechciał o czymś porozmawiać.

- Ciepły wieczór - zagadnęła. Nie mogła dłużej znieść tej ciszy. W odpowiedzi kiwnął tylko głową. Zaczęła bawić się palcami.

- Skąd jesteś? - spróbowała raz jeszcze.

- Z żadnego szczególnego miejsca. - Spojrzał na nią niewidzącymi oczami. Może był myślami gdzie indziej. - Ja wciąż podróżuję. Można powiedzieć, że jestem tu przejazdem. - Odłożył wiosła i wyciągnął z kieszeni woreczek z tytoniem, po czym skrzywił papierosa. - Palisz?

- Nie dzięki, nie pałę.

- Powinnaś - uśmiechnął się wyciągając zapalki. - Szczególnie te.

- Dokąd płyniemy? - zapytała, gdy znów zaczął wiosłować. Wyglądało na to, że mierza do jakiegoś określonego punktu.

- Chciałbym pospacerować po wyspie. To chyba będzie bardziej interesujące niż wiosłowanie wokół niej, jak to robią inni.

Kiwnęła głową. Dziś wyglądało na to, że ci inni w ogóle zrezygnowali z tej rozrywki. Nawet kaczki zerwały się do lotu i opuściły jezioro. Byli już daleko od brzegu. Woda nie wyglądała pociągająco w blasku zachodzącego słońca. To było sztuczne jezioro, nie mogło mieć więcej niż pięć stóp głębokości. Wyspa miała jakieś pół akra powierzchni i rósł na niej gęsty gąszcz dzikich wierzb i sosen przeplatanych jałowcami. W powietrzu unosiły się chmury komarów. Sara nie miała ochoty wychodzić na brzeg. Na pewno były tam żaby, jaszczurki i pełzające pod nogami robaki. Ale Al dopłynął już do wyspy i wyskoczył na ląd, by wciągnąć łódkę. Podał jej rękę i pomógł zejść na trawiasty brzeg. Cieszyła się, że włożyła na nogi sandały. Al był boso i pewnie za chwilę będzie cały pogryziony przez wszelkiego rodzaju robactwo.

Listowie zamykało się za nimi jak kurtyna, zasłaniająca ich przed ciekawym wzrokiem ludzi z tamtego dalekiego brzegu. Stąpali po trawie i igłach jak po miękkim sprężystym dywanie. Pod gałęziami drzew zmrok zapadał szybciej. Al usiadł na kępie trawy rosnącej na skraju sosnowego zagajnika, gdzie prawie nie dochodziło światło słońca. Pociągnął ją za sobą. Znowu nastąpiła niezręczna cisza.

- Przyjemnie tu. - Objął ją ramieniem. Tak intymnie. Taki własny świat z dala od wszystkich. Nie lubię ludzi.

- Więc dlaczego przyjechałeś do ośrodka wypoczynkowego, gdzie na stu akrach stłoczonych jest pięć tysięcy ludzi i tak przez 24 godziny na dobę.

Zrobił minę, jakby z wielkim wysiłkiem próbował znaleźć ten powód, ale poddał się i potrząsnął głową. - Nie wiem, dlaczego tutaj jestem. Zabawne, co? - zaśmiał się. - Wiesz, mam kłopoty - dodał.

- Tak? - Poczula rosnący niepokój. Umawianie się na tę randkę z pewnością nie było 'dobrym pomysłem. Ale mimo wszystko trzeba pozwolić mu mówić.

- Chodzi o tę dziewczynę, która kręci się koło mnie - wpatrzony w ziemię mówił niskim głosem. - Jest naprawdę irytująca i nie chce zostawić mnie w spokoju.

- Nie możesz się jej pozbyć?

- To nie jest takie proste. - Zapalił następnego papierosa. - Ona siedzi w moim mieszkaniu i jeśli nie będę trzymał jej pod kluczem, wyjdzie i zacznie krzyczeć, że ją zgwałciłem.

Sarę ścisnęło coś w żołądku, zaczęła trząść się ze strachu.

- Ale nie zrobiłeś tego, prawda, Al?

- Nie. - Potrząsnął głową. - Widzisz, ona jest dziwką i bierze za to trzydzieści funtów, rozumiesz?

Nie rozumiała. Chciała się odsunąć, ale trzymał ją mocno przy sobie. W końcu doszła do wniosku, że gdyby próbowała mu się teraz wyrwać, to by go tylko rozzłościło. Był jakiś dziwny.

- Więc siłą rzeczy jestem z nią związany.

- Nie możesz jej po prostu wyrzucić?

- Pójdzie na policję, wiem o tym. Groziła mi któregoś dnia... Nie pamiętam już kiedy, ostatnio straciłem poczucie czasu. Więc zbiłem ją. Ale jej nie zgwałciłem.

On na pewno jest pod wpływem narkotyków. To znaczy, że całą tę historię wymyślił. To jakieś jego halucynacje. Najprawdopodobniej ta dziewczyna w ogóle nie istnieje.

- Chciałbym, aby ona była taka jak ty. - Jego oddech śmierdział tytoniem. Poczula na wargach jego rozzochraną brodę, a potem usta. Próbowała się opierać, ale bezskutecznie.

- Powiedziałem sobie, gdy ujrzałem cię dziś rano, oto jest dziewczyna, za którą mógłbym pójść na koniec świata. Jest w tobie coś takiego, czemu nie mogę się oprzeć. Długo moglibyśmy być razem, kochana.

- Moi rodzice spodziewają się, że wrócę przed jedenastą - mówiła bardzo szybko. - Oni są bardzo opiekuńczy i martwią się z byle powodu. Jeśli nie zjawię się tam do tej godziny, zaczną mnie szukać i zawiadomią policję.

- Nie martw się. - Poglaskał ją uspokajająco po ramieniu. - Nigdy nie wpadną na to, by szukać cię na tej wyspie.

- I mój chłopak przyjeżdża jutro.

- Chłopak! - Jego twarz zmieniła się nagle. - Nie mówiłaś mi, że masz chłopaka.

- Nie pytałeś. Ty też dopiero teraz wspomniałeś, że mieszkasz w domku z jakąś dziewczyną.

- Słuchaj - spojrzaj jej w oczy - to nasza szansa. Możemy pozbyć się za jednym zamachem mojej dziewczyny i twojego chłopaka.

-Co... masz na myśli?

- Dlaczego nie mielibyśmy uciec z tego miejsca po cichu. Jutro rano bylibyśmy już wiele mil stąd.

Drzewa wokół niej zaczęły wirować.

- Ja... chciałabym wrócić. - Była bliska płaczu.

- Ten twój chłopak... - ciągnął dalej, jakby jej nie słyszał. - Czy on... - Poczwała, że próbuje rozchylić jej mocno ściśnięte uda.

- Nie! Nigdy nikomu nie pozwoliłam tego zrobić!

Znowu zaczął ją całować. Przycisnął do ziemi i chwycił jej spodni. W końcu je porwał.

- Zatem będzie to niezwykle przeżycie. - Oddychał ciężko. - To tak, jakbyś jeszcze mnie nie znając, chroniła siebie dla mnie.

Zacząła krzyczeć. Pośród ciemnej głuchoj nocy rozbrzmiewał jej przeraźliwy płacz.

- Zamknij się, do cholery! - krzyknął ze złością. Zasłonił jej usta ręką. Walczyła z nim, próbowała kopać, wbiła mu w rękę zęby.

Tym razem krzyknął z bólu i gdy odsunął się lekko, niemalże wysliznęła się spod niego. Niemalże. Al drugą ręką złapał ją za włosy, rzucił na dół i uklękł nad jej brzuchem.

- Suka! - Uderzył ją w twarz. - Jesteś taka sama jak tamta. Nawet gorsza. Myślałaś, że możesz się ze mną podrażnić, co? Myślałaś, że niby po co płyniemy na tę wyspę?

Próbowała mu coś odpowiedzieć, ale zabrakło jej słów. Leżała dzwoniąc zębami i nie mogąc złapać oddechu. Teraz nie mogła już uciec. Zaczęła gorączkowo myśleć o Normanie. Brutalne uderzenie pięścią w twarz przywróciło jej poczucie rzeczywistości. Czwała, że złamał jej ząb, w ustach miała pełno krwi. Płakała i zasłaniała się.

- Pójdiesz donieść na mnie policji, prawda? - Podniósł ją i rzucił z powrotem na ziemię. - Może oni już cię usłyszeli i płyną tu. Ta gra źle się dla ciebie skończy. Odwróć głowę i krzyknij im, że cię zgwałciłem. Cindy też by tak zrobiła, gdybym pozwolił jej wyjść z domku.

Ta myśl sparaliżowała go. Cindy! Zostawił ją samą, może teraz wyjść i pójść na policję. To wszystko wina tej dziewczuchy. A może to ich wspólny spisek. Pułapka!

Spojrzał na nią. Leżała zasłaniając twarz rękoma, ale te kruche dłonie nie stanowiły żadnej ochrony wobec jego potężnych pięści, rozległ się trzask pękających kości i płacz ucichł. Miotany nienawiścią podniósł ją raz jeszcze. Wisiała na jego ramieniu bezwładnie, jak złamana marionetka. Potrząsnął nią i odrzucił. Myślał już

tylko o dziewczynie w jego domku i o tym, co może zrobić w czasie jego nieobecności. Wskoczył na łódkę, odepchnął ją od brzegu i zaczął wiosłować.

Rozdział dwunasty

Nad ranem w Zielonym Obozie zebrał się tłum gapiów. Wszędzie **kręciła się** policja pilnując, by ludzie stali w bezpiecznej odległości od domku numer 24. Pod jego drzwiami stał uzbrojony **policjant** Dwóch znajdowało się na chodniku przed domkiem, a **jeden z tyłu** na balkonie.

Policja postawiła na nogi cały obóz. Wokół krążyły wozy **patrolowe**, a umundurowani funkcjonariusze budzili wczasowiczów. Zachowywali się tak, jakby przeprowadzali ewakuację ludności.

- Znowu Czernobyl? - zapytała jedna z kobiet.

- Albo atak nuklearny. - Jej mąż trząsał się cały. - Co, do diabła, **się tu dzieje?**

Dopiero, gdy wszyscy znaleźli się na zewnątrz usłyszeli wypowiedziane przez megafon wyjaśnienie. - Pewien mężczyzna, prawdopodobnie uzbrojony, zamknął się z zakładniczką w domku numer 24. Proszę dla własnego bezpieczeństwa trzymać się z dala od tego miejsca.

Alan Jay opuścił wyspę w ślepej panice, wiosłując szaleńczo w stronę brzegu. Gdy dostał się na ląd, zostawił łódkę swobodnie dryfującą po jeziorze. Zatrzymał się na chwilę. Musiał sobie przypomnieć, w którym kierunku trzeba iść, by dostać się do tego sztucznego świata pełnego jasnych światła i rozdzierającej uszy muzyki. Kalejdoskop kolorów, potwór ryczący i plujący kolorowymi płomieniami, bydło wysypujące się z kina i ustawiające w kolejce po jedzenie, przepychające się po rybę, czy frytki. Tam każdy interesuje się tylko sobą. Zadowoleni z siebie egoiści. Nienawidził tego świata.

Zakradł się jak czujne zwierzę do głównego obozu i znalazł się w labiryncie domków, uliczek, malutkich ogródków różanych i trawników do opalania. Zwolnił, by zorientować się gdzie się znajduje.

O Sarze już zupełnie zapomniał. Pojawiła się w jego życiu i zniknęła teraz w świetle poranka jak nocna zmora. Liczyła się tylko Cindy, dziwka urągająca mu, żądająca zapłaty za usługę i grożąca policją. Być może było już za późno, pewnie poszła już na komisarjat i oświadczyła, że ją więził i gwałcił. Starał się wynioskować czy można temu jeszcze zapobiec.

Przed oczyma miał wciąż jej obraz, gdy leżała naga, zynstowo

wyciągnięta na łóżku z ręką żądającą pieniędzy.

Śmiał się. Jeśli ona wciąż tam jest, będzie ją miał. Może sobie żądać, czego tylko chce, ale nie dostanie za to ani grosza. Nie miał nic do stracenia. Niech sobie potem mówi, że ją zgwałcił. Jeśli zamknie ją dobrze w domku, nie dotrze na policję. Dziwił się, dlaczego wcześniej o tym nie pomyślał. Jak by na to nie spojrzeć, Cindy nie wygra tej walki. Jak to się mówi, jeśli ma się wisieć, to przynajmniej wiedząc za co.

W końcu znalazł podobne do swojego domki. Zaczął iść szybciej, mijając kolejne numery. 75...68... Biegł teraz trzymając się zacienionych miejsc. W kilku oknach paliło się światło, gdzieś płakały dzieci, a rodzice podniesionym głosem żądali, by położyły się do łóżek. Niektórzy ludzie wychodzili, inni wracali z wieczornej zabawy. Teraz ciemne okna. 39...32...30...

Wstrzymał oddech i napiął mięśnie. Poczul tępy ból pomiędzy oczyma, jego wzrok nagle osłabł tak, że musiał uważnie przypatrywać się każdym drzewom.

Numer 24. Mało co się przed nim nie przewrócił, ale w ostatniej chwili opanował słabość. Gorączkowo zaczął szukać klucza. Znalazł go wreszcie. Ręce mu drżały, więc minęło jeszcze kilka sekund zanim przekreślił zamek. Drzwi otworzyły się z trzaskiem.

Wewnątrz panowała taka ciemność, że zaparło mu dech. Stał w drzwiach, bojąc się wejść. Czuł, że nie chce poznać tego, co go tam czekało. Zdał sobie sprawę, że całe życie tak właśnie postępował. Zawsze wolał żyć w niepewności, bał się spojrzeć prawdzie w oczy.

Cindy wciąż tam była. Spała w sypialni, tak jak ją zostawił. Była naga z rozłożonymi nogami i wyciągniętą na prześcieradle ręką, jakby w niemym żądaniu pieniędzy. Trzydzieści funtów, nie mniej. Wybór należy do ciebie.

Najpierw poczuł ulgę. Zaraz potem ogarnęła go fala niezwykle osłabienia. Oparł się o ścianę, walcząc z wzbierającymi nudnościami, każdy mięsień w jego ciele drżał. Z trudem rozróżniał ukryte w ciemnościach kształty. Powstrzymywał wymioty, ale w uszach słyszał przeraźliwy gwizd. Próbował przypomnieć sobie, gdzie i jak długo był, ale nie potrafił. W zasadzie nie miało to już żadnego znaczenia. Najważniejsze, że wrócił i że Cindy jest tutaj. Powoli uspokajał się. Usiadł na krześle i skrzył papierosa. Pałac odprężał się. Już lepiej. Cindy śpi jakby była nieprzytomna.

Zabawna rzecz, że nie podniecała go już. Stanowiła dla niego

tylko zbędny balast. Będzie musiał ją wkrótce opuścić, pewnie już jej więcej nie zobaczy. Gdy tak przyglądał się jej, otworzyła oczy. Patrzyła na niego, nie mogąc go rozpoznać. Najpierw leżała bez ruchu, zdezorientowana, a potem kiwnęła głową. Uśmiechnęła się smutno. Zmieniła pozycję, ale jedną rękę wciąż trzymała sztywno wyciągniętą.

- Wolałbym, żebyś sobie poszła - powiedział.

- Zatem mogę odejść? Nie będziesz mnie już więził?

Spojrzał na nią z powagą. - A nie doniesiesz na mnie policji?

- Nie, po prostu sobie pójdę.

- Kłamiesz! - Zezłościł się nagle, podniósł nogę by ją kopnąć, ale zatrzymał się w połowie drogi. - Chcesz mnie nabrać, ale nie uda ci się.

Alan wstał i zamknął oczy, znów poczuł zawroty głowy. Coś się wydarzyło. Coś złego... nie mógł sobie przypomnieć. Pamiętał tylko jak szedł tu przez obóz. Otworzył oczy. Cindy leżała twarzą do niego, kolana miała uniesione. Śmiała się.

- Ty dziwko! - Splunął, ale ona nawet nie drgnęła. - Dostaniesz to, czego się domagasz. Ja...

Z dworu dochodziły jakieś hałasy. Drzwi otwierały się i zamykały, ludzie pospiesznie wychodzili z domków, dzieci płakały. Muzyka już dawno przestała grać. W obozie zawsze był ruch, ale tym razem wyczuwało się atmosferę strachu. Alan potrząsnął głową. Zimne szare światło przeświecało przez zasłony. To było dziwne, przecież nie mogło jeszcze świtać. Przeciągnął ręką po spoconym czole. Całe ciało bolało go tak, jakby przez całą noc ciężko pracował.

- Co się dzieje? - mruknął tknięty dziwnym przecuciem.

Cindy chciała coś powiedzieć, ale w tej właśnie chwili usłyszeli głośne walenie do drzwi, tak silne, że aż zadrżały szyby. Potem zabrzmiał strzał i głośny rozkaz. - Otwierać, policja!

Alan zadrzał i odwrócił się, by spojrzeć na niewyraźną sylwetkę człowieka stojącego za oszklonymi drzwiami. To nie do wiary!

Wpadł w panikę, przebiegł przez przedpokój i zatrzymał się.

- Zjeżdżajcie Stąd! - krzyknął. - Ja też mam broń!

- Postać zniknęła. Rany boskie, ta dziwka jednak wezwała policję. Przyszli uzbrojeni. I myślą, że ja również mam broń!

Wpadł do kuchni. Z ulgą przekonał się, że zasłony są tu dokładnie

zaciągnięte. Na stole leżały resztki jedzenia, pusta puszka, kawałek

chleba. I duży nóż. Złapał go, przejechał lekko kciukiem po ząbkowatym ostrzu, krew kapnęła na podłogę. Teraz miał już w rękę broń. Wytarł swój krwawiący palec o ścianę i podszedł do sypialni. Cindy wciąż się śmiała.

- Wezwiałaś gliny! - Stanął nad nią. - Nie powinienem był zostawiać cię samą. Ty ohydna dziwko!

- Nie - wyszeptała, wargi drżały jej ze strachu. - Nie wzywałam ich, przysięgam. Nie zrobiłam tego, musisz mi uwierzyć!

- Niestety, nie wierzę. A oni są uzbrojeni. Ponieważ trzymam cię jako zakładniczkę. Jeśli o mnie chodzi, mogę cię im oddać. Zaoferuj tym świniom swoje brudne ciało!

Na zewnątrz ktoś mówił coś przez megafon. To mogła być tylko próba odwrócenia jego uwagi. Nie rozróżniał wypowiedzianych słów. Wiedział tylko, że dotyczą jego osoby. "Za minutę, dajcie mi chociaż minutę, muszę coś przedtem zrobić" - błagał w duchu.

- Powinienem był to zrobić wcześniej. - Położył się na dziewczynę. - W końcu będzie to wszystko coś warte.

- Nie, proszę. - Była blada i mówiła bardzo cicho. Próbowała ześlizgnąć się na podłogę, ale ją przytrzymał. - Możesz mieć to teraz za darmo.

- Za późno! - Śmiejąc się podniósł uzbrojoną w nóż rękę i z całą siłą swego wyczerpanego ciała, opuszczył ją na dół.

Krzyknęła. Ostrze noża rozcięło jej gardło. Alan nie odsunął się, gdy krew zaczęła tryskać z przeciętej tętnicy prosto na niego. Patrzył na jej wykręcone spazmem ciało, usiłował wyciągnąć złamane ostrze. Jej konwulsyjne ruchy stawały się coraz wolniejsze, krew zaczęła spływać z łóżka na podłogę.

Stał tak nad umierającą dziewczyną, chciał z niej kpić i śmiać się, ale jakoś nie potrafił. Był jak sparaliżowany. Wiedział tylko, że na zewnątrz stoi uzbrojony policjant i czeka na niego. Niech czekają, on jeszcze nie jest gotów. Gdyby tylko mógł sobie przypomnieć...

Na zewnątrz z minuty na minutę robiło się coraz jaśniej. Światło coraz silniej przeświecało przez zasłony, delikatnie padając na martwe, zakrwawione ciało. Nie można było go rozpoznać. Głowa była przekręcona, odwrócona twarzą do niego, nogi złączone i lekko wykrzywione.

- Krwawa dziwka - stwierdził i odwróciwszy się poszedł do kuchni.

Jakaś twarz zaglądała do środka przez szparę między zasłonami. Cofnęła się pospiesznie i znowu ktoś bełkotał przez megafon. Wydawało mu się, że to wszystko trwało kilka godzin. Słyszał teraz jak podchodzą do drzwi i rozbijają w nich szybę. Weszło dwóch mężczyzn z trzymanymi w pogotowiu pistoletami.

Alan stał nieruchomo z nożem w ręku. Nie wyglądali na policjantów. Mundury mieli ciemnopopielate, a nie granatowe. Na głowach kaski oclironne jak u motocyklistów, z zasuniętymi szybkami, które powiększały ich szare bezlitosne oczy.

- Ty śmierdzielu! - krzyknął pierwszy z nich i podniósł broń.

Nie było słycać wystrzału, broń miała tłumik i tylko lekko drgnęła w okietyj skórzaną rękawiczką dłoni. Siła strzału odrzuciła Alana na ścianę. Na środku czoła widniała ciemna krwawa dziura. Ostatnim konwulsyjnym wysiłkiem zrobił krok do przodu, a potem kolana się pod nim ugięły i powoli opadł na podłogę..

Drugi mężczyzna podszedł powoli do leżącego na ziemi i wyjął z kieszeni podniszczony rewolwer. Przyklęknął i włożył go w sztywne palce umarłego. Wstał i skinął na swojego towarzysza.

- Dobra. Zobaczymy, co powiedzą na to faceci z kryminalnej. A teraz chodźmy już.

Wyszli razem i znacząco kiwnęli głową do stojącego za samochodem patrolowym mężczyzny.

Profesor Morton siedział za swoim biurkiem z martwym wyrazem twarzy, tylko wzrok miał ostry i przenikliwy. Wydawał się jednak zniechęcony, wyglądał gorzej niż zwykle. Spoglądał na krępego, łysiego mężczyznę siedzącego przed nim. Nazywano go kapitanem. To mogło oznaczać jego rangę lub pseudonim. Ten ciemny typ był łącznikiem pomiędzy nimi, a ministrem. Wizyta kogoś takiego oznaczała, że ma się kłopoty. Łagodna twarz, okulary, tuziny takich "kapitanów" można spotkać na ulicach: biznesmeni, maklerzy giełdowi, finansiści. W zasadzie nic sobą nie przedstawiał. Jeden z tych, którzy lubią działać w ukryciu, pod maską.

Miało się wrażenie, że ten człowiek specjalnie przeciąga każdą wypowiedź. Mówił bardzo miękko i powoli, chyba ważniejsze było to jak mówił, niż to co mówił. Był bardzo opanowany, ale jednocześnie skrywał w sobie jakiś lęk. Był ślepo posłuszny rozkazom.

- No cóż, stało się, nie trzeba się aż tak martwić. Zajęliśmy się już wszystkim. Ale to nie może się powtórzyć. Powiedz mi, Mor-

ton, jak to się mogło stać?

- Połączenie C-551 i kanabinolu, tak sądzę. Wcześniej nie zna-
liśmy tego. Zabił tę małą Mace, a potem, wrócił i zamordował włas-
ną dziewczynę.

- Czy nikt nie śledził go, gdy wyszedł z domku? - zapytał wciąż
spokojnym głosem kapitan.

- Tym zajmował się Jameson. Nie domyślił się, że chcą udać się
na wyspę. Nie mógł płynąć za nimi niezauważony, więc został na
brzegu. W innych waniuikach na pewno nie spuściłby ich z oka.

- A co z państwem Mace?

- Nie możemy ich o tym powiadomić, dopóki są pod wpływem
C-551. Nie uwierzyliby nam, a poza tym po kilku minutach o wszy-
stkim by zapomnieli. W tej sytuacji pozostało nam tylko podać im
antidotum.

- Nie, zostaw ich. Nie chcemy wpływać na przebieg eksper-
ymentów. Gdy to się już stało, nieważne, czy dowiedzą się teraz, czy
później.

Morton kiwnął głową. - Morrison jest wściekły. Myśli, że to
wszystko doprowadzi firmę do ruiny.

- Przeciwnie, to tylko przyciągnie klientów. Podwójne morder-
stwo, morderca zastrzelony przez funkcjonariusza policji. Jak na
filmie z inspektorem Bergerac. Nie trzeba się niczego bać, policja
czuwa. Gazety na pewno będą trąbić o tym na pierwszych stronach,
ale Jay trzymał w ręku broń, śledztwo będzie tylko formalnością.
Po tygodniu nikt o niczym nie będzie pamiętał. W każdym razie
skończy się bez rozgłosu. Powiedz mi, te tabletki, jak to udowod-
niłeś, mogą determinować nasz odbiór rzeczywistości. I nie ma ry-
zyka uzależnienia?

-Nie.

- To interesujące. A kto dostarczał narkotyki Alanowi?

- Mam tu jego dane. - Morton wygrzebał jakiś arkusz ze sterty
leżących na biurku papierów i podał rozmówcy.

- Hmm. Paul McNee, dwa razy karany, praca w policji. Oba-
wiam się, że nie mamy wyboru, on go znał. A nie chcemy żadnych
nowych trudności, prawda?

- W istocie. - Morton powstrzymał drżenie. Wolał raczej trzy-
mad się naukowej strony eksperymentów. - Chcicie, abyśmy kon-
tinuowali pracę?

- Ależ oczywiście. - Wyraził zdumienie, że słyszy z ust profesora

takie pytanie. - Jak na razie wasze rezultaty są bardzo powierzchowne. Trzeba doprowadzić to do końca, Morton. Potrzebujemy czegoś więcej poza tymi kilkoma dziwactwami. Jay powinien być zostać odsunięty, zanim jeszcze dotknał tę małą Mace. Myślę, że Jamesonowi trzeba będzie zlecić inne obowiązki. Można by go awansować, to poza tym znakomity pracownik. Każdy ma prawo do jednego błędu. Jutro przyślę kogoś na jego miejsce. Pierwszym zadaniem tego człowieka będzie McNee. A wy zajmujcie się tylko waszą pracą. Uważaj też, abyś i ty nie zrobił swojego błędu. Jak powiedziałem, ma się prawo do tylko jednego, nawet jeśli popełniono go nie z naszej winy. To jest cena jaką płacisz za wzięcie na siebie takiej odpowiedzialności. Trzeba być zawsze ostrożnym.

Anthony Morton jeszcze długo po odejściu kapitana zastanawiał się nad tą rozmową. Pochwały zmieszane z naganami, niedomówienia. To wszystko było bardzo niepokojące. Profesor znów pomyślał o Annie. Ona zbyt wiele ryzykuje. Jeżeli coś się stanie, on również będzie za to odpowiadał.

Rozdział trzynasty

Muliman do "Raju" przyjechał autobusem z Londynu. Wcześniej został poinstruowany, by nie brać samochodu ani taksówki. Autobusy i tramwaje, szczególnie w czasie sezonu, zapewniają podróżującemu większą anonimowość. Łatwo można zgubić się w tłumie; każdy ma przy sobie podobne bagaże, jada w tych samych barach dworcowych itd. Wszystko w tej samej konwencji, nikt na nikogo nie zwraca uwagi.

Muliman sprzedawał swoje usługi zanim jeszcze zaczął pracować dla ministerstwa. Dziesięć lat temu walczył w Angoli, gdzie każdego dnia groziło mu śmiertelne niebezpieczeństwo. Potem, gdy wrócił do Anglii, życie wydawało mu się przeraźliwie nudne. Przez pewien czas mieszkał z dwójką przyjaciół na przedmieściu Londynu. Jeden z nich pewnego dnia zmarł nagle, podczas gdy drugi właśnie gdzieś zaginał. Policja wówczas jego oskarżyła o morderstwo, ale w porę zainteresowało się nim ministerstwo. Zaproponowano mu umorzenie dochodzenia w zamian za służbę dla departamentu. Groziła mu utrata wolności, więc zdecydował się przyjąć tę pracę.

Teraz właśnie wyznaczono mu nowe zadanie. Dostał odpowiednie pełnomocnictwa i dokładnie wiedział, co ma robić. Liczyła się przede wszystkim szybkość i efektywność. Jego celem był McNeen i nie było żadnego powodu, by to odwlekać.

Muliman był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną. Poruszał się zdecydowanie, a gdyby mu się uważniej przyjrzeć, widać było, że czasami przystaje na lekko ugiętych nogach. Miał krótko ścięte kasztanowe włosy i opaloną skórę. Uśmiechał się i mówił tylko, gdy zmuszała go do tego sytuacja. Recepcjonistka w obozie mogła się o tym przekonać tego deszczowego popołudnia.

- Pan... ? - Uśmiechnęła się do niego. Miał na sobie krótką koszulkę i przewieszoną przez ramię marynarkę.

- Thompson. - Ledwo go było słychać, okropnie znudziło go stanie w kolejce.

- Czy ma pan potwierdzenie rezerwacji?

- Nie.

Wprawiło ją to w lekkie zakłopotanie. Każdy miał swoje potwierdzenie rezerwacji i dowód wpłaty, tylko na tej podstawie można było przydzielić klientowi apartament. Nazwisko jeszcze nicze-

go nie wyjaśniało. - Obawiam się, że nie mogę pana obsłużyć' - Nic przy sobie nie mam. Rezerwa nie. Proszę to sprawdzić - oznajmił szorstko.

Chciała się z nim spierać, ale gdy raz jeszcze na niego spojrzała, doszła do wniosku, że byłaby to tylko strata czasu.

- Proszę chwilę zaczekać. - Odwróciła się i otworzyła szufiadę.
- Zawsze znajdzie się taki prymitywny gbur! - westchnęła.

Muliman rozpakował swoją torbę i wziął kąpiel. Dopóki robota nie zostanie wykonana musiał udawać zwykłego wczasowicza. Pozory są najważniejsze, szczególnie, gdy chce się zostać po prostu nikim. Gdy już będzie po wszystkim, nikt o nim nawet nie wspomni.

Takie miejsca nie nudziły go, ale i też nie wzbudzały entuzjazmu. Tym razem zaś musiał pamiętać, że ma tu do wykonania pewne zadanie. Odświeżony wyszedł na obchód swego nowego otoczenia, miał już w pamięci zawarty w broszurze plan obozu. Przeszedł przez pawilon rozrywkowy i w salonie gier stracił 50 pensów. Rewolwerowiec patrzył na niego wyzywająco, ale zignorował to. Ludzie zwracają uwagę na takich graczy, mogliby go później rozpoznać. Wszedł na teren krytego basenu, ale było tam tłoczno i głośno. W następnej sali dzieci grały w tenisa stołowego, a starsi w bilard. Potem poszedł nad sztuczne jezioro. Tłum ludzi otaczał brzeg, wszystkie łódki były na wodzie;

Kupił sobie rybę z frytkami i usiadł na skraju wielkiego trawnika. Trwał tam mecz piłkarski: dwie drużyny w różnokolorowych koszulkach, jedna z nich miała dla odróżnienia wstęgi. Po pewnym czasie mecz się skończył i piłkarze rozeszli się. Widać było, że traktowali grę poważnie, brali udział w obozowym turnieju. Wtedy na boisko wbiegło kilku chłopców, którzy zaczęli biegać i kopać piłkę. Muliman zgniótł puste torebki i wrzucił je do kosza. Nadszedł już właściwy czas.

McNee był w sali bilardowej. Elegancki facet, włosy zaczesane do tyłu i błada twarz w połowie przesłonięta wielkimi ciemnymi okularami. Starannie ubrany w czystą, rozpiętą od góry koszulę i ciemne spodnie. Muliman pomyślał, że również powinien w coś pograć. Znalazł dla siebie kij i ustawił się razem z innymi. Wokół McNee zebrała się grupa nastolatków, znających go już wcześniej z tego, że bardzo rzadko pudłował. Chłopcy płacili mu, by z nimi zagrał, a potem on upokarzał ich przy stole. Gra przechodziła w

ręce następnych, a przegrani gracze opróżniał kieszenie z kolorowych kulek. Dwóch chłopców już odeszło.

- Gramy? - McNee zrobił minę, jakby dopiero co zauważył jedynego człowieka, jaki pozostał przy stole.

- Jeżeli chcesz. - Muliman uśmiechnął się, jakby czuł się nieco skrępowany. Jak ktoś, kto jest zbyt nieśmiały, by sam starał się znaleźć partnera do gry. Twarz McNee wyrażała pewność siebie, zdecydowany był wygrać. Widać było, że lekceważył przeciwnika.

Muliman uderzył niezdarnie, udając, że robi to jakby wbrew sobie. Wokół panowała cisza, nie było nikogo oprócz nich.

- Moja kolej - oznajmił McNee z nieukrywaną satysfakcją w głosie i wyłożył na stół swoją kulę. - Następnym razem zagramy na pieniądze.

- Ja zwykle gram o trawkę - Muliman mrugnął znacząco.

- O trawkę?

- Słyszałem, że ty masz dojścia.

- Być może. - McNee był ostrożny. Mówienie o tym było ryzykowne. - Kto ci o tym powiedział?

- Alan Jay.

Usta tego drugiego zwężyły się. - Znałeś go?

- Pewnie. Przyjechałem tu, by się z nim spotkać. Usłyszałem o wszystkim dopiero dziś po południu. Gdy dzwonił do mnie kilka dni temu, wspomniał o tobie. Przywiozłem trochę gotówki.

Muliman pchnął kulę prosto do celu. Wiedział, że McNee znał Alana Jay i że zaopatrywał go w narkotyki. Cała wiedza o nim składała się z domysłów i pogłosek, ale kiedy ma się wyznaczony limit czasu, trzeba było podjąć takie ryzyko.

- W porządku, później. To nie będzie tanie, pomyśl.

- Niczego innego się nie spodziewałem.

- Dobra, spotkamy się po zmierzchu. Znasz teren obozu?

- Trochę.

- Umówmy się w menażerii, około jedenastej. Oficjalnie będzie już nieczynna, ale oni nie zamykają drzwi. Nadzorca zagląda tam dopiero wracając z baru, to znaczy około północy. Wewnątrz jest słabe oświetlenie i rzadko można tam kogokolwiek spotkać o tej porze.

Jak się nazywasz?

- Brown. Mam słabość do prosiąt. Trzymaliśmy je, gdy byłem dzieckiem. Spotkajmy się przy obejściu dla świń.

- Nie wątpię, że je lubisz - zadrwił z niego McNee, po czym dodał jeszcze. - Ja dostarczam tylko trawkę.

- Niczego więcej nie potrzebuję.

- Dobrze. Umilimy sobie rozmowę towarzystwem wieprzy. - Podeszedł do magazynku i odłożył swój kij. Muliman patrzył za nim i wzruszył lekko ramionami. Świnie to był idealny pomysł. Już nie mógł doczekać się tego spotkania.

Gdy zrobiło się zupełnie ciemno, Muliman pojawił się przed wejściem do menażerii. Znajdowała się ona na skraju obozu. Prawie dwadzieścia akrów ziemi ogrodzone było dziesięciometrową stalową siatką, z kolczastym drutem na szczycie.

Szedł wśród klatek z domowymi i dzikimi zwierzętami, nie było tam nic egzotycznego. Najbardziej kolorowymi mieszkańcami tego zoo była para pawi. Za dnia przechadzały się po trawniku za kawiarnią, a nocą zamykano je tu w klatce. Gdzie indziej trzymano razem na wpół oswojone dzikie kaczki i parę czarnych kaczek indyjskich.

W najdalszym rogu stał ceglany budynek ze zwierzętami hodowlanymi. Pierwszą zagrodę zajmowały kozy. Wczesnie rano można było zobaczyć jak przebiega ich dojenie. Potem były owce, a raczej samotny baran, czekający na samiczkę. Byk z jałówką, które wiosną zapewne zostaną oddane na fałmę, gdyż wyglądały na bardzo starą parę. No i świnie.

Muliman zbliżając się do nich słyszał jak chrząkają, prawdopodobnie liczyły na to, że nocny gość podrzuci im jakieś resztki jedzenia. Rozejrzał się w ciemności, ale nie zauważył nic, co świadczyłoby, że McNee był tutaj. Było do przewidzenia, że się spóźni. Narkotyki są ryzykownym towarem, taki handlarz musiał mieć mocno nadszarpnięte nerwy. Poza tym była to pewna taktyka stosowana wobec klientów. Im bardziej przejmie ich strach, gdy będą tam sami czekać na niego, tym szybciej zapłacą za towar. Muliman też był trochę spięty, zmuszał się do spokojnego oddychania. Długo uczył się, jak opanowywać uczucia w takich sytuacjach.

Oparł się o murek ogradzający wybieg dla świń. Jakiś ryjek wychylił się, by go przywitać. Za dużą lochą pojawiła się piątka prosiąt. Były dobrze odchowane, już prawie tak duże, jak ich rodzice. Kwiczały i chrząkały, rozpychając się nawzajem, chcąc jak najbardziej zbliżyć się do przybysza. Były głodne. Muliman uśmiechnął się do siebie w ciemności.

McNee ciągle nie przychodził. Z oddali słychać było stłumioną muzykę. Świnie z powrotem zaczęły układać się do snu. Dopiero po kilkunastu minutach, zanim jeszcze usłyszał go, czy zobaczył Muliman wyczuł, że jego dostawca zbliża się. Zadziałał od dawna wypracowany instynkt. Nie poruszył się na dźwięk zadanego mu pytania:

- Uradowało się pańskie serce na widok świń, panie Brown?

- O tak, pewnie. Właśnie sobie z nimi rozmawiam.

- Ach, tak, rzeczywiście. Wnioskuje po zapachu, że to ich zagroda.

Muliman wsadził ręce w kieszenie skórzanej marynarki, wciąż stał oparty o murek. - Wie pan, to rasa Sandyback. Ten wieprz wart jest dobre trzy setki.

- Z pewnością - odpowiedział McNee. - Ile gotówki przyniosł pan ze sobą?

Muliman zaczął przeszukiwać kieszenie, zaszeleściły jakieś papiery. Silnymi palcami ścisnął krótko linkę. Lubił proste sposoby.

- Hej, spójrz na tego starego wieprza. Lubieżny drań!

Chrząkanie i kwiczenie znowu dało się słyszeć z chlewika.

McNee odwrócił głowę i odparł z irytacją. - Nie interesują mnie te...

Muliman wykonał jeden szybki, perfekcyjnie obliczony ruch. Wyciągnął rękę z kieszeni, palce ścisnęły stalową pętlę. Momentalnie okręcił ją wokół głowy McNee, zsunął na kark i ściągnął, coraz mocniej i mocniej.

Tylko jeden zdławiony jęk. Muliman szarpnął pętlą w dół i jego ofiara opadła na ziemię. Ramiona miał szeroko rozłożone, wcześniej, przez chwilę, próbował odepchnąć nimi swego zabójcę. Zacharczał z trudem, Muliman wiedział, że teraz tamten powinien wymiotować. I rzeczywiście zadrzały mu przez chwilę ręce, a potem znieruchomiały na zawsze.

Muliman zdjął pętlę z trupa i wsadził z powrotem do kieszeni. Bez wątplenia będzie jej jeszcze w przyszłości potrzebował.

Pracował szybko i sprawnie, jak żona, późno w nocy rozbierająca swego męża. Spodnie i marynarkę starannie złożył, potem zdjął krawat, koszulę, podkoszulek, buty, skarpetki, slipki. Wyciągnął z kieszeni foliową torebkę i włożył do niej ubranie. Potem pochylił się i bez trudu podniósł ciało na szczyt ogrodzenia. Świnie znów zbliżyły się chrzając głośno, jakby już wiedziały, co je cze-

ka. Muliman uśmiechnął się do siebie w ciemności.

Zepchnął McNea na drugą stronę, słyszał jak tamten uderzył głucho o ziemię. Głodne kwiczące zwierzęta zaczęły walczyć między sobą o ten niespodziewany nocny posiłek.

Ogarnęło go pragnienie, by pozostać tam i przyjrzeć się tej niezwykłej uczcie. Ale był profesjonalistą, a jego zadanie jeszcze nie było skończone. Podniósł worek z ubraniami i wyszedł szybko z budynku. Czuł, że nie zrobił żadnego błędu.

Drzwi swego domku zostawił nie zamknięte, gdyż wiedział, że wkrótce ma mu złożyć wizytę niejaki pan Sanderson. Po jakimś czasie usłyszał pukanie. Muliman był odprężony, zaparzał właśnie drugą filiżankę kawy.

- Wszystko w porządku? - Sanderson był wysokim smukłym mężczyzną, miał na sobie przybrudzony kombinezon, jak przystało na dyżurnego mechanika.

- Pewnie. - Muliman otworzył szafkę w kuchni i wyjął worek. - To dla ciebie. Może napijesz się kawy?

- Nie, dzięki. - Potrząsnął głową. - Było zgłoszenie, że w Zielonym Obozie zepsuł się bojler. Muszę iść. - Podniósł worek i spytał jeszcze. - Więc jak się ma ten nasz przyjaciel?

- Lubi świnie. - Muliman zaśmiał się. - A raczej świnie lubią jego!

- Dobrze pomyślane. Zniknął bez śladu. Teraz masz wolne, bracie, zasłużyłeś na to.

- Może przez dzień, czy dwa pobawię się jeszcze we wczasowicza. Ale wolałbym szybko wrócić do miasta.

- Nie. - Sanderson zatrzymał się w drzwiach i odwrócił ku niemu głowę. - Dopóki nie dostaniemy innych instrukcji, musisz tu pozostać. Może pojawić się jeszcze jakaś robota dla ciebie.

Muliman wzruszył ramionami. To była zwyczajna rzecz w jego pracy.

Rozdział czternasty

Tego ranka Anna obudziła się z bólem głowy. Była tym zdumiona. Miała migrenę tylko raz w życiu, w wieku czternastu lat. Poszła wtedy z matką do supermarketu. W pewnym momencie zepsuły się lampy oświetlające sklep i zaczęły migotać. Potem przez cały dzień i noc bolała ją głowa.

Jęknęła zrozpaczona, że musi wstać z łóżka. Mdlilo ją też trochę. Jeśli nie pojawi się na czas w biurze. Tony Morton przyśle kogoś, by zbadał, co się stało. Sam by nie przyszedł, nie po tym, co mu wczoraj powiedziała. Nie, nie mogła iść teraz do pracy, będzie musiał to zrozumieć. "Zostań w łóżku, aż poczujesz się lepiej, Anno. Ktoś inny zajmie się Jeffem Beebee. Nie ma problemu."

Jeśli już ktoś musiał podać tę tabletkę Jeffowi, to wołała zrobić to sama. Zachowa się zdradziecko, ale tak będzie lepiej. Wiedziała dostatecznie dobrze, że nie ma żadnego wyboru. Sama się nim zajmie. Gdy wstała, poczuła zawroty głowy, ale ubrała się i po wypiciu filiżanki mocnej kawy wyszła z domu.

Profesora nie było w gabinecie. Wydało się jej to dziwne, gdyż nie zwykł się spóźniać. W południe również nie pojawił się ani w biurze, ani w restauracji. W kieszeni białej marynarki leżała mała szara tabletką, która nie dawała jej spokoju. Z łękiem wpatrywała się w drzwi. Głowa bolała ją coraz bardziej.

Kelnerka zaczęła już sprzątać stoły, a Jeffa wciąż nie było. Czula zakłopotanie i ulgę jednocześnie. To jedynie odwlekało sprawę, przyjdzie przecież wieczorem na kolację. A to oznaczało, że będzie się musiała męczyć jeszcze sześć godzin. Może posłuchał jej wcześniejszej rady i wyjechał stąd. Ale nie, tak przecież nie mogło się stać. Nie wyjechałby bez pożegnania. Dzień mijał powoli.

Zobaczyła go dopiero przed siódmą. Ledwie go poznała, gdyż zamiast dzinsów miał na sobie elegancki garnitur. Bez krawata, dzięki Bogu, nie znosiła krawatów. Mężczyźni wyglądali w nich tak strasznie sztywno. Jakaś specjalna okazja?

- Prawie cię nie poznałam. - Nie od razu podeszła do niego, chciała to zrobić tak, jakby był po prostu następnym z kolei klientem.

- To moje urodziny. - Mrugnął do niej. - Ale zachowaj to w sekrecie.

- Powinieneś być mi powiedzieć! - "Ponieważ mam dla ciebie

przykry prezent" - dodała w duchu.

- Chciałem zrobić ci niespodziankę. Jeśli nie chcesz, by widziało nas razem, może spędzilibyśmy dzisiejszy wieczór w mieście i zrobili dla odmiany coś nowego?

Coś zakłuło ją w serce. - W porządku.

- Bez nadmiernego entuzjazmu! - Patrzył na nią zaskoczony.

- Przepraszam, miałam zły dzień - Nie zabrzmiało to dobrze. - Przepraszam cię, tam jest ktoś, z kim muszę porozmawiać. Zaraz wrócę.

Jeff pomyślał, że nie wygląda to zbyt wesoło. Anna była bliska szaleństwa i musiał się dowiedzieć, dlaczego.

- Czym mogę służyć? - Młoda kelnerka przerwała jego rozmyślenia.

- Ach, tak. - Spojrzał pospiesznie na menu. Nie był głodny, dzień był zbyt upalny. - Proszę sok owocowy, grejpfrutowy. I sałatkę z kurczaka.

W końcu Anna znów się pojawiła i usiadła naprzeciw niego.

- Wiesz, widziałem chyba już gdzieś tego nudnego faceta, który przysiadł się wtedy do mojego stolika. Czy to nie on był tym blaznem...

- Tak, był trochę dokuczliwy. Nie widziałam go od tamtej pory - mówiła zbyt szybko i zbyt usilnie próbowała zmienić temat. - Polecam ci dziś zapiekankę, Jeff.

- Już zamówiłem. - Przyglądał się jej uważnie. - Sałatkę z kurczaka. Jest zbyt parno, by jeść gorące danie, a poza tym myślałem, że zjemy jeszcze coś w mieście. Na pewno jest tam jakaś hinduska lub chińska restauracja, czynna do późna.

- Och! - Dzięki Bogu!

- To znaczy, jeśli oczywiście chcesz jechać do miasta.

- O tak, to byłoby wspaniałe.

- Dobrze, więc jesteście umówieni. - Widział jak zbladła. *Coś* ją trapiło, może dziś uda mu się to z niej wyciągnąć. W całym obozie czuło się jakieś napięcie. Może chodziło o te morderstwo. Nic innego się tu nie wydarzyło.

- Więc do zobaczenia później. - Wstała i jeszcze chwilę trzymała się oparcia krzesła.

Tego wieczoru Anna pojawiła się u Jeffa niezwykle wcześnie. Zobaczyła, że przebrał się w luźne spodnie, miał inną koszulę i

krawat. Był spięty i lekko poirytowany. Doszła do wniosku, że powinna z nim w końcu porozmawiać. Nie powie wszystkiego, pewne sekrety muszą być zachowane, ale wystarczająco dużo, by przekonać go do opuszczenia obozu. Jeśli sam stąd wyjedzie. Tony będzie musiał się z tym pogodzić.

- Mam nadzieję, że samochód jest wciąż na chodzie. - Zatrzasnął za sobą drzwi. - Od przyjazdu go nie prowadziłem. Jednym z powodów, dla których wybrałem obóz było to, że tu nie trzeba bez przerwy wsiadać i wysiadać z samochodu. Ani mówić o nim. - Spojrzał na Annę, była taka blada w świetle latami. - Minął dopiero tydzień moich wakacji, ale jutro wyjeżdżam.

- Och! - Miał nadzieję, że był to wyraz jej rozczarowania, ale chyba po prostu obudził ją z jej dalekich myśli.

- Myślałem... - Byli teraz w centrum obozu, gęste szeregi domków i cienie pomiędzy sporadycznie ustawionymi lampami. Dotknął jej dłoni, była wilgotna. - Myślałem, że mógłbym przyjeżdżać tu w każdy piątek, można zrobić rezerwację tylko na weekendy.

- Nie! - Zwolniła, prawie się zatrzymała. - Nie, Jeff, nie chcę, żebyś przyjeżdżał.

- Rozumiem, to w końcu tylko wakacyjny romans.

- Nie, Jeff. Nie chcę, żeby to się tak skończyło, proszę! - Przytuliła się do niego. - Cokolwiek by się stało, nie zniósłabym myśli, że mogłabym cię więcej nie zobaczyć.

To było szaleństwo. Przez moment miał wrażenie, że oboje postaradali rozum. Ale zaraz wrócił do swoich myśli. Najważniejszą rzeczą było to, że ona wciąż coś przed nim ukrywała. - Myślę, że powinnaś mi to wyjaśnić - odrzekł cicho.

- Tak, ale nie mogę powiedzieć ci wszystkiego. W każdym razie jeszcze nie teraz. - Rozejrzała się wokół, jakby bojąc się, że ktoś mógłby ich śledzić i podsłuchać. - Ale, ... może byśmy tak wsiedli do twojego samochodu, wyjechali stąd i już więcej nie wrócili? Zrobiłbyś... to?

Chryste, jakże była zdenerwowana, widział na jej twarzy wyraz desperacji. - Mógłbym, jeśli naprawdę tego chcesz. Ale najpierw muszę się spakować. Nie zostawię tu moich rzeczy. Słuchaj, chodźmy najpierw coś zjeść, może wtedy opowiesz mi, o co tu właściwie chodzi. Wtedy, może jutro, jeśli nie zmienisz zdania, wyjedziemy. Co ty na to?

Lepszy taki kompromis niż nic. Trochę się uspokoiła. Myślała

tylko o tym, by być jak najdalej od tego okropnego miejsca.

Przed nimi był już schowany w półmroku parking. Szeregi aut, stare graty pomiędzy zupełnie nowymi modelami, w centrum, oddzielone od reszty, przyczepy kempingowe. Pusta budka dozorczy. Przejeżdżając przez bramę dostawało się od strażnika przepustkę, którą okazywało się przy wyjeździe z powrotem. Gdy schodzili na podziemny poziom parkingu, nagle myśl poruszyła Annę. Strażnik mógł ją rozpoznać, kto wie jak daleko mógł się posunąć Morton. Znowu zrobiło się jej niedobrze.

- Jeff? - Zatrzymała go.

- O co chodzi? - Żeby tylko się nie rozmyśliła!

- Ja... nie chcę, by widziano mnie przy bramie. Może mogłabym... położyć się z tyłu na podłodze. Lub coś w tym stylu.

- Jeśli tak ci na tym zależy. - Złapał ją za rękę i pociągnął za sobą. - Nie wiem, co się tu dzieje, ale myślę, że jesteś przewrażliwiona.

Szli dalej w milczeniu. Musiał stanąć i przypomnieć sobie, gdzie zaparkował swój samochód. Chyba tam przy końcu. W ciemności kopnął coś, co potoczyło się z hałasem. Jakiś pijaczyna zostawił tu pustą butelkę. Wyczuł drżenie dłoni Anny.

- To tutaj. - Wyciągnął z kieszeni kluczyki. Przed nimi stał stary maxi. - Jedyń jego zaletą jest to, że od czasu do czasu działa. Normalnie używam dwóch wozów. Mam jeszcze małą ciężarówkę do pracy.

W rzeczy samej spodziewała się czegoś lepszego, ale nie dała tego po sobie poznać. Otworzył drzwiczki i wsiedli. To było dziwne uczucie siedzieć znowu za kierownicą. Odzwyczaił się od tego.

- No, trzymajmy za niego kciuki. - Przekręcił kluczyk. Silnik zgrzytnął i zaskoczył. - W porządku, reszta pójdzie lepiej.

- Myślę, że powinnam przesiąść się do tyłu - powiedziała nerwowo.

- Dobrze, tylko najpierw wyjedźmy na zewnątrz.

Ale, gdy ruszył, przekonał się, że coś jest nie tak. Musiał szybko obracać kierownicą, by przekręcić koła, lecz nawet wtedy poruszały się z ogromnym wysiłkiem. Samochód obniżył się na podwoziu, kierownica zgrzytnęła, poczuli, że podłoga pod nimi przechyla się.

- Chryste, co się stało? - Silnik zgasł, wyglądało to tak, jakby koła zostały unieruchomione. - Zobaczymy co się dzieje.

Jeff wziął latarkę i wyszedł z samochodu. Znał już tę sytuację,

gdy kierownica się blokowała, a koła skręcały tylko w jedną stronę. W którymś kole był kapec. Ale nigdy nie odczuwało się tego tak wyraźnie jak teraz. Zapalił latarkę i w jej nikłym świetle zobaczył, że miał rację. W oponie nic było powietrza. To samo było z drugą! Zanim jeszcze poszedł sprawdzić, wiedział już, że i tylne wyglądały tak samo. Stał tak i nie wierząc własnym oczom wpatrywał się w samochód. W końcu poszedł do drzwiczek Anny.

- Jeff, co się stało? - Była blada i przestraszona.

- W kołach nie ma powietrza. - Sam ledwo zachowywał spokój. We wszystkich czterech! Hej, chwileczkę... - Przykląkł i sprawdził zawór, potem drugi, dwóch pozostałych już nie musiał. - Zawory są w porządku. To znaczy, że dętki są dziurawe. Ktoś przedziurawił je umyślnie! Cholerni dranie! Cóż, to psuje nasze plany na dzisiaj-wieczór. Jutro będę musiał pożyczyć od kogoś pompkę, napompować je i odprowadzić samochód do warsztatu.

- Och, nie! - Była bliska płaczu.

Pomyślał, że zbyt często nie rozumie kobiet. Najpierw chciała, żeby stąd wyjechał, a teraz nie chce, by naprawił wóz,

- Mam jeszcze jedną butelkę wina. - Próbował ją przytulić. - Sądzę, że będziemy musieli się tym zadowolić. Jeśli będziemy mieli szczęście, bar może być jeszcze otwarty. Tam sprzedają potrawy na wynos. Chodźmy już, musimy porozmawiać. Obiecałaś, że opowiesz mi o kilku rzeczach.

Cały wieczór zachowywali się jak niemal obcy sobie ludzie. Jak do tej pory pozwolili sobie jedynie trzymać się za ręce. Obserwował kieliszek Anny, może po wpływie wina rozluźni się trochę i będzie mógł nakłonić ją do mówienia.

- Myślę, że dobrze by mi zrobiło trochę snu. - Wpatrywała się w przeciwległą ścianę. - Lepiej będzie jak wrócę do siebie.

- Zrobisz, co zechcesz. Ale myślę, że winna mi jesteś kilka wyjaśnień. Obiecałaś mi to, pamiętasz?

Zagryzła nerwowo wargi. - Nie mogę ci nic powiedzieć. Bóg wie, że chciałabym, ale zbyt mocno mnie naciskasz. Muszę dotrzymać tajemnicy dotyczącej tajnych akt rządowych.

- Tajnych akt rządowych? - zapytał z niedowierzaniem. - Ale... ale do tego mają dostęp tylko urzędnicy państwowi najwyższej rangi!

- Do których ja należę - uśmiechnęła się smutno. - I nie prosz

mnie, proszę, o wyjaśnienia. Wystarczy, że chciałam uciec dziś z tobą. Nie sądzę, byśmy odjechali daleko, mogliby zablokować drogi, szukaliby nas. To nie wandalę przedziurawili ci opony, Jeff, to byli,...nie mogę powiedzieć, ale oni nie chcą, abyśmy opuszczali obóz.

- Ja także! Co ja mam z tym wspólnego? Chodzi o to, że jesteśmy ze sobą?

- W pewnym stopniu tak. - Kiwnęła głową. - Naprawdę, usiłowałam nakłonić cię kilka dni temu, byś wyjechał stąd. Teraz jest już za późno. Oboje jesteśmy w to wplątani. Modłę się, byśmy mogli zostać razem do końca.

- W porządku, więc nie możesz mi powiedzieć. - Wstał i zaczął chodzić po pokoju. - Tu dzieją się dziwne rzeczy. Dwa nie wyjaśnione morderstwa, interwencja policji. Może jakieś tajne akcje. Albo może szukają czegoś. Ci ludzie kręcący się po obozie.

Wzdrygnęła się, wiedział, że jest bliski prawdy.

- Nie pytaj mnie, proszę.

- Po prostu mówię do siebie, głośno myślę. - Patrzył na nią. - Może jakieś zlecone przez rząd eksperymenty, jak dozowanie obserwowanym ludziom promieni gamma?

- Przestali! - krzyknęła niemal histerycznie. Teraz był już bardzo blisko prawdy.

Podszedł i objął ją ramieniem. - Przepraszam, zachowam swoje domysły dla siebie. Ale uważam, że powinnaś zostać tu na noc.

- Nie. - Była nieugięta. - Muszę wrócić do siebie. Oni mogą sprawdzić, czy jestem w domku. Prawdopodobnie już to zrobili, skoro zmusili nas do pozostania w obozie. Lepiej będzie jak pójdę. Jeff.

- Odprowadzę cię. - Pocałował ją.

- Nie, nic mi się nie stanie. Myślę, że im rzadziej będzie można nas razem spotkać, tym lepiej dla nas obojga. Może jeszcze nie jest za późno. Napraw rano swoje koła i uciekaj stąd!

- W żadnym wypadku. - Ścisnął jej rękę. - Zostanę tu. Ani ty, ani oni nie chcą, bym stąd wyjeżdżał. Zobaczymy się jutro w restauracji.

Noc była ciemna. W kieszeni wciąż miała tabletkę C-551 Dali jej ostatnią szansę, której nie wykorzystała. Następnej już nie będzie, więc miała przed sobą smutną perspektywę.

Szła szybko często oglądając się za siebie. Spojrzała na drzwi

opuszczonego domku, którego mieszkańcy wyszli gdzieś się zabawić. Ruletka, kino, dyskoteka, życie zdawało się toczyć normalnie w tym nienormalnym obozie. Późnym wieczorem, zanim wczasowicze nie zaczęli wracać do swych letnich kwater, ten teren wyglądał jak opustoszały. Puste ulice, nie słychać było żadnych śmiechów, czy rozmów ludzi. Mogłaby wyjaśnić rano Mortonowi, że Jeffjadł wieczorem tylko sałatkę, że nie było sposobu, by podać mu tabletkę. Ale nie uwierzyłby jej, to było przecież zrozumiałe.

Nagle na chodniku przed nią pojawiła się jakaś postać. Ta droga nie prowadziła do żadnego baru. Miała wrażenie, że ten ktoś zmateralizował się na jej oczach. Nogi miał rozstawione, lekko ugięte, głowę pochyloną do przodu.

Anna z wrażenia zatrzymała się, potem skuliła się ze strachu. Jakaś siła powstrzymywała ją od ucieczki. Wokół było niezwykle cicho, on obserwował ją, ale twarz ukrytą miał w cieniu. Czuła, że był do niej wrogo nastawiony. Nogi zaczęły jej drzeć, serce waliło. Wiedziała, że na całej ulicy nikogo poza nimi nie było i to ją najbardziej przerażało. Świeciło się kilka latami, w kilku oknach też było jasno. Wydawało się jej, że muzyka gra teraz głośniejsz, zagłuszy jej głos, gdy będzie krzyczeć.

Dzieliła ich odległość nie większa niż metr. Mógł znaleźć się przy niej w ciągu sekundy. Zupełnie nie wiedziała, co teraz zrobić. Próbowwała zrozumieć po co zastąpił jej drogę. Jeśli to rabuś, to niech weźmie jej torebkę i tak nic w niej nie ma. Jeśli będzie chciał ją zgwałcić, to nie będzie się bronić, jak obieca, że jej nie zabije. Nie, jemu nie o to chodziło. Chciał wyrównać rachunek, ukarać ją za nieposłuszeństwo.

Jednym ruchem złapał jej oba nadgarstki i wykręcił do tyłu ręce. Jęknęła z bólu i starała się spojrzeć na niego, ale wciąż nie widziała jego twarzy. Stał dokładnie w takim miejscu, gdzie nie dochodziło światło latami. Skupiła wszystkie swoje siły i uwolniła jedną ręką. Nie chciała jednak z nim walczyć, by go nie rozwścieczyć.

Przerażenie sparaliżowało ją, odjęło jej władzę nad nogami. Nie mogła mu się w żaden sposób przeciwstawić. Chciała krzyczeć, że robiła, co mogła, ale on zamówił zimne danie. Ale to nie odniosłoby żadnego skutku.

Wtedy uderzył ją w żołądek. Na chwilę straciła oddech, zgięła się w pół. Przeszył ją straszny ból i odchyliła głowę bojąc się, że może udusić się własnymi wymiocinami. Ale wciąż trzymała się

na nogach, dopóki nie uderzył jej po raz drugi. Płaską dłoń uderzył ją w kark. Gdy upadła na ziemię, pomyślała, że kark ma na pewno złamany. Leżała skalona, bolała ją brzuch i kark, nie mogła poruszyć rękoma. Wyglądała jak porzucona szmaciana lalka, spoglądająca na stojącą nad nią postać. Wydawała jej się teraz olbrzymia i groźna. Modliła się, by nadszedł jakiś przypadkowy przechodzień, ale nikt się nie pojawił.

W końcu odezwał się, wyszeptał bezbarwnym tonem: - To było tylko ostrzeżenie.

Próbowała poruszyć wargami, wytłumaczyć się, ale jej usta były tak nabrzmiałe, że zwątpiła, czy kiedykolwiek będzie w stanie mówić. Najgorsze było to, że jej napastnik działał jak automat. Wykonywał tylko zleczone mu zadanie. Wybrał najwłaściwsze miejsce i czas, widać było, że miał w tym spore doświadczenie. Anna chciała płakać, ale była zbyt przestraszona. Może będzie sparaliżowana i spędzi resztę życia w wózku inwalidzkim.

Mężczyzna chciał już odejść, ale spojrzał jeszcze raz na nią.

- Następnym razem, gdy cię znajdę, nie będę w stanie rozpoznać ciała - rzucił jej na pożegnanie i zniknął w ciemności.

Rozdział piętnasty

Ruth Mace nie spała przez całą noc. Gwyn również miał niespokojny sen, więc by mu nie przeszkadzać starała się wysliznąć z łóżka tak cicho jak tylko mogła. Musiała wyjść do kuchni po aspirynę, choć od tabletek robiło jej się niedobrze.

Myślała o tym, czy zwierzyć się mężowi. Z pewnością nie ucieszy go ta wiadomość. Gdy zaszła w ciążę z Sarą, zrobił jej karczemną awanturę. Przypomniała sobie coś, co przeczytała w gazecie tydzień temu. Nie mogła sobie dokładnie przypomnieć gdzie, ale w jakimś mieście doszło do desperackiego buntu kobiet. Rząd debatował nad zwiększającą się od lat liczbą ludności. Liczba bezrobotnych doszła do miliona i możliwe było tylko jedno rozwiązanie - każda rodzina dostała pozwolenie na najwyżej jedno dziecko. Poczula drzenie w całym ciele i zacisnęła z rozpaczy dłonie. Nigdy przedtem nie interesowała się tą sprawą, gdyż nie dotyczyła jej oświadczenia. Miała przecież i tak sporo problemów na głowie. Poza tym, wtedy nie zamierzali powiększać rodziny.

Bardzo chciała przypomnieć sobie całą treść artykułu, ale szczegóły uleciały jej już z pamięci. Pewna była jednak, że gdzieś go czytała. Kiedy weszła w życie ta ustawa? Tego również nie pamiętała. Jak dotąd musieli egzekwować ją siłą. Piąsa porównywała to z sytuacją w Chinach. Tam również jedna rodzina mogła sobie pozwolić tylko na jedno dziecko. Ale tutaj wprowadza się na rynek niezliczoną ilość środków antykoncepcyjnych. Więc ludzie nie stosowujący się do tego zarządzenia nie mogli mieć żadnego usprawiedliwienia. Cięża będzie musiała być usunięta. Teraz zaczęła sobie przypominać. Nieposłusznym rodzicom groziła kara grzywny w wysokości pięciu tysięcy funtów lub dwa lata więzienia. Ruth mało nie krzyknęła na tę myśl. To już koniec. Przycisnęła pięści do ust, zagryzając kciuki. Władze mają prawo, by zabrać jej drugie dziecko i wyrzucić. To i tak nie rozwiąże problemów kraju, gdyż dzieci zawsze będą się rodzić, tylko teraz będą nieślubne. Gazeta nie określała jasno, co dzieje się z "konfiskowanym" potomstwem. Może są usypiane, jak niechciane zwierzęta. Poddawane eutanazji!

Uniosła koldrę i postawiła stopy na podłodze. Poczula, że robi jej się niedobrze. Miała ściśnięty żołądek i gorycz w ustach. Myślała już tylko o tym by jak najszybciej dostać się do łazienki. Gdy tam dotarła, była bardzo słaba. Osunąwszy się na kolana spuściła

głowę i płakała. Oparła się o porcelanową muszlę, czekając na przynoszące ulgę wymioty.

Gdy wracała do sypialni blada i drżąca, Gwyn siedział na łóżku. Gapił się na nią podkrążonymi oczyma, jakby miał trudności z kojarzeniem. Znow stracił poczucie rzeczywistości i nie wiedział, gdzie się znajduje. Z pewnością jej widok nie podniósł go na duchu.

- Co ci dolega? - Pytanie pozbawione było troski, ale za to przyprowadzone irytacją, gdyż nie mógł się przez nią porządnie wyspać.

- Zwymiotowałam. - Oparła się o szafkę nocną. - Od kilku dni powtarza się to każdego ranka.

- Może jadasz lub pijesz coś niezdrowego? Myślę, że pijesz za dużo kawy. Słyszałem, że kofeina ci szkodzi, dlatego więc nie zaprzestajesz tego? Można ją zastąpić owocami, albo nawet wodą mineralną.

- Nic nie rozumiesz. - Była poirytowana. - Postanowiła, że mu o wszystkim powie. Ponoć podzielenie się problemem ułatwia jego rozwiązanie. Poza tym, wcześniej czy później będzie musiał się o tym dowiedzieć. Nie mogła sobie przypomnieć, czy rozmawiała już z Sarą. Właśnie, gdzie ona może być? Ale to trzeba odłożyć na później.

- Może złapałaś jeden z tych letnich wirusów? - mówił bardzo niedbale. - Teraz ciągle mówi się o epidemiach wirusowych.

- Nie. - Wzięła głęboki oddech i wypowiedziała: - Jestem w ciąży, Gwyn!

Wytrzeszczył na nią bezmyślnie oczy. Nagle rozbudził się zupełnie. Najpierw bezgłośnie poruszył wargami, aż w końcu wykrztusił: - Jesteś co?

- W ciąży. Spodziewam się dziecka. Nic tu już nie zmieni twoje gniewne spojrzenie.

Gwyn zbłądł. - To niemożliwe! - Rzeczywiście wpadł w złość, znała go nazbyt dobrze. Lekarz zastrzegł, że nie wolno mu się denerwować, ale cóż, musiał wreszcie przejrzeć na oczy, gdyż potrzebowała jego wsparcia.

- To wszystko przez ciebie! - Zaczęła się bronić. Mnie seks nie obchodzi, pozwalam ci na to, gdyż nie chcę ci się sprzeciwić. Teraz będziesz musiał zapłacić za swoje zabawy. Twierdziłeś, że prezerwatywa nie będzie potrzebna, a teraz - masz ci los!

- O Boże! - Opadł na poduszkę, oczy wbił w sufit. - Musimy coś z tym zrobić.

- Co na przykład?
- W twoim wieku bez problemu można usunąć ciążę.
- Nie chcę tego, Gwyn. Nie zrobiłam tego za pierwszym razem i teraz też mnie nie zmusisz.
- To szaleństwo! - jęknął zrezygnowany. - W porządku, rób, co chcesz, tylko mnie w to nie mieszaj. Pamiętaj, że sama będziesz się nim zajmować.
- Oczywiście nie jesteś zorientowany w nowym ustawodawstwie, dotyczącym urodzeń? - W tej chwili nienawidziła go bardziej niż kiedykolwiek w czasie ich małżeństwa. Egoistyczna świnią, nie obchodził go nikt poza nim samym.
- Nie słyszałam o żadnej nowej ustawie - odpowiedział.
- Nie spodziewałam się też, byś interesował się czymkolwiek, co nie przynosi zysków. - Miała ochotę uderzyć go w twarz. - Rząd chce zmniejszyć liczbę mieszkańców. Niedługo czeka nas zagłada głodowa, gdyż nie starczy żywności, by wykarmić wszystkich bezrobotnych. Więc ustalono, że jedna rodzina może mieć tylko jedno dziecko. Nieposłusznych będą karać grzywną lub pozbawieniem wolności. Poza tym zabiorą dziecko. Prawdopodobnie będą je usypiać. Rozumiesz teraz?
- Więc jeśli nie chcesz iść do więzienia, musisz je usunąć!
- Ty draniu! - Jeszcze nigdy nie klęła. Czasami silnie sprowokowana miała "złe myśli", ale nie wypowiadała ich głośno. - Nie zamierzam zabić tego dziecka. Ty zapłacisz grzywnę, ponieważ ja nie mam pieniędzy. Poza tym obydwój rodziców idzie do więzienia. Przemyśl to!
- Nie możesz schować się pod koldrę Gwyn, musisz spojrzeć prawdzie w oczy.
- Gdzie wyczytałaś te bzdury? - Było mu widać tylko oczy.
- Przeczytałam to w gazecie. - Tylko nie pytaj, w której, bo nie pamiętam. Albo może widziałam to w telewizji. Nie wiem. Wiem tylko, że to prawda.
- Gdzie jest Sara? - wyszeptał tak, jakby wołał swą nastoletnią córkę na pomoc. Sara na pewno stanie po jego stronie. Często zdarzało się, że razem doprowadzali Ruth do łez.
- Ja... - Ruth zamknęła oczy i potrząsnęła głową, - Tak, pamiętam. Wyjechała na wakacje z Normanem.
- Co?
- Słyszałeś. Próbowaliśmy jej to odradzić, ale i tak zrobiła po

swojemu. - Przetarła ręką powieki. Powinni teraz zawiadomić Sarę, że spodziewają się przyjścia na świat jej rodzeństwa i że są w kłopotach. - Obawiam się, że będziemy musieli stawić temu czoła, Gwyn. To są lata osiemdziesiąte, a nie pięćdziesiąte, nie możemy zatrzymać jej w domu. Zaplanowaliśmy, że przyjedziemy tu razem, że będziemy mieć na nich oko, ale teraz już nastolatki nie wyjeżdżają na wakacje z rodzicami. Jesteśmy tu sami, a w dodatku mamy problem.

- No tak. - Miał zamknięte oczy i wyglądał na bardzo zmęczonego. - Ale ja potrzebuję odpoczynku, Ruth. Słyszałaś, co lekarz powiedział.

- Rób, co chcesz. Śpij i odpoczywaj. - Zaczęła się ubierać. Dyskretnie stanęła za drzwiami szafy, by nie widział, że zakłada swą najlepszą sukienkę. - Wychodzę. Jest piękny dzień, chcę się trochę przespacerować. Jeśli chcesz, przyjdę na obiad do restauracji około pierwszej.

Leżał z twarzą zakrytą prześcieradłem, słuchając jej kroków, szelestu ubrań, szumu wody w łazience. Wreszcie trzasnęły drzwi frontowe. Został sam.

To wszystko było bardzo dziwne. Nagle z płataniny myśli wyłoniła mu się jedna. Jeśli Ruth była w ciąży, to może nie z jego powodu. Może jest jakiś inny mężczyzna! Usiadł i odrzucił pościel. Spojrzał na otwarte drzwi od szafy i zobaczył w lusterku swe odbicie: wynędzniałą, wykrzywioną złością twarz.

- Ty suko! - krzyknął. - Puszczasz się na prawo i lewo, a potem próbujesz wmówić mi, że to moje dziecko! Niemalże uwierzyłem w te brednie. Ale przyrzekam, gdy cię dostanę w swoje ręce, pożałujesz, że się urodziłaś!

Wstał. Zachwiał się na nogach i opadł z powrotem na łóżko. To było przerażające, w ogóle nie zdawał sobie sprawy z tego, jaki był stary. Leżąc, usłyszał głośne stukanie do drzwi. Przestraszył się. Ruth miała klucz, więc nie pukałaby. W takim razie kto? Poczłapał do szafy, wyciągnął spodnie i wymiętą koszulę, założył je. Przygładził włosy. Znowu pukanie.

- Poczekaj, do cholery. - Kto to mógł być? - Nie mógł znaleźć skarpetek, więc wsadził stopy do butów i poszedł do przedpokoju. - Już idę!

Na progu stał młodzieniec w rozpiętej u góry koszulce i dzinsach. Piegowata twarz i błękitne uśmiechnięte oczy. Gwyn zasta-

nawiał się chwilę zanim rozpoznał przybysza. Oczywiście, Norman Tong, chłopak Sary! Ale czego on tu szuka?

- Dzień dobry, panie Mace. W końcu dotarłem.

- Widzę! - Gwyn stanął w drzwiach, aby chłopak nie mógł wejść. Był zbyt impertynencki, a poza tym odkąd opuścił szkołę nie podjął się żadnej pracy. Nie zrobił nic poza zgłoszeniem się po zasiłek dla bezrobotnych. Był bystry, ale to jeszcze za mało.

Chłopak chciał wejść, ale Gwyn przymknął przed nim drzwi.

- To nieładnie wypraszać się tak do kogoś, synu.

- Ale ja... - Norman zaszokowany cofnął się. - Sara...

- Słuchaj, gnojku. - Gwyn wysunął przez szparę twarz. - Co dzieje się między tobą, a moją córką niewiele mnie obchodzi. Najwyraźniej takie nadeszły czasy i nic na to nie poradzę. Ale jeśli chcesz tu zostać, sam musisz płacić, nie jestem kasą zapomogową, rozumiesz? Przyjechaliśmy tu z żoną, by mieć ciszę i spokój. Potrzebujemy tego. Ostatnią rzeczą, jakiej byśmy pragnęli to was dwoje, kręcących się pod nogami. Więc zjeżdżaj stąd! I powtórz to mojej córce!

Gwyn zatrzasnął drzwi. Co za cholerny gnojek! Narobili tyle hałasu, że chcą wyjechać razem, a teraz wracają niespodziewanie. Na pewno skończyły im się pieniądze! Przyjechali do "tatusia" po pieniążki. Potem zażądają jeszcze więcej. Nie ze mną takie numery, nie dostaniecie ani grosza. Idźcie i kochajcie się ile wlezie, ale nie oczekujcie, że ja będę za to płacił!

Poczuł zawroty głowy, ściany zawirowały wokół niego, więc wrócił powoli do sypialni. Runął na łóżko. Dzień nie zapowiadał się dla niego najlepiej; najpierw Ruth, teraz Norman. Rodzina to najgorsza rzecz pod słońcem.

Oszołomiony Norman Tong wpatrywał się w zatrzaśnięte drzwi, wciąż spodziewał się, że zaraz ktoś je znowu otworzy.

- Do diabła! - powiedział głośno. - Stary Gwyn zwariował.

Szedł powoli, zupełnie nie wiedząc, co ma robić. Uprzedzał Sarę, że wakacje z jej rodzicami skończą się jakąś katastrofą. Pozwolili mu przyjechać pod warunkiem, że zamieszka w oddzielnym domku. W końcu nie był członkiem rodziny. Nie chcieli, by mieszkał razem z ich córką, by miał okazję spać z nią! Kochał Sarę, choć była przesadnie posłuszna woli swojej matki. Obie żyły na utrzymaniu starego. Najprawdopodobniej matka wyszła gdzieś z Sarą, może właśnie po to, by nie mogli się teraz spotkać. A stary

Gwyn zaniknął mu przed nosem drzwi. Dziwnie zaczynają się te wakacje.

Nie zamierzał wracać do ich domku. Do diabła z nimi! Umówili się z Sarą, że w razie czego, spotkają się u niego, w Różowym Obozie, domek numer 13. Pozostało tylko pójść tam i poczekać.

Czas płynął przeraźliwie wolno. O pierwszej zszedł do baru. Kupił frytki z paszтетem i wrócił, by je zjeść w domku. Czekał jeszcze godzinę, ale Sary wciąż nie było. To jeszcze nie był powód do niepokoju. Na pewno obie miały już dość towarzystwa Gwyna i wyjechały gdzieś na cały dzień, zresztą trudno im się dziwić. Może robią w mieście zakupy albo wyprawiły się na wycieczkę w góry. Było tyle możliwości. Mógł tylko czekać.

Po południu zrobiło się bardzo gorąco i Norman zasnął w fotelu. Gdy się zbudził, było już po szóstej. Chryste, do tej pory powinny już wrócić! Chciał wrócić do ich domku i spytać o Sarę, ale stary i tak by go nie wpuścił. Nie, lepiej będzie jak ona tu przyjdzie. W restauracji przecież będą musieli siedzieć przy jednym stoliku, więc przy obiedzie powinni się spotkać.

W restauracji nie było tłoczno. Norman stał w drzwiach, rozglądając się wokół.

- Mogę panu w czymś pomóc? - Stał przed nim uśmiechnięty mężczyzna w żółtym kombinezonie.

- Ach, tak. - Norman wyciągnął swoją kartę. - Jestem tu z państwem Mace. Właśnie przyjechałem. Może mógłby pan pokazać mi ich stolik?

- Proszę za mną. - Mężczyzna przeszedł przez salę i wskazał stolik z czterema nakryciami. - To tu, proszę pana. Kelnerka zaraz pana obsłuży.

Norman odsunął krzesło i usiadł. Czuł się tu obco, a poza tym państwo Mace jeszcze nie przyszli. Może Gwyn nie zapłacił za posiłki; nie, to byłoby absurdalne. Ten żarłoczny drań nie zrobiłby tego. Na pewno zaraz przyjdą.

- Czy chciałby pan coś zamówić?

Norman podniósł głowę i spojrzał na zniecierpliwioną kelnerkę.

- Czekam na kogoś. - Wskazał trzy puste miejsca. - Proszę przyjść później.

Odeszła bez słowa. Z obsługą tak zawsze, pomyślał, wiecznie zaganiani, w czasie pracy nie mają minuty wytchnienia. Podniósł kartę menu, bawił się nią, otwierał, ale nie czytał. Nie był głodny,

tylko trochę zdenerwowany. Znow przysła mu do głowy myśl, że państwo Mace nie przyjdą. Może Ruth i Sara musiały zaopiekować się Gwynem. Jeżeli tak, to pewnie zostawiły dla niego wiadomość w recepcji.

Było wpół do ósmej. Ani Ruth, ani Sara nie pojawiły się. Norman zaniepokojony wpatrywał się w drzwi restauracji, obserwując wchodzących i wychodzących ludzi.

- Dobry wieczór.

Był tak zajęty własnymi myślami, że nie zauważył stojącej przy nim atrakcyjnej dziewczyny w białej marynarce. Uśmiechając się usiadła przy nim, po czym zapisała coś do małego notesu. Zauważył na jej karku bliznę. Nie wyglądało to na stłuczenie, ale to przecież nie jego sprawa. Musiało ją bardzo boleć.

- Pan zapewne nazywa się Tong? - Spojrzała na niego.

- Tak - odpowiedział szybko. Wszystkie dzisiejsze obawy wróciły do niego w jednej chwili. - Jestem tu z państwem Mace, ale nie wiem, co się dzieje z paniami.

- A jak się ma pan Mace? - Pytanie to zabrzmiało co najmniej niezwykle.

- Nie... nie wyglądał dobrze.

- Hm. - Wpatrywała się w obrus. - Obawiam się, że jest zupełnie załamany. Rozumiem, teraz potrzebuje dużo spokoju.

- W takim miejscu trudno znaleźć ciszę i spokój. - Norman przyglądał się jej uważnie. Sprawiała wrażenie zakłopotanej.

- Wręcz przeciwnie. Obóz może być jedną z najlepszych form wypoczynku. Wszystko zależy od indywidualnych potrzeb. Nie trzeba przecież chodzić do dyskoteki, czy grać w ruletkę. Nikt nikogo do niczego nie zmusza.

- Chciałbym się zobaczyć z panią Mace i Sarą. - Norman był uparty. Czuł, że jego rozmówczyni umyślnie zmienia temat.

- Myślę, że to nie będzie możliwe. - Anna uśmiechnęła się. - Pani Mace oszalała ze zmartwienia o swojego męża. Myślę, że nie przyjdzie już więcej do restauracji. Personel obozu dostarcza im posiłki do domku.

Norman zadrżał.

- W takim razie chciałbym zobaczyć Sarę. To moja dziewczyna. Przyjechałem tu tylko ze względu na nią.

- Obawiam się... - Zawahała się przez chwilę. - Obawiam się, że to również nie będzie możliwe.

- Dlaczego?

- Sara także nie czuje się dobrze. Dziwi mnie, że pani Mace nie powiadomiła pana. Myślę, że była zbyt zajęta opieką nad swoim mężem. Och, to nic poważnego, proszę się nie martwić. Prawdopodobnie tylko atak letniej grypy. Jej matka musiała ją odesłać, nie dałaby sobie rady z dwójką chorych.

- Ależ to nonsens! - Norman opadł na oparcie krzesła. - Muszę to wyjaśnić.

- Proszę nie kłopotać pani Mace, ona tak się martwi, spadł na nią zbyt duży ciężar. Rozmawiałam z nią wczoraj, powiedziała, że wysłała córkę do krewnych.

- Do krewnych! Do jakich krewnych?

- Skąd mogłabym wiedzieć? - Anna wstała i dodała ciszej: - Ale, proszę, niech pan nic sprawia kłopotów pani Mace. Ona... i tak jest w trudnej sytuacji. Myślę, że również bliska jest załamania nerwowego. Czasami zapomina kim jest i gdzie się znajduje. Szczerze mówiąc, nie sądzę, by się pan od niej zbyt wiele dowiedział.

- Jeszcze się przekonamy. - Norman ucisnął podaną dłoń.

- Słuchaj, dlaczego po prostu nie zamówisz czegoś, odpoczniesz przez moment, zbierzesz myśli. Polecam ci duszoną baraninę, jest wyśmienita.

- Nie jestem głodny. - Wstał i poszedł prosto do wyjścia.

"Dzieje się tu coś niezwykłego. Muszę się dowiedzieć, czy z Sarą wszystko w porządku" - pomyślał.

Na zewnątrz świat zalany był czerwonym światłem zachodzącego słońca. Mijali go roześmiani ludzie. Z szafy grającej w salonie gier dobiegała muzyka. Czuł się jak osaczone zwierzę w kolorowej, hałaśliwej i sztucznej dżungli. Chciał stąd uciec, ale nie wiedział dokąd. Szedł coraz szybciej w nieznanym kierunku, w głowie miał gmatwaninę myśli, której nie mógł rozplątać. Nagle zwolnił. Przed nim pojawiła się postać, którą rozpoznałby wszędzie. Plecy wyprostowane, sztywne ruchy, krótko ścięte ciemne włosy z siwymi pasmkami.

- Pani Mace! - Pobiegł za nią. Brzmiało to dla niego zbyt formalnie, ale nie próbował mówić do niej "Ruth", bardzo jej się to nie podobało.

- Pani Mace, proszę poczekać!

Szła szybko, patrząc prosto przed siebie, jakby spieszyła się na jakieś spóźnione spotkanie. Dogonił ją i spojrzał na jej bladą twarz

i usta grubo pomalowane szminką.

Patrzył wprost na nią, ale ona jakby go nie zauważała. Szedł tuż za nią i zawołał raz jeszcze. Jej oczy nawet nie drgnęły, ale widziała go. Wyglądała, jakby była w szoku.

Norman wyprzedził ją i zagroził jej drogę. Wpadła na niego i cofnęła się. - Och, jakże mi przykro, ależ ze mnie niezdara.

- Pani Mace, to ja!

Spojrzała na niego, ale w jej martwej twarzy nie zaszła żadna zmiana. Nie poznała go. Uśmiechnęła się zmieszana. - Przykro mi...

- Ruth, to ja, Norman. Norman Tong!

- Musiała zająć jakaś pomyłka. - Wyminęła go i poszła dalej. Patrzył na nią, aż zniknęła w tłumie.

Zszedł na bok, by nie przeszkadzać innym. Oparł się o stalowe ogrodzenie. Pierwszy raz w życiu poczuł, że jest bliski szaleństwa.

Rozdział szesnasty

Kaplica znajdowała się za kortami do badmintonu. Był to niepozorny ceglany budynek, schowany tu tak, jakby chciał pozostać niezauważony. Niskie schodki prowadziły do ozdobionych łukiem drzwi. Przy nich wisiała mała tabliczka informująca, że niedzielne msze rozpoczynały się o 9.00 i 11.30. Poza tym codziennie od 9 do 21 kościół był otwarty dla wszystkich, którzy chcieli odnaleźć pociechę w jego spokojnym wnętrzu. Miejscowy kapelan większość czasu spędzał w salonie gier, gdyż jak sądził niezwykle ważne było nawiązywanie znajomości z młodymi ludźmi, którzy jeszcze nie ujrzeli Światłości.

Wielebny William już trzeci miesiąc pełnił swą służbę w obozie. Było to o wiele przyjemniejsze niż praca w parafii. Tu miało się masę wolnego czasu i niewiele problemów. Wczasowicze z reguły nie byli sumiennymi wiernymi. Przychodziło ich na msze około trzydziestu, a w tygodniu rzadko któryś z nich go odwiedzał. Wówczas kapelan spędzał czas, grając w tenisa stołowego.

Msza stawała się coraz bardziej nudna. Pewien był, że jego wierni są tego samego zdania. Wszystko polegało na ciągłym powtarzaniu tych samych psalmów i hymnów, a jego cotygodniowe kazania stawały się coraz krótsze i krótsze. Nikt ich zresztą nie słuchał, może za wyjątkiem tej jednej pary siedzącej w pierwszym rzędzie. Widział ich już tu w zeszłym tygodniu.

- Módlmy się. - Spojrzał na nich ukradkiem. - Módlmy się za chorych i potrzebujących, krewnych i przyjaciół - przerwał na chwilę. Klęczeli co prawda, ale na pewno nie modlili się. Błądzili tylko myślami gdzieś daleko stąd. Pewnie nie obchodziło ich, co za chwilę przeczyta z modlitewnika.

Ale ten człowiek z pierwszego rzędu modlił się na pewno. Oczy miał zamknięte, wargi poruszały się bezgłośnie. A może to tylko perfekcyjnie wypielęgnowana maska. Najlepszy niedzielny garnitur wisiał na chudym ciele jak na drewnianym wieszaku. Siwiejące włosy i ostro zarysowane rysy twarzy. Może jakiś dewot, członek którejś z tych samozwańczych sekt z obsesją wiary i odmienną interpretacją Biblii. Modlił się tak intensywnie, że aż cierpła skóra.

Kobieta siedząca obok ukradkiem spoglądała na niego przestraszonym wzrokiem. Również była chuda, ale wyższa i kilka lat młodsza od niego. Wyglądała na około czterdzieści lat. Dłonie mia-

ła mocno splecione i nerwowo poruszała palcami. **Ubrana była w** długą czarną suknię noszoną od święta i w czasie **porzebów**.

Wielebny William spojrzął na zegarek. Ludzie zawsze **go** interesowali. To prawdziwy cud boski, że spośród milionów ludzi na świecie nie było dwóch takich samych osób. Często bawił się w odgadywanie osobowości widywanych ludzi. Oczywiście nie mógł tego sprawdzić, gdyż po mszy nie pojawiali się już więcej. Gdy wstał z klęczek, ujrzał uczucie ulgi na twarzach wiernych, ale nie dał nic po sobie poznać. Dał znak organistów. Teraz błogosławieństwo, ostatni hymn i spokój do następnej niedzieli.

- Niech odwieczny spokój boży, który przekracza wszelkie zrozumienie, - Ten gość wciąż modlił się intensywnie, jego wąskie wargi poruszały się bezustannie - natchnie wasze serca i umysły wiedzą i miłością Boga, teraz i zawsze... Zaśpiewajmy teraz hymn numer 274...

William nie brał udziału w śpiewie, to nie należało do jego roli, jeśli ktoś chciał śpiewać, to już jego sprawa. Większość ludzi śpiewała jednak niskimi skrzepowanymi głosami. Kobieta stała, wertując w zakłopotaniu książeczkę, widocznie miała trudności z odnalezieniem właściwej strony. Jej mąż ciągle klęczał. Spoglądała na niego z wyrazem niepokoju na dobrotliwej twarzy.

Kapelan zebrał swoje papiery i wetknął je do modlitewnika, po czym powoli odszedł do zakrystii. Stał w jej drzwiach, dopóki hymn się nie skończył. Potem mógł zdjąć szaty liturgiczne, sprawdzić, czy wszyscy wyszli z kaplicy i czy nikt nie chce z nim porozmawiać, a potem przejść prosto do Baru Morskiego. Tylko w niedziele pozwalał sobie na kieliszek alkoholu, tak dla animuszu. Słyszał kroki wychodzących ludzi i trzaśnięcie drzwi. W kaplicy musiało już być pusto. Powinien był czekać teraz przy ołtarzu, ale nie spodziewał się, by ktoś chciał z nim porozmawiać. Jednak gdy wyszedł z zakrystii, stanął zaskoczony. Kobieta i mężczyzna wciąż byli tam, modląc się gorliwie. On klęczał tak, jakby od tamtego czasu w ogóle się nie poruszył. Ona zaś siedziała pochyłona na brzegu ławki z twarzą schowaną w dłoniach.

William poczuł się zakłopotany. Myślał nawet, żeby wycofać się do zakrystii i zostawić ich samych. Nie chciał im przeszkadzać na pewno nie był im już w niczym potrzebny. Mogli tu zostać nawet do dziewiątej, to nie jego sprawa. Zdecydował, że przejdzie spokojnie obok nich, uśmiechając się życzliwie i pójdzie swą drogą.

Jego kroki rozbrzmiewały głucho, starał się iść na palcach, ale to nie pomogło.

- Dzień dobry, pastorce - pozdrowiła go kobieta, miała uniesioną głowę i próbowała się uśmiechać.

- Dzień dobry. - Właściwie to jestem jeszcze wikarym, ale dzięki za komplement. Nie wiedział, czy iść dalej, czy zostać. - Wierzę, że msza zadowolili państwa.

Mężczyzna otworzył oczy i potrząsnął głową, jakby właśnie obudził się z głębokiego snu. Sprawiał wrażenie człowieka, który nagle zapomniał, gdzie się znajduje, rozglądał się wokół siebie z lekkim przestachem. Powoli dochodził do siebie, poruszył wargami.

- Bóg był dzisiaj z nami, pastorce - mówił zachrypłym głosem.

- Bóg jest z wami zawsze - odpowiedział William i zastanawiał się, czy nie jest jeszcze za późno, by wyjść. Miał rację, ten facet to jakiś fanatyk religijny. Prawdopodobnie całkiem nieszkodliwy.

- Dziś rano przemówił do mnie - powiedział tamten cicho. - Spełnił nasze prośby.

- Czyje? - zapytał głupio.

- Twoje i moje, i Margaret - odpowiedział. Kogóż innego mogłem mieć na myśli?

- Ach. tak, rzeczywiście. - William przełknął ślinę. - Miał na twarzy wyraz fanatycznego zapału. - Trzy zabójstwa. Twój kościół jest pusty, gdyż wszyscy tu wyrzekli się Pana, wybrali drogę grzechu. I co zamierzasz z tym zrobić, ojczu?

Kapelan westchnął. - Ja... robię, co mogę. - Nie było to oczywiście prawdą, ale nie mógł przecież chodzić po domach i wszystkim prawić kazania.

- Nie, to nieprawda! - Uniósł w górę palec wskazujący, a kobieta złapała za jego ramię, jakby próbowała go przed czymś powstrzymać. - Nie robi pan zupełnie nic. W obozie zamieszkał diabeł, który namawia ludzi do rozpusty. On zapanował ostatnio także na ulicach naszych największych miast. Grzechem jest podważanie odwiecznych praw boskich i niszczenie świętości.

- Jestem pewna, że nie jest aż tak źle jak mówisz, Edwardzie. - Głos kobiety był raczej przestraszony niż pouczający. - Ci którzy grzeszą, sami zginą w tym gnieździe rozpusty. My pozostaniemy czyści i będziemy uratowani.

- Bądź cicho, Mai garet. - Wyrwał ramię. - Oni pociągną nas za

sobą.

- Czy to wszystko usłyszałeś od Boga? - zapytał William już dość poirytowany.

- Słyszałem to z ust tego, który już w pełni oddał się władzy Szatana. - Rozejrzał się wokół, jakby spodziewając się, że jakaś manifestacja diabła wyrośnie zaraz spomiędzy ławek. - Od pewnego zatrudnionego w tym obozie ogrodnika, w jego sercu mieszka zło. On namawia robotników do buntu, chce zalać obóz powodzią krwi.

- To nie brzmiało zupełnie tak... - Margaret próbowała się wtrącić.

- Trzeba umieć właściwie interpretować znaczenie czyichś słów. - Spojrzał na nią ze złością, po czym odwrócił się znowu do duchownego. - To Szatan komunizmu, tego bezbożnego stowarzyszenia, przemawiał przez tego człowieka. Ludzie słuchają go tak samo, jak kiedyś słuchali Hitlera. Uśpiony diabeł znów budzi się do życia.

- Zwrócę na to uwagę. - William zaczynał przesuwac się ku drzwiom. - Jeżeli to, co pan mówi jest prawdą, będziemy musieli temu zapobiec, prawda? - Boże, pozwól mi dostać się do baru i porozmawiać z normalnymi ludźmi.

- Zostałeś ostrzeżony, ojcze! - Ten głos dopadł go w połowie drogi do drzwi. - Posłuchaj mnie, póki jeszcze nie jest za późno.

Margaret Holman trzęsła się jak przy ataku malarii. Edward posunął się już za daleko. Od lat uczęszczała trzy razy w tygodniu na spotkania z wiernymi. Ona też praktykowała, ale potrafiła zachować umiar. Jeżeli dość długo słucha się czegoś, to w końcu, albo zaczyna się w to wierzyć, albo nienawidzić. W wielu sprawach nie zgadzała się z mężem, ale nie miała odwagi, by mu o tym powiedzieć. Jak na razie. On postępował według zasady: ciesz się życiem, a będziesz wybawiony. Ona uważała, że życie to ciągła mozolna praca, nawet na wakacjach nie można pozwolić sobie na odpoczynek. Cóż, jeśli Edward chce pogрузić się całkowicie w fanatyzmie religijnym, to jego sprawa. Nie byłaby w stanie odwieść go od tego. Nie diabli wezmą tego ogrodnika, który zatrzymał ich wczoraj w parku i zasypał tyradą komunistycznych idei. Edward przeklął go, ale spójrzcie tylko, jak się teraz zachowuje. Przez całą noc mamrotał coś przez sen, a teraz zmienił się nie do poznania. Robi z siebie idiotę, jak ten facet podczas wyścigów osłów. Ludzie powinni być ostrożni w głoszeniu swoich poglądów. Ona postępowała tak już

od dwudziestu lat.

- On nic nie robi. - Edward spojrzął ze wzgardą na odchodzącego kapelana i wstał z ławki. - Nawet się tym nie zainteresował, nie wierzy mi. Margaret... - Przybliżył usta do jej ucha. - Sami musimy działać. Musimy z nimi walczyć.

Kiwnęła głową. Znów powstrzymała się od powiedzenia tego, co o tym myśli. Edward był chory, potrzebował porady psychiatry. A może i zwykły lekarz by się przydał. Przypisywała niestrawności jego nocne marudzenie, podczas ostatniej kolacji objadł się jak prosię. Ta kobieta w białej marynarce podeszła do ich stolika, by spytać, czy wszystko w porządku, a on przez kilka sekund nie mógł jej odpowiedzieć, gdyż usta wypełnione miał ciężkostrawnym stekiem i paszтетem z nerek.

- Musisz robić z siebie takiego agitatora? - napomknęła nerwowo, gdy wracali do swego domku. Widziałeś, co się stało z tym facetem na wyścigach. Bez wątpienia skończył w szpitalu. Tutejsza policja nie lubi takich gości i trudno im się dziwić.

- Musimy ich przebudzić - mówił jak nawiedzony. - Nie możemy siedzieć beczynnje. Jeśli nas ukamienią, będziemy cierpieć, jak kiedyś Chrystus cierpiał na krzyżu.

W tym momencie Margaret Holman zaczęła się naprawdę bać.

Więc jak, idziesz, czy nie? - Billy Evans stał przy drzwiach ubrany w płaszcz, szalik owinięty wokół szyi, czapka nasunięta głęboko niemal zasłaniała mu oczy. Twarz błyszcziała od potu. Na nogach miał wielkie buty, skrzypiące przy każdym kroku. - Prędeż, Val, co się z tobą dzieje?

Valerie Evans wstała z krzesła i spojrzała na wyladowane torby, które będzie musiała nieść. Z czasem jedzenia będzie ubywało będą coraz lżejsze.

- Poczekaj chwilę, Billy. - Usiadła znowu niezdecydowana przestraszona. - Chyba te pięć minut nie zrobi żadnej różnicy, Chciałabym napić się przed wyjściem herbaty.

- Do diabła z herbatą! Gdyby nie ty, wyszedłbym stąd już godzinę temu. Z tobą tak zawsze. Przejmujesz się każdą drobnostką w ogóle nie zależy ci na czasie. Spóźniłaś się nawet na nasz ślub pamiętasz?

- Kobiety mają prawo się spóźniać - odparowała. - Poza tym czy ty naprawdę myślisz, że powinniśmy stąd wyjść?

- O co ci znowu chodzi? - Twarz mu poczerwieniała. Do diabła, jak ona lubi w ostatniej chwili zmieniać zdanie. Ale nie tym razem!

- Myślę, że tracimy czas. - Patrzyła prosto przed siebie. - To znaczy, jeśli wszyscy przenieśli się na południe, to dla nas tam już nie będzie miejsca. Już i tak zostaliśmy przez wszystkich opuszczeni. Uważam, że lepiej będzie jak zostaniemy.

- Ty stara głupia krowo! - Złapał za klamkę, ale nie otworzył drzwi. - Jeśli tu zostaniemy, umrzemy! Z głodu. Albo zamarzniemy. Niedługo skończy się nam żywność i nie będziemy mieli jak się ogrzać. A jak myślisz, jak długo będzie tu jeszcze elektryczność? Nikogo tu już nie ma, by nam pomógł, wszyscy przenieśli się na południe, słyszysz, wszyscy.

- Dobrze - odpowiedziała cicho. - Idź do garażu i przygotuj samochód. Będę gotowa, gdy wrócisz.

- Boże, jakaś ty głupia! Przygotuj cholerny samochód! Śniegu jest tak dużo, że nie mógłbym wyprowadzić go z garażu, a gdyby nawet się to udało, to przecież drogi są zupełnie zasypane. Rusz głową, będziemy musieli iść pieszo.

W ostatnich dniach pamięć zawodziła ją coraz częściej. To wszystko przez jej męża, to on namówił ją kilka lat temu, żeby została wegetarianką. Kiedyś czuła się o wiele lepiej. - Posłuchaj, Bill... - Wydęła wargi jak zawsze, gdy się nad czymś głęboko zastanawiała. - Powiedzmy, że pójdziesz sam. Gdy znajdziesz jakieś cieplejsze miejsce, gdzie moglibyśmy żyć, to przyślesz mi kartkę, a ja przyjadę. Co ty na to?

- Zwariowałaś - śmiał się głośno. - Mówiłem ci, że umrzesz tu zanim minie tydzień. A poza tym nie ma tu listonosza, który doniosłby ci list, więc nie prześlę ci żadnej wiadomości. A teraz chodźmy już, wstawaj i skończ z tymi głupstwami.

- W porządku. - Wstała powoli, przytrzymując się ręką krawędzi stołu. - Jeśli ty tak twierdzisz, to lepiej chodźmy.

- To brzmi lepiej, zatem...

Gdy zaczął naciskać klamkę, drzwi zatrzęsły się od gwałtownego pukania. Billy wytrzeszczył oczy na swe drżące palce, jakby dotykały jakiegoś niesamowitego urządzenia.

- Co to jest! - Oderwał szybko rękę od drzwi. - Kto tam, do diabła, może być?

- Otwórz drzwi, to się przekonasz - wykrztusiła Valerie.

Jego drżące palce wróciły do klamki i nacisnęły ją z pewnym

trudem. "Będzie musiał ją naoliwić. Nie, nie zrobi tego, przecież wynoszą się stąd" - odpędził natrętne myśli. Uchylił drzwi i ujrzał wysoką ciemnowłosą kobietę stojącą przed progiem.

- Chryste! - Podniósł rękę i przesłonił oczy. - Śnieg aż oślepia. Powinienem mieć ciemne okulary. Hej, kochanie, wchodź szybciej. Zmarzniesz stojąc tak na zewnątrz w letniej sukience. Dalej, trzeba zamknąć drzwi.

Kobieta weszła powoli do pokoju i rozejrzała się trochę zdziwiona i zdenerwowana.

- Naprawdę, bardzo mi przykro - Usiłowała przyglądzić rozwiane włosy. - Zdaje się, że pomyliłam drzwi. Myślałam...

- Tu wokół przecież już nikt nie mieszka. - Billy wykrzywił usta. - Wszyscy wyjechali.

- Ach! - Na jej twarzy malował się wyraz konsternacji. Ręką dotknęła czoła, jakby doznała silnego bólu głowy. - Nie wiedziałam... Widzi pan, nie czuję się najlepiej i mój mąż zachorował. Poza tym nie wiem, gdzie jest moja córka.

- Nic dziwnego. - Wskazał jej krzesło. - Tak dzieje się ze wszystkimi. Spadło zbyt dużo śniegu. To Nowa Epoka Lodowcowa. Ludzie gubią się w tym bałaganie. Wszyscy podążają na południe, do Francji, czy dokądkolwiek, gdzie jest cieplej. Twój mąż i córka zapewne zgubili cię i poszli dalej.

- Tak. - Wyglądała na bardzo zmęczoną. - Z pewnością ma pan rację, ale nie słyszałam o śniegu. Nie myślałam, że jest tak bardzo zimno. Chyba nie jestem w stanie myśleć prawidłowo. Mam wrażenie, że tracę pamięć.

- Ze mną jest podobnie - odezwała się Valerie. - Też mam kłopoty z pamięcią, jest coraz więcej rzeczy, których nie mogę sobie przypomnieć. Jak ci na imię, kochanie? Ja jestem Val, a to mój mąż, Billy.

Chciała wstać i podać im rękę, ale poczuła się bardzo słabo.

- Na imię mam... - Musiała trochę poczekać, aż ból głowy osłabnie. - Ruth. Właśnie tak, jestem tego pewna.

- Nie martw się, zajmiemy się tobą. - Spojrzał na jej szczupłą sylwetkę, wolałby, żeby się trochę rozluźniła, nie siedziała tak sztywno. - Odpocznij, to ten chłód tak wpływa na twoją pamięć. Z nami jest tak samo. Wiesz, zanim się pojawiłaś, staraliśmy przypomnieć sobie, gdzie przedtem mieszkaliśmy i wciąż nie jesteśmy pewni - śmiał się znowu, tym razem z poczuciem ulgi, że mieli

towarzystwo.

- Myślę, że dobrze by nam zrobiła filiżanka herbaty. - Valerie podeszła do kuchenki. - Ruth wygląda jakby jej naprawdę potrzebowała.

- To byłoby wspaniałe. - Ruth nerwowo tarła dłonie jakby myła je niewidocznym mydłem. - Ale tylko jeśli nie sprawi to państwu kłopotu, nie chciałabym przeszkadzać.

- Te pół godziny nie zrobi nam różnicy. - Spojrzał z lękiem na swoją żonę, ale nie dała po sobie poznać, że coś słyszała. - Teraz Ruth, pozwól, że przedstawię ci nasze plany. Jestem pewien, że Val znajdzie dla ciebie ciepły sweter i płaszcz. Będziesz ich potrzebowała.

Siedzieli we trójkę, popijając gorącą herbatę. Billy, jak zwykle, robił to bardzo głośno, ale Valerie już nie zwracała na to uwagi.

- Czym zajmuje się twój mąż, moja droga? - Billy spojrzał na Ruth, nie wyglądała na żonę robotnika skręcającego łańcuchy, ale nigdy nic nie wiadomo. Wszyscy okoliczni mężczyźni pracowali w tej fabryce, albo byli na zasiłku.

Zamknęła oczy marszcząc czoło. Myślała bardzo intensywnie, ale bezowocnie. - Ja... nie pamiętam. - Była blisko płaczu. - Pamiętam tylko, że pokłóciliśmy się o coś... Chciałabym wiedzieć, gdzie on teraz jest.

- Założę się, że nic mu się nie stało. - Billy odstawił pustą filiżankę. - Z pewnością spotkacie się po drodze.

- Mam taką nadzieję.

Valerie wstała i zaczęła szperać w szafkach i szufladach. W końcu wyciągnęła gruby, zielony, ręcznie robiony sweter z kapturem. Potem zdjęła z wieszaka płaszcz i podała Ruth. - Przymierz, czy będzie na ciebie pasować.

- Nie sądzę, by było aż tak zimno. - Pozwoliła, by pomogli jej się ubrać. - Jest bardzo duszno.

- Podczas wielkich mrozów można czasami odnieść takie wrażenie. - Odparł Billy. "Chryste, mam nadzieję że jeszcze się nie rozchorowała" - westchnął.

- Całkiem nieźle. - Ruth uśmiechnęła się, pomimo że jej ciało zaczęło się intensywnie pocić.

- Ty nie masz butów! - Billy dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego przerażającego faktu.

- Jestem pewna, że nie będą mi potrzebne - odpowiedziała Ruth.

- Ależ oczywiście, że będą. - Podrapał się po brodzie. - Słuchaj, mam pomysł, - Spojrzał na swoje olbrzymie grube buty. - Weźmiesz te, aja mam jeszcze w szafce swoje stare buty robocze. Prawda, Val?

- Tak, są tutaj. - Valerie przeszukała dno szafki i wydobyła wysokie skórzane buciory. - Te na pewno będą lepsze dla ciebie, Billy. Wiesz jak pocą ci się stopy, gdy włożysz coś grubszego.

- To nieważne! - Wziął od niej buty i zaczął gwałtownie rozplątywać sznurowadła. - Przestań rozpowiadać o moich osobistych sekretach. Zaraz powiesz jej jeszcze, że chrapię przez sen.

Ruth stała sztywno, zakłopotana, nie wiedziała w jaki sposób mogłaby odwdziżyć się tym ludziom. Oni byli tak znakomicie zorientowani w tym, co się dzieje i co należy robić. Miała szczęście, że ich znalazła. Opatrzność, jak widać, czuwała nad jej losem.

- A gdzie są, do diabła, moje okulary przeciwsłoneczne! - Wygrzebał je spośród śmieci na stole i ogłosił triumfalnie: - Sądzę, że teraz jesteśmy gotowi do drogi. Włóż swoje. Val. Czy masz ciemne okulary, Ruth?

- Ależ tak - Wyciągnęła je z kieszeni sukienki. Widziała w nich gorzej niż kiedykolwiek, z ledwością dostrzegała meble w pokoju.

- W porządku, chodźmy więc. - Billy sprawdził, czyjego płaszcz jest dokładnie zapięty, po czym otworzył drzwi.

Rozdział siedemnasty

Następnego dnia zaraz po śniadaniu Norman Tong wrócił do domku państwa Mace. Zasłony w oknach były odsłonięte, a wewnątrz nie widać było żywej duszy. Pomyślał, że zapewne już wyjechali. Stał z założonymi rękoma po drugiej stronie ulicy i zastanawiał się, czy zapukać raz jeszcze. Nic złego nie mogło go spotkać, chyba że Gwyn znów obrzuci go obelgami. Sara mogła tam być, choć coś podpowiadało mu, że powinien odrzucić taką nadzieję. Długo się nad tym zastanawiał, wsłuchany w ciszę pustego mieszkania. W takim razie, gdzie mogłaby być? Opanowywało go powoli uczucie bezsilności i paniki, miał ochotę walić głową w mur.

Idąc przed siebie minął restaurację. Nie był głodny, na myśl o jedzeniu robiło mu się niedobrze. Spojrzał w okna, ale nie mógł dojrzeć kobiety, z którą wczoraj rozmawiał. Nie wierzył w to, co mu powiedziała, była zbyt opanowana, zbyt uprzejma.

Wszedł do długiego wąskiego sklepiku z broszurami, pocztówkami i czasopismami. Nie chciał nic kupować ani czytać, oglądał magazyny by zabić czas., W sklepiku było dużo ludzi stojących w kolejce po gazety, rozmawiających, śmiejących się.

- Nie widzę tu nic na ten temat - powiedział mężczyzna w ciasnej koszulce uwydatniającej potężny brzuch. Wydmuchiwał dym z papierosa przed siebie, jakby chciał się w ten sposób odgradzić od innych klientów. Trzymał przed sobą rozpostartą gazetę. - Myślałem, że chociaż tu coś będzie.

- W innych również nic nie piszą - odpowiedział młodszy, wyglądający na jego syna. - Zabawne, prawda? Nawet w londyńskich dziennikach. Żadnej wzmianki o tym, co tu się stało. Nie wiemy nawet, skąd oni byli.

- Ani kim byli. - Starszy mężczyzna przepuścił przed siebie niecierpliwą klientkę. - Po prostu wczasowicze, jak my. Jezu, Mike, mogliśmy przecież siedzieć z nimi przy jednym stoliku w barze nie podejrzewając.

- Tak. - Ten drugi przejrzał następną gazetę i odłożył ją z wyrazem rezygnacji. - Szalony facet zabija dziewczynę na wyspie, a potem morduje w domku swoją przyjaciółkę, po czym zjawiają się gliny i zabijają go. To śmierdzi na miłą. Najbardziej ciekawi mnie ta dziewczyna. Dużo bym dał, by się dowiedzieć, kim ona była, tato.

Norman skamieniał. Chłód ścisnął mu serce, że niemal przestało bić. Zamordowana dziewczyna... Nie, przecież Gwyn by mu powiedział... Zachowywał się tak dziwnie, Ruth była zupełnie oszomiona. A po Sarze jakby wszelki ślad zaginał! Och, dobry Boże!

- Gdzie się, do diabła, tak rozpychasz?

Ignorując okrzyki zdenerwowanych klientów wybiegł na zewnątrz w światło porannego słońca. Ludzie spieszyli na plażę, albo do salonu gier. Znowu słychać było muzykę. Przycisnął dłonie do uszu próbując uciszyć ten hałas. Co zrobiliście z moją dziewczyną, dranie?

Nie, to nie mogła być Sara. Dlaczego właśnie ona? Zawsze może być jeszcze ktoś inny, nieznany. Musi być. Zatrzymał się na tarasie przed salonem gier i oparł się o balustradę. Musi przemyśleć to wszystko, zdecydować, co ma dalej robić.

- Gdy powiem "pal", to pal. Albo wynoś się z miasta - dotarł do niego dziwny głos. Rozejrzał się i spostrzegł wąsatą twarz i wpatrzone w niego oczy. Rewolwerowiec prawie jak żywy, facet, którego zadaniem było zabijać. Norman zadrżał, czuł jak krew pulsuje mu w skroniach. Nerwy miał w strzępach. Nie miał zamiaru wystawiać się na pośmiewisko. Chciał z kimś porozmawiać. Ktoś musiał coś wiedzieć. Nowa nadzieja zaświtała mu w głowie. Strażnicy przy wejściu do obozu, oni powinni być zorientowani. Przypomniał sobie tabliczkę na drzwiach z napisem "Informacja", może tam odpowiedzą mu na kilka pytań.

Zdecydowany był poznać całą prawdę, nawet, gdyby była najgorsza. Nawet, gdyby to Sara była tą zamordowaną dziewczyną. Szedł szybko przedzierając się przez tłum wczasowiczów, potrącał ich i nienawidził za to, że byli tacy beztrosecy i uśmiechnięci.

Staął przed budynkiem straży. Jakaś złowroga atmosfera otaczała to miejsce. Umundurowany facet na warcie, szlaban w porzek drogi. Barak z zakratowanymi oknami, gdzie umieszczano zatrzymanych. Jeśli twoje papiery nie były w porządku, nie mogłeś tędy wejść ani wyjść z obozu. Z jednego z okien wystawała lufa karabinu maszynowego. Starał się iść normalnie, ale czuł jak miękła mu kolana. Wiedział, że w takich sytuacjach zawsze zaczynał się jękać.

Szukał drzwi z napisem "Informacja", które zauważył wczoraj. Większość z nich była nie oznakowana i zamknięta. Facet przy szlabanie przyglądał mu się ukradkiem, sprawdzając papiery jakiek-

gość kierowcy. W końcu pi-zepuścił samochód i skierował się do Normana.

- Mogę ci w czymś pomóc, chłopcze?

- Aaa... tak - odpowiedział zachrypniętym głosem, jakby chorował na anginę. - Ja... ja... gdzie jest biuro informacji?

- Jest tam! - burknął tonem, *który* miał oznaczać - "nie umiesz, do diabła czytać?" i wskazał palcem biały budynek z czerwonym napisem "Informacja". - Napis jest na drzwiach.

Norman kiwnął głową i skierował się we wskazane miejsce. Niewysokie schodki prowadziły do lekko uchylonych drzwi. Za biurkiem siedział siwo włosy mężczyzna, prawdopodobnie dorabiał sobie do emerytury. Tasował jakieś bilety i rozkładał je jak karty do pasjansa. Spojrzał na wchodzącego, ale zaraz wrócił do swojej zabawy. Z kącika ust zwisał mu papieros, dym wciskał się do jego nosa i oczu, ale jemu to najwyraźniej nie przeszkadzało. Co chwila kaszłał ochryple. Skrupulatnie sprawdzał i odkładał kartoniki. Spojrzał na Normana pytającym wzrokiem, zapewne nie miał ochoty już powtarzać - "Czym mogę panu służyć?"

- Ja chciałybym... szukam kogoś - zaczął Norman.

- Zagubione dziecko? Nazwisko proszę.

- Nie, nie. To moja dziewczyna.

- Nazwisko.

- Sara. Sara Mace.

- Numer domku?

- 37. w Żółtym Obozie. Ja mieszkam w 13.

Facet spojrzał na niego z wyrzutem. Smarkacz. Kogo chcesz oszukać? Nie chcesz chyba powiedzieć, że śpicie w oddzielnych domkach?

Pogi-zebał w rejestrze, wyciągnął kartkę, której szukał, jednocześnie gasząc swego papierosa w przepelnionej popielniczce i wyciągając następnego. Podpałił go, zaciągnął się dymem i znów zakaszłał ciężko.

- 37. Państwo Jones. Musiałeś się pomylić, chłopcze.

- Ależ tu musi być jakiś błąd. - Normanowi robiło się na przemian gorąco i zimno. - Przecież wiem dobrze...

- Zgadza się, zaszła tu pomyłka. - Urzędnik powrócił do gry z kartonikami. - Ale twoja! Nie zawracaj mi więc głowy, tylko idź sprawdzić numer domku tej twojej przyjaciółki, a...

- Jej nazwisko brzmi Mace. M.A.C.E. Sara.

- Nazwiska mnie nie interesują, ja mam listę według numerów domków. Pytałeś o Żółty Obóz, 37. Mówię ci, że tam mieszkają państwo Jones. To wszystko, co mogę ci powiedzieć.

Norman poczuł, że podłoga pod nim zaczyna się chwiać, oparł się ciężko o biurko.

- Chcę rozmawiać z szefem.

- Dawson jest szefem straży - odpowiedział tamten trochę zły.

- Ale on ma dzisiaj wolny dzień. Zostałem tylko ja i Jepson przy bramie. On też nie będzie w stanie ci pomóc.

- Miałem na myśli szefa tego obozu.

- Miałeś na myśli kierownika. - Zaczął już tasować nową partię kartoników. - Jego biuro znajduje się przy recepcji. Ale nie uda ci się z nim zobaczyć. Musiałbyś być wcześniej umówiony, nie ot, tak sobie. Musiałbyś mieć naprawdę ważny powód. - Zakastał tak mocno, że papieros wypadł mu z ust.

Norman zszedł po schodkach na dół, klnąc straszliwie. Albo on wariował, albo oni. Jezu, wiedział przecież, że państwo Mace mieszkają pod numerem 37, nie było wątpliwości.

Wielki hall budynku administracji również nie zrobił na nim dobrego wrażenia. Przy dwóch okienkach, banku i poczty stały długie kolejki ludzi. Przy informacji biura podróży siedziała młoda dziewczyna, przeglądająca kolorowe broszury. Dalej zainstalowano tuzin, albo i więcej, aparatów telefonicznych. W świetlicy kilkoro ludzi siedziało przed telewizorem, ale w ogóle nie było słyhać filmu, tak głośno rozmawiali. Norman spojrział w jedną stronę, potem w drugą i zauważył rząd zamkniętych drzwi. Kasjer... Personel naprawczy... Sekretariat kierownika!

Podszedł do tych drzwi. Zapukać, czy wejść od razu? Zapukał i odczekał. - Proszę wejść! - zabrzmiało zza drzwi.

Wszedł cicho do środka. Luksusowe meble i dywan, wielkie okna z przyciemnionymi szybami. Po środku biurko, a za nim atrakcyjna ciemnowłosa dziewczyna. Spojrzała na niego i uśmiechnęła się. - Proszę zamknąć drzwi. Gdy będą otwarte, nie usłyszysz pan tu ani słowa. Więc co mogłabym dla pana zrobić?

- Chciałbym się widzieć z kierownikiem. - Powróciła mu śmiałość.

Zaś dziewczyna wyglądała tak, jakby potrzebowała pomocy.

- Obawiam się, że pan Morrison jest teraz zajęty.

- Zaczekam. - Był nieustrasliwy. - Nie wyjdę stąd, zanim z nim

nie porozmawiam.

Była najwyraźniej zmieszana. - Mogłabym wiedzieć w jakiej sprawie przyszedł pan, panie...

- Tong. - Norman uśmiechnął się. - Wolałbym powiedzieć to osobiście kierownikowi. To bardzo ważna dla mnie sprawa, pilna.

- Ach, rozumiem - zawahała się, ale potem podniosła słuchawkę telefonu. - Jest tu pan Tong, który chce się z panem osobiście zobaczyć. Mówi, że to pilne, może poczekać... Rozumiem, powiem mu. - Odłożyła słuchawkę i zwróciła się do gościa. - Jeśli chce pan poczekać, proszę zająć miejsce przy recepcji. Poproszę pana, gdy pan kierownik będzie już wolny.

Norman siedział wpatrzony w ekran telewizora. Wszyscy wokół śmiali się z filmu, ale on nie widział w nim nic zabawnego. Spojrzał na zegarek. Była 10.40.

- Naprawdę nie widzę powodu do zmartwień, panie Tong. - Tim Morrison uśmiechał się, na pozór wydawał się bardzo spokojny. Równocześnie gryzmołił coś ołówkiem po swym mahoniowym biurku. - Winien jestem panu przeprosiny, gdyż nie powiadomiliśmy pana wcześniej. Ale to jest bardzo duży obóz i nie zdawaliśmy sobie sprawy, że jest pan związany z państwem Mace. Sara najwidoczniej zaraziła się letnią grypą i wyjechała do krewnych. Pan Mace nie czuł się dobrze i jego żona zdecydowała, że obóz nie jest dla niego najlepszym miejscem do rekonwalescencji. Oboje wyjechali dzisiaj rano. Obawiam się, że nie potrafię nic więcej panu powiedzieć w tej sprawie. Jeżeli goście decydują się na opuszczenie obozu, to jest to ich prywatna sprawa, rozumie pan?

Norman kiwnął głową. Dokładnie to samo powiedziała mu tamta kobieta wczoraj wieczorem. Ale to jeszcze nie oznaczało, że mówiła prawdę.

- Nasz urzędnik nie pomylił się. Państwo Mace wyjechali i na ich miejsce wprowadzili się państwo Jones.

- Tak, rozumiem... mieliście tu ostatnio kłopoty.

- Kłopoty, panie Tong?

- Dwa morderstwa. Strzelanina policji.

Morrison zagryzł dolną wargę, może nawet trochę zbladł, a może to tylko złudzenie. - Tak, obawiam się, że tak było.

- Kim była ta dziewczyna, którą zamordowano na wyspie?

Tamten upuścił pióro, które zaczęło toczyć się do krawędzi biur-

ka, ale złapał je, zanim spadło. - Obawiam się, że nie mogę wyjawić jej tożsamości. Tak brzmiało żądanie służb policyjnych. Nie mogę nic na to poradzić.

Te słowa nie uspokoiły Normana. Sara zaginęła, Gwyn trzasnął mu przed nosem drzwiami, Ruth spaceruje po obozie, jakby była w transie. A człowiek siedzący naprzeciw niego uśmiecha się uspokajająco.

- Doprawdy dobrze by panu zrobiła wizyta u naszego lekarza. Panie Tong, pańskie nerwy są przeciążone, nawet ja to mogę panu powiedzieć.

- Nie interesuje mnie wasz cholerny lekarz! - wysyczał wściekle Norman, wstał z krzesła, miał ochotę roztrzaskać tę uśmiechniętą twarz. - Myślę, że kłamięcie. Dzieje się tu coś bardzo dziwnego i mam zamiar dowiedzieć się, co to jest. Wydaje mi się, że państwo Mace zostali bardzo sprytnie oszukani, co z jakiegoś powodu bardzo panu odpowiada. Ale ze mną nie pójdzie panu tak łatwo. Jeżeli nie powie mi pan, kim była ofiara tego morderstwa, sam się tego dowiem!

Pióro po raz drugi wypadło z palców Morrisona, ale tym razem nie był tak szybki, by je złapać. Spadło na dywan i potoczyło się zapomniane.

- Jestem bardzo zajęty, panie Tong. - Podniósł słuchawkę. - Panna Hughes odprowadzi pana.

- W porządku. - Norman i tak już wychodził. - Widzę, że zmarowałem tylko czas. Ale nie wyjadę stąd bez względu na to, czy państwo Mace wrócili do domu, w co zresztą nie wierzę. Zostanę tutaj, ma pan to jak w banku, to wszystko wygląda bardzo podejrzanie. I dowiem się, o co tu chodzi.

Norman trafił na cichy parking samochodowy. Nie zdawał sobie sprawy z tego, dokąd idzie, usiłował uporządkować swe myśli. Nic nie miało sensu oprócz tego, że Sara zniknęła, a tu zamordowano młodą dziewczynę. Przechodził między rzędami samochodów, aż w końcu natknął się na starego niebieskiego escorta. Musiał mieć przejechane dobrych kilka tysięcy mil i w zasadzie nadawał się już na złomowisko. Norman przyglądał mu się i automatycznie wyjął z kieszeni kluczyki. Gdyby teraz zapalił, co nie zawsze udawało się od razu, za kilka minut byłby daleko stąd. Ale nie, nie mógł uciec, ciążyłoby to mu, jak niezdrowe jedzenie. Nie mógł wyjechać, do-

póki nie dowie się prawdy.

- Jakiś problem, stary?

Nie zauważył wcześniej wysokiego mężczyzny pochylonego nad sąsiednim maxi. Odwrócił się i zauważył, że samochód ma przebite opony.

- Na to wygląda, że chyba ty masz problemy. - Zmusił się do uśmiechu. - Przejechałeś po desce z gwoździemi?

- Chciałbym, żeby tak było. - Tamten miał zmartwioną minę. - Zostały przebite.

- Wandale?

- Znowu chybiłeś. Nazwałbym to raczej sabotażem. - Jeff Beebe był zaskoczony, że chłopak tylko kiwnął głową, zupełnie nie zaskoczony. - Nie masz może przy sobie pompki, chciałbym napompować koła i zabrać go do warsztatu.

- Pewnie. - Norman wyciągnął kluczyki i otworzył wóz. - Jest stara, ale myślę, że jeszcze dobra.

- Dzięki. - Jeff wziął pompkę i zaczął odkręcać zawór. - Ten obóz to dziwne miejsce. - Poczul ochotę, by wyżalić się przed kimś, nawet przed zupełnie obcym człowiekiem. - A ty, jakie masz problemy?

- Zaginęła moja dziewczyna - Norman rozgadał się szybko. - A słyszałem, że tu były dwa morderstwa. Myślę, mam nadzieję, że się mylę, że to ona została zabita na wyspie. I wygląda na to, że wszyscy starają się zachować to w tajemnicy.

- Nie musisz nic więcej mówić. - Beebee zaczął pompować dętkę. - Słuchaj, stary, naprawmy te koła, a potem pójdziemy gdzieś porozmawiać. Co ty na to?

- Świetnie. - Pomimo obaw przepełniło go nagle poczucie ulgi.

Maxi zapalił, Norman wsiadł do samochodu i zatrzaskał drzwi. Jeff ruszył powoli. Zrobili małe kółko i wyjechali na ulicę. Ludzie niechętnie usuwali się z drogi, w pewnym miejscu dzieci bawiły się na niej kolorową piłką plażową. Jeff zastanawiał się, czy może ich wyminąć. Spróbował ostrzec ich, wciskając klakson, ale ludzie nie spieszyli się z zejściem na chodnik. Troje z nich szczególnie utrudniało przejazd.

- Do diabła, spójrz tylko na nich! - Jeff wskazał te trzy postacie, które jakby nie zdawały sobie sprawy, że dwa metry za nimi jedzie samochód. - Kto ich zmusił, by tak się ubrali?

Mężczyzna miał na sobie gruby płaszcz i buty, ciepły szalik

owinięty wokół szyi. Jedna z kobiet miała jasny płaszcz i kozaki, druga szła maleńkimi kroczkami, gdyż jej grube buciory były dla niej kilka numerów za duże. Ubrana była w gruby sweter z kapturem i płaszcz przeciwdeszczowy. Patrzyli prosto przed siebie i bardzo się spieszyli. Ludzie przyglądali się im i wytykali ze śmiechem palcami.

- To jacyś szaleńcy - stwierdził Jeff. - Mówiłem ci, że w tym obozie można spotkać wiele dziwnych rzeczy. Jezu, pot musi z nich spływać strużkami!

Nagle Norman zadrżał, pochylił się do przodu. Druga z kobiet kogoś mu przypominała. Jej chód, tak dostojny pomimo śmieszności sytuacji, wyprostowane ramiona, krótkie ciemne włosy przeplecione jasnymi pasemkami wystające spod kaptura. To nie mogła być... ale to była ona!

- Co jest? - Jeff spojrział na swego towarzysza, który nagle bardzo zbladł. - Dobrze się czujesz?

- Ta... ta kobieta przed nami. - Wskazał przed siebie drżącym palcem. - Ona jest... nie ma wątpliwości..., to matka mojej dziewczyny!

Rozdział osiemnasty

Billy Evans zaniknął za sobą drzwi. Poczuł jak ogarnia go smutek, jakby opuszczał własny dom, którego już więcej nie ujrzy. Zasypie go śnieg i zachowa dla potomności. Odwrócił się do swoich dwóch towarzyszek i ledwo je rozpoznał. Ciemne okulary, czapki, grube płaszcze.

- W porządku. - Starał się by zabrzmiało to dziarsko. - Ruszamy. Trzymajcie się blisko mnie, nie możemy się pogubić.

- Billy, wiesz dokąd należy iść? - zapytała Valerie. - Nie będziemy w stanie rozpoznać żadnych punktów orientacyjnych, prawda? Możemy pobłądzić i zamarznąć na śmierć.

- Będę się kierował według słońca. - Podniósł głowę, blask oślepił go nawet przez okulary. - Nie martw się o to. Będziemy się trzymać głównych dróg.

Nie widział zbyt wiele pomimo tego, że słońce świeciło bardzo jasno. Dla niego była to oślepiająca biel śniegu. Trzymał głowę pochyloną i podnosił ją tylko w razie potrzeby.

- Tu wokół jest okropnie dużo ludzi - Valerie musiała krzyżeć, by ją usłyszeli. - Mówiłeś przecież, że wszyscy wynieśli się na południe.

- To jacyś dziwacy - odkrzyknął. - Nie zwracaj na nich uwagi i nie zatrzymuj się. Niektórzy z nich na pewno są bliscy śmierci głodowej i jeśli dowiedzą się, że mamy żywność, gotowi będą nas zabić. I nie trać sił na rozmowy.

Posłusznie szła za nim. Ona również widziała wszystko bardzo niewyraźnie. Droga nie była zasypana, widocznie wiatr wywiał z niej śnieg. Zastanawiała się, jak daleko dzisiaj zajdą i czy znajdą gdzieś schronienie na noc. Z pewnością nie mają wystarczająco dużo żywności na drogę, torby, które niosła wydawały się niezwykle lekkie. Spojrzała na swoją towarzyszkę. Biedna Ruth, nie wyglądała dobrze. Nie widziała jej co prawda wyraźnie, ale wiedziała, że jest słaba, nie będzie w stanie iść zbyt daleko. Co będzie jak opadnie z sił? To byłoby przerażające, nie będą mogli jej tak zostawić.

- Nie za gorąco pani? - Valerie cofnęła się przed olbrzymim mężczyzną, który nagle wynurzył się przed nią. Grubiańska twarz z szyderczym uśmiechem. Złapała za ramię Ruth. Szybciej, wynośmy się stąd! Billy miał rację, ci ludzie mogą być niebezpieczni.

Trzeba ich zignorować.

- Wszystko w porządku, Ruth? - Valerie była trochę przestraszona.

- Tak, czuję się dobrze - padła zdawkowa, sucha odpowiedź.

"To wszystko przez te zmartwienia, zgubiła męża i córkę, którzy mogli już nie żyć". - Valerie objęła ją ramieniem.

Ruth była pewna, że to jeden z tych koszmarów, jakie nawiedzają ludzi w gorączce. To nie mogło się dziać naprawdę. W zimowym ubraniu było jej niesamowicie gorąco. Już od dłuższego czasu miała ochotę zrzucić go z siebie, ale bała się, że obrazi tym państwa Evans. Oni mówili o jakimś głębokim śniegu, którego w ogóle nie widziała. Poza tym szkła jej okularów były zatłuszczone i brudne.

- Słyszysz samochód, Billy! - Valerie pociągnęła męża za rękaw.

- Ach głupcy! - mruknął, nie odwracając się za siebie. - Zawsze znajdzie się taki idiota, który będzie próbował przejechać przez zasypany samochodem. To dlatego główne drogi zablokowane są przez opuszczone samochody. Nie zajedzie daleko, ugrzęźnie gdzieś po kilku kilometrach, zobaczysz, że mam rację.

Mijał ich tłum ludzi, ustępowali im z drogi, schodząc na pobocze. Było w tym coś groźnego. Valerie gotowa była upuścić torby zjedzeniem. Niech wezmą i pozwolą im odejść. W ostateczności zrobi tak. Wszyscy patrzyli na nich. O Boże, jakie to okropne!

Ruth usłyszała samochód tuż za sobą, ale nie miała odwagi by się obejrzeć. Przyszło jej do głowy, że kierowcy na tym lodzie trudno będzie zahamować.

- Przepraszam - zagadnęła Evansa. - Myślę, że powinniśmy się odsunąć. Ktoś chce przejechać.

- Do diabła z nim, niech poczeka, wkrótce przekona się, że nie będzie w stanie jechać dalej.

- Billy, bądź rozsądny, nie chcesz chyba, żeby nas przejechali - Valerie pociągnęła go za rękaw na bok. Ruth podążyła za nimi, potykając się o krawężnik. Cała trójka znalazła się na chodniku.

Samochód przejechał, Ruth spojrzała na niego. Wewnątrz zauważyła pasażera, wpatrującego się w nią. Miała wrażenie, że powinna była go rozpoznać. Nie, to niemożliwe, przecież nie zna tu nikogo. Nie wiedziała nawet dokładnie, gdzie się znajduje. Ten pasażer krzychał coś przez otwarte okno, ale jego słowa tonęły w gwiełku. Najprawdopodobniej obrzucił ich obelgami, jak wszyscy inni. Samochód zwolnił i jechał teraz tuż przed nimi. A ten młody

człowiek wciąż krzyczał.

Ruth odwróciła głowę, Nigdy nie wdawała się w potyczki słowne i tym razem również nie miała na to ochoty. Ale usłyszała, że Billy powiedział coś do niego, kiedy kierowca przyspieszył i odjechał.

- Bałwan! - Billy zszedł z powrotem na ulicę. - Za jakiś czas znajdziemy go zakopanego w jakiejś zaspie. Zobaczycie!

Miała wrażenie, że zaczęła się wędrówka ludów. Mężczyźni, kobiety i dzieci szli w różnych kierunkach, jakby nikt naprawdę nie wiedział, w którą stronę się skierować. Masowy exodus. I wciąż nie widziała śniegu, wręcz przeciwnie, robiło się coraz cieplej. Oddałyby wszystko za szklankę lemoniady i dezodorant. Czują w powietrzu zapach potu, była zupełnie mokra.

- Stać! - Billy zatrzymał się nagle. Ludzie potrącali ich łokciami.

- Co się... stało? - wyszeptała Valerie, wciąż trzymając rękę Ruth.

- Jakaś przeszkoda na drodze. - Billy uniósł głowę i spojrzał przed siebie, obraz był niewyraźny. - Nie jestem pewien...

- Może powinniśmy zawrócić.

- Nie bądź głupia! Musimy iść dalej bez względu na warunki. W poprzek drogi jest ustawiony szlaban. Myślę, że w ten sposób zatrzymują i zwracają samochody, ponieważ później blokowałyby drogę. Ale to jest wolny kraj, nie mogą zatrzymać pieszych. Chodźmy, przekonamy się.

Ruth zdawała sobie sprawę, że była to granica obozu i zawróciłyby, gdyby nie strach przed utratą towarzystwa tych ludzi. Ktoś mógłby napaść na nią, jeśli nie będzie się ich trzymała. Ten tłum ludzi wydawał się naprawdę groźny, wciąż dźwięczał jej w uszach ich obelżywy śmiech. Biało-czerwona belka zagradzała drogę. W pobliżu stała budka wartownicza, a wokół niskie budynki z dużymi oknami. Serce jej zabiło szybciej, gdy zbliżyli się do tego ponurego miejsca.

Przy szlabanie stali dwaj umundurowani mężczyźni. Spoglądali w oczekiwaniu na nadchodzącą trójkę. Ludzie za nimi jakby oddalali się i ucichli.

- Nie lubię takich sytuacji - szepnęła Valerie do swej towarzyski. - Ci ludzie wyglądają jak policjanci i to nie jak zwyczajni policjanci!

Ruth obejrzała się za siebie zastanawiając się, czy jest jeszcze

szansa na ucieczkę. Tłum ludzi kłębił się z tyłu, odcinając im odwrót. Bóg jeden wiedział, co mogli zrobić jej ci ludzie, gdyby się do nich zbliżyła. Jeśli był to sen, to chciała obudzić się właśnie teraz. Ale wciąż tam stała, czując się coraz gorzej. Nie wiedziała, gdzie mogli być teraz Gwyn i Sara. Już od dłuższego czasu było jej niedobrze. I nagle przypomniała sobie, że jest w ciąży.

Billy Evans szedł naprzód, czuł na sobie badawcze spojrzenia. Nigdy nie lubił zwracać na siebie uwagi. Czego oni chcieli? Dwaj mężczyźni przy bramie poruszyli się, drzwi budki strażniczej otworzyły się i wyszła z niej jeszcze jedna postać w kasku.

- Przepraszam pana, mógłby pan wstąpić na minutę do biura, razem z paniami? - przemówił do niego najbliższy stojący tak cicho, że ledwo go było słychać. Był lekko poirytowany, ale pewny siebie i grzeczny.

- Nie, nie mam ochoty na wizytę w waszym biurze! - Billy spojrzał na niego zza poplamionych ciemnych szkielek. - Ani ja, ani moja żona, ani nasza przyjaciółka. Proszę nas przepuścić!

- Obawiam się, że nie możemy tego zrobić, proszę pana. - Podszedł do nich ti-zeci ze strażników. - Nie może pan opuścić obozu - wciąż mówili szeptem. - To tylko dla pańskiego dobra.

- Obóz, jaki obóz?

Strażnicy spojrzeli po sobie.

- Obóz wypoczynkowy, proszę pana. Przecież mieszka pan w nim.

- Nie mieszkamy w żadnym cholernym obozie wypoczynkowym, co to za nonsens?. - Twarz Billy'ego była blada i wilgotna od potu. Był przestraszony, ale nie miał zamiaru się poddać. Atak jest najlepszą formą obrony. - Przepuście nas, czy nie?

Wokół nadgarstka poczuł zaciskającą się pięść.

- Pójdzie pan z nami i to bez kłopotów, rozumiemy się? - Strażnik przeszedł go bezlitosnym wzrokiem.

- Puśćcie mojego męża! - krzyknęła Valerie. - Zabierz łapy, nie słyszysz? - Była bardzo przestraszona. Ci mężczyźni byli policjantami. I używali przemocy. Nogi jej osłabły, poczuła się bezsilna wobec nich i tłumu. Drugi policjant złapał ją za ramię i pociągnął za sobą. Obejrzała się i spostrzegła, że trzeci trzymał nie stawiającą żadnego oporu Ruth.

- Czy to znaczy, że jesteśmy aresztowani? - W odpowiedzi usłyszała jedynie śmiech. Co za dranie!

- Proszę nie robić zamieszania - zasyczał jej do ucha policjant.
- Nie chcemy was skrzywdzić, ale zrobimy to, gdy będziemy zmuszeni.

- Hej, co się dzieje? - Z tłumy wyłonił się jakiś młodzieniec z wyrazem złości i zdziwienia na twarzy. - Co robisz, Ruth!

Ruth chciała się odwrócić, ale trzymający ją mężczyzna powstrzymał ją. - Niech pani nie zwraca na niego uwagi.

Ten głos kogoś jej przypominał. To musiał być pasażer samochodu, który minął ich kilka minut, a może godzin,... temu. Najwyraźniej znał ją. Może, gdyby z nim porozmawiała...

- Odejdź, chłopcze, to nie twoja sprawa!

- A właśnie, że moja. Chciałbym porozmawiać z tą kobietą.

- Słuchaj... - Policjant trzymający Ruth był bardzo zdenerwowany. - Ci ludzie to wariaci. Postradali zmysły. Są chorzy, rozumiesz? Trzeba zaprowadzić ich do lekarza i tam właśnie idziemy. A teraz zjeżdżaj stąd!

Norman Tong zatrzymał się z poczuciem bezsilności. Nie mógł dostrzec Jeffa w tłumie za sobą. Gdy odwrócił się znowu, Ruth z towarzyszkami prowadzona była do jednego z tych szarych budynków.

Drzwi za nimi się zamknęły.

Tłum rozchodził się. Rozrywka zakończona, trójką szaleńców już się zaopiekowano, już po wszystkim. Trzeba wracać na plażę.

Norman usłyszał zbliżającego się maxi. Jeff zamierzał zaprowadzić samochód do warsztatu, aby naprawić opony. Obaj potrzebowali pomocy! Ale na nikim nie można było polegać, tylko na sobie.

Gwyn Mace nie czuł się dobrze tego dnia. Najchętniej przespałby go, ale budził się co chwila z niejasnym przeczuciem jakiegoś zmartwienia. Leżąc w półmroku sypialni, próbował sobie przypomnieć, co za problem go dręczył. Zawsze zajmowało mu to kilka minut. Trzeba zmusić Petera, by zapłacił Paulowi i przejąć pieniądze z podatków. Potem, gdy gotówka zostanie ulokowana w hiszpańskich papierach wartościowych, poczuje się bezpieczniej. Rzeczywiście, rozważniej będzie wyjechać do Hiszpanii, zanim Urząd Skarbowy zorientuje się w jego grze. To poważna decyzja, co Ruth i Sara powiedzą na to? Ale gdzie one się podziały? Przypomniał sobie, że Ruth rozzłościła się i wyszła. Jeśli nie wróci, to jeden problem będzie z głowy. Sara zaś była ze swoim chłopakiem. Jak

mu było na imię? To nieważne.

Rozejrzył się po pokoju. Meble były bardzo zniszczone. Co to, do diabła, za miejsce i co on tu robi? Wiązał pobyt tutaj ze swym złym samopoczuciem. Bolała go głowa i pragnął jedynie spać. Gdyby wróciła jasność umysłu, wtedy sen nie byłby problemem.

Ktoś zapukał do drzwi. Serce zabiło mu mocniej. To zapewne wróciła Ruth, zapomniała zabrać klucza, miała przecież słabą pamięć. Albo ten młodzieniec, który już wcześniej zawracał mu głowę; a może to było wczoraj? Gwyn nie lubił takich oględzin. Krewni przyjeżdżają tylko wtedy, gdy czegoś potrzebują, najczęściej pieniędzy. Pukanie powtórzyło się, tym razem mocniej, ktoś najwyraźniej nie miał zamiaru odejść bez odpowiedzi. A niech to, trzeba otworzyć. Zsunął stopy na podłogę i odczekał chwilę, aż miną zawroty głowy.

- W porządku, już idę! - Niecierpliwi dranie! Wciągnął spodnie i owinął się szlafrokiem. Poczłapał do przedpokoju i spojrzał na oszklone drzwi frontowe. Widział wyraźnie dwie postacie. Otworzył drzwi i zobaczył, że byli to dwaj mężczyźni ubrani w popielate mundury. Za nimi stała zaparkowana furgonetka. Gwyn przeczytał wymalowany na niej czerwoną farbą napis: "Obóz Wypoczynkowy "Raj"". Przypomniał sobie, że Ruth mówiła coś właśnie o tym ośrodku.

- Czy pan Mace? - Pytanie było tylko formalnością. Najwyższy z nich zrobił krok naprzód. - Możemy wejść?

- O co chodzi? - Gwyn spojrzał na niego nieufnie. Nie lubił umundurowanych ludzi. Tacy zazwyczaj wykorzystywali swą władzę do własnych egoistycznych celów.

- Chodzi o pańską żonę. - Weszli do środka. - Zdaje się, że ma kłopoty.

- Nic poważnego, mam nadzieję - zdziwił się Gwyn. - Jakiś wypadek?

- Nie, nic z tych rzeczy. - Mężczyźni spojrzeli na siebie. - Raczej... załamanie nerwowe. Ale jest w dobrych rękach. Chodzi tylko o to, że prosiła, by pan przyszedł do niej.

- Niech panowie poczekają minutkę, tylko się ubiorę. - Usłyszał, że tamci idą za nim do sypialni. Jak on nie cierpiał takich facetów! Będą stali w drzwiach i przyglądali się, jak zapina sobie koszulę. Dziwił się, co też takiego mogło się przydarzyć Ruth. Wcześniej z pewnością nie była w dobrym nastroju. Przypomniał sobie o czymś

jeszcze. Powiedziała, że jest w ciąży! Że też o tym zapomniał.

Wyszli z domku i wsiedli do furgonetki. Gwyn spostrzegł z niepokojem, że okna samochodu są okratowane. Prawdopodobnie służył także do bardziej niebezpiecznych zadań, jak przewóz pieniędzy do banku. Podróż trwała nie więcej niż pięć minut. Zatrzymali się przed niskim białym budynkiem. Mężczyźni pomogli mu wysiąść. Idąc do drzwi trzymali go z obu stron pod pachy, co jak sądził, świadczyło o sympatii dla męża chorej kobiety.

Zamknęły się za nimi ciężkie stalowe drzwi. Przeszli krótki korytarz i stanęli przed następnymi. Coś zgrzytnęło i drzwi otworzyły się. Gwyn poczuł, że tamci wepchnęli go do wnętrza pokoju.

- Ruth! - zawołał od progu. Musiał się jej uważnie przyjrzeć, by być zupełnie pewnym, że to ona. Miała na sobie wełniany kaptur, płaszcz przeciwdeszczowy i sweter. Na nogach zobaczył wielkie buty, w których wyglądała jak postać z kreskówek Disneya. Najpierw zaśmiał się sarkastycznie. Gdy obejrzał resztę pokoju, sytuacja nie wydała mu się już taka zabawna. Raczej przerażająca.

Poplamione betonowe ściany, jedno małe okno wysoko w rogu, zakratowane, jak w furgonetce. Pojedyncza świetlówka jaśniała tak, że trzeba było miiiżyć oczy. Na środku stał stół, a na nim jakieś puste kubki, zaś pod ścianą ławka taka, jakie stoją w parku. Na niej siedziała Ruth pomiędzy parą ludzi, których nigdy wcześniej nie widział. Mężczyzna i kobieta musieli się czuć jak w saunie w tych zimowych ubraniach, czapkach, szalikach, płaszczech.

Ruth podniosła głowę i patrzyła na niego, widać nie od razu go rozpoznała. Jej wargi poruszyły się lekko w wymuszonym uśmiechu. Zapytała bezbarwnym głosem. - Czy na zewnątrz wciąż pada śnieg, Gwyn?

- Śnieg! - Spojrzał na nią uważniej. Zwariowała, tylko tak można było to wyjaśnić. Czytał gdzieś, że gdy kobiety zachodzą w ciążę w późnym wieku, często im się to zdarza. - Na dworze jest okropny upał. Po co się tak ubrałaś? I co to za jedni?

Nie odpowiedziała. Może nie wiedziała. Gwyn spojrzął za siebie. Strażnicy wciąż stali w drzwiach przyglądając mu się. Na ich twarzach malowała się idealna obojętność, wyglądali jak para robotów realizujących swój program.

- Czy ktoś mógłby mi wyjaśnić, o co tu właściwie chodzi? - Skierował do nich to pytanie, na co tamci sięgnęli do swych tylnych kieszeni. Przelknął ślinę. Zobaczył gumowe policyjne pałki.

- Przykro mi, ale nic nie rozumiem. Moja żona jest najwidoczniej chora, ale dlaczego ma na sobie ciuchy Eskimosa?

- Zachowaj dla siebie te dowcipy i przestań zadawać głupie pytania! - krzyknął nagle jeden z mężczyzn i obaj cofnęli się do korytarza. - Zostańcie tu, wszyscy. Jest tu lekarz, który was zbada bez względu na to, czy chcecie tego, czy nie. Jeśli macie ochotę pokrzyczeć, to bardzo proszę. Ten pokój jest dźwiękoszczelny.

Drzwi zatrzasnęły się, zgrzytnął zamek. Gwyn zerwał się, ale było już za późno, jego wyciągnięta ręka natrafiła na gładki zimny metal.

Stał wpatrzony w brudną gładką ścianę. Zdawał s o b i e sprawę, że nie ma stąd wyjścia. Ogarnęła go rozpacz. Żadne z nich nie miało innego wyboru, tylko czekać na pojawienie się lekarza. Ktoś płakał. Nie był pewien, czy to Ruth, czy ta druga kobieta.

Nie obchodziło go to.

Rozdział dziewiętnasty

Kapitan wrócił, a może w ogóle nie wyjeżdżał. Nikt go tu nie widział, ale to jeszcze o niczym nie s'wiadczyło. Można było minąć się z nim na ulicy i nie zauważyć go. Potrafił wtopić się w każde otoczenie.

Przywitał profesora Mortona nic nie mówiącym spojrzeniem, po czym usiadł po drugiej stronie biurka w wymyślnej pozie, nadającej mu wyraz pewności siebie.

- To wymyka się spod kontroli - powiedział kapitan. - Zaczyna się gmatwać.

- Tak już jest z eksperymentami. Nigdy przed ich rozpoczęciem nie zna się wyniku. Dlatego się eksperymentuje. - Profesor sięgnął po fajkę, ale nie zapalił jej, gdyż wiedział, że kapitan nie cierpi dymu tytoniowego. - A ten przebiega bardzo pomyślnie. Te kilka problemów nie przeszkodzi w osiągnięciu sukcesu.

- Mijmy nadzieję. - Tamten spojrział raz jeszcze na ostatni raport i rzucił kartki na biurko. - Myślę, że możemy spokojnie powiedzieć, że sprawa Alana Jay została zakończona. Policja spisała się świetnie. A teraz mamy te nieszczęsne... efekty uboczne, że tak powiem. Na początek państwo Mace. Kiedy wrócą do stanu normalnego, zaczną zwracać nam głowę. Jeśli zażądata wyjaśnień, wtedy nie będziemy mogli przedstawić wyników naszych badań. To nie było zbyt szczęśliwe, że pani Mace zetknęła się z Evansami. Poza tym myślę, że niemądrym posunięciem było sprowadzenie do niej męża. To tylko niepotrzebnie napięło atmosferę.

- Nie mieliśmy wyboru. Tong wmieszał się w sprawę. Nie wiedzieliśmy, że państwo Mace wynajęli chłopakowi ich córki osobny domek. Podanie mu preparatu nie przyniesie żadnego pożytku. Zdecydowanie szuka kłopotów.

Kapitan pisał coś w swoim notesie, hasła zrozumiałe tylko dla niego samego. - Trzeba mu było przeszkodzić, ale ja się tym zajmę. Zostaw to mnie. Państwo Mace...

- Musimy zastosować antidotum. - Morton spojrział na swego rozmówcę. - Jak dotąd nie zostało ono wypróbowane na ludziach.

- Hmm, tak, ale myślę, że państwo Evans bardziej by się do tego nadawali. Tamci, ze względu na ich córkę mogą narobić nam zbyt wielu problemów. Wypróbuj antidotum na tych zmarzlakach, zobaczymy, co się stanie. Pomyślimy jeszcze, co zrobić z tymi dru-

gimi. A co z Dolmanem?

Morton spuścił wzrok, starał się mówić spokojnie. - Dolman uciekł.

- Uciekł!

Profesor potrzebował kilku sekund, by zastanowić się nad odpowiedzią. - Nie mógł ująć daleko, musi być gdzieś w obrębie obozu.

- Skąd wiesz? - Kapitan wystrzelił swe pytanie jak pocisk z pistoletu.

- Jak pan wie nasi ludzie stoją przy wjeździe. - Najlepiej było zwracać się do niego per "pan". - Nie mogliby go przegapić. Jepson jest jednym z naszych najlepszych ludzi.

- Mógł przejść przez mur.

- Oczywiście, ale myślę, że tego nie zrobił. On lubi przebywać wśród robotników, szczególnie, jeśli go słuchają. Ten facet od trawników mocno się nim zainteresował. On gdzieś tu musi być. Szukamy go. Myślę, że Artur Smith będzie kluczem do odnalezienia Dolmana.

- Życzę ci szczęścia. - Dla Mortona zabrzmiało to groźnie. - A teraz państwo Holman. Interesujące... mamy tu klasyczny przykład fanatyków religijnych. Holmana rozżłościły słowa tego komunistycznego agigatora. Który z nich jest groźniejszy dla społeczeństwa, fanatyk religijny czy komunistyczny? Dwa przeciwstawne bieguny. To niedobrze, że zgubiliśmy Dolmana, ale miejmy nadzieję, że wkrótce się odezwie.

- Jestem pewien, że tak będzie. - Morton nie był pewien, próbował tylko sam siebie uspokoić. Wiedział, że włączyli do sprawy Mulimana. To niedobrze, że przysyłają tu takich ludzi.

- Martwi mnie ten facet, Beebee. - We wzroku kapitana profesor wyczytał oskarżenie. - Jak to się dzieje, że C-551 nie działa na niego? Czyżby by uodporniony?

- Mamy z nim problemy. - Tony Morton słyszał przez ścianę jak Anna w drugim pokoju pisze na maszynie. - Są trudności z podaniem mu tabletki. Próbujemy, ale on wciąż zamawia tylko zimne dania. A dzisiaj, na przykład, w ogóle nie pojawił się w restauracji.

- Jest kłopotliwy? - Przed tym człowiekiem nic nie dało się ukryć. - Podobno zaprzyjaźnił się z jedną z naszych agentek!

- Nie sądzę, by było to dla nas niebezpieczne. Rozmawiałem o tym z panną Stackhouse. Najwidoczniej nawiązała z nim znajo-

mość, by w ten sposób wypełnić swoje zadanie.

-I co?

- Jak dotąd jej się nie powiodło.

- Więc zabierz jej sprawę Beebee i oddaj komu innemu. - Kapi-tan znowu coś notował. - Nie, może lepiej będzie nie mieszać w to innych ludzi. My się tym zajmiemy.

Morton zbladł. Sprawy Anny nie wyglądały dobrze. Ciekawe, czy on wie również o tym, co jego z nią łączyło. - Może lepiej będzie jak wstrzymamy eksperymenty aż do rozwiązania wszystkich tych problemów - zaproponował bez przekonania. - Zatrzymajmy to wszystko już teraz, zanim zupełnie wymknie się spod naszej kontroli.

- Na Boga, nie! - Rzadko zobaczyć można było na twarzy kapi-tana takie zdumienie. - Przecież dopiero co zaczęliśmy! Sam po-wiem ci, kiedy trzeba będzie to zakończyć. - Wstał z krzesła. - Teraz Evansom zaaplikuj antidotum, a państwo Mace sprowadź z powrotem do ich domku. My zajmiemy się Tongiem i Dolmanem, i wy-znamy kogoś, by przejął sprawę Beebee. Obserwuj uważnie Holmanów, to fascynujący przypadek. Od dawna wiadomo, że re-ligia, podobnie jak karabiny, to znakomity sposób, by panować nad społeczeństwem. Bóg contra ateizm. Mogę sprowadzić więcej lu-dzi, gdyby zaszła taka potrzeba. Poza tym masz rację. Tony, C-551 działa bez zastrzeżeń. Dobra robota, tak trzymać.

Po wyjściu kapitana profesor siedział jeszcze jakiś czas przy swym biurku. Zaczął się niepokoić.

Gwyn był zły na Ruth. To przez nią wsadzono go do tej wię-ziennej celi z parą szaleńców. Za nic nie siądzie z nimi na tej ławce, wołał już stać mimo tego, że czuł się okropnie. Co mogło się stać z jego żoną? Jak tamci ubrana była w zimową odzież i twierdziła, że na zewnątrz pada śnieg!

Przyjrzał się obojgu obcym. Nie rozbiali się, choć Ruth to zrobiła. Nie ściągnęła tylko z nóg tych wielkich buciorów. Miał wrażenie, że ci dwoje oparci o siebie śpią. Może trzeba ich po prostu zignorować.

- Dlaczego nie przyszałaś do domu? - zapytał żonę.

- Nie... wiem. - Ruth podniosła głowę. - Nie... nie mogłam trafić. Nie mogłam przypomnieć sobie i wtedy ci ludzie mnie zabrali. Mó-wili, że drogi zasypane są śniegiem i że moją jedyną szansą na

przeżycie jest trzymać się ich. Wzrok mi osłabł, nie widziałam, czy rzeczywiście jest śnieg, czy nie. Gdy wrócimy do domu, będę musiała iść do okulisty. Zabawne, przez cały ten czas zapomniałam zupełnie o mojej ciąży. Ale teraz, wiesz, czuję moje dziecko, zdaje mi się, że kopie.

- To na pewno złudzenie - powiedział bez przekonania.

- Nie, to nie złudzenie! - krzyknęła ze złością. - To rzeczywistość i zamierzam urodzić je bez względu na to, co powiesz.

- Myślę, że to... - Przerwał, gdyż spostrzegł, że mężczyzna na ławce otworzył oczy. - Myślę, że to nie moje dziecko.

- Myślisz, że co, Gwyn?

- Nieważne. - Oparł się o stół, czuł się bardzo osłabiony. - Wolałbym porozmawiać o tym innym razem. Mogliby tu przynajmniej powiesić zegar. Nie wiem, ile czasu już tu jesteśmy. Mam nadzieję, że ten cholerny lekarz pojawi się wkrótce.

- Nie przeklinaj, proszę cię, Gwyn.

"Biedna stara Ruth, mimo tego wszystkiego nie straciła nic ze swej ptywnej przyzwoitości" - pomyślał Mace.

- Śnieg zasypie nas wszystkich, jeśli nas stąd nie wypuszczą - mruknął Billy Evans. - Za jakiś czas będzie już zbyt głęboki, by móc przez niego przejść. Oni nie mają prawa trzymać nas tutaj. Nadchodzi lodowiec i tylko to jest ważne. Ci ludzie marnują swoją jedyną szansę, by wydostać się stąd na południe. Może specjalnie ich tu pozostawiono za złamanie prawa i teraz cały kraj opanowany jest przez rabusiów i komunistów w szarych mundurach.

Gwyn odwrócił się w stronę mówiącego. "Nie zwracaj na niego uwagi, przecież on nie wie, co mówi" - powtarzał sobie w duchu.

Nie miał sił, by wdawać się w dyskusje polityczne.

- Wydawało mi się, że słyszę czyjeś kroki - Ruth przerwała długą ciszę.

Ktoś zatrzymał się pod drzwiami. Coś trzasnęło i stalowe drzwi otworzyły się. Pierwszy wszedł strażnik, a za nim wysoki siwowłosey mężczyzna w białym fartuchu, który bez wątpienia był długo wyczekiwany lekarzem.

- Ach, pan i pani Mace - uśmiechnął się. - Przykro mi z powodu problemów państwa, ale myślę, że to nic poważnego. Teraz postaram się szybko państwa zbadać. - Wyciągnął z kieszeni dwa termometry. - Sprawdzimy tylko temperaturę.

Co za bzdura, pomyślał Gwyn siedząc na brzegu stołu i trzyma-

jąc w ustach termometr jak papierosa. Poczucie humoru ich nie opuszcza, chyba że naprawdę mają nas za wariatów. Ruth również ssała termometr i widak traktowała to bardzo poważnie. Ona wszystko traktowała poważnie.

- To wygląda całkiem dobrze. - Profesor Morton zapisał odczyty, wstrząsnął termometry i włożył je z powrotem do kieszeni. - Nie sądzę, by coś wam dolegało. Waszym problemem jest zbytnia nerwowość, potrzebujecie odpoczynku, nic więcej.

- Panie doktorze. - Ruth wstała i podeszła do niego. - Proszę mi powiedzieć, czy jestem w ciąży, czy nie?

Morton spojrział na nią. - Pani Macę, naprawdę nie potrafię teraz tego stwierdzić. Po powrocie do domu będzie pani musiała przejść odpowiedni test, jeśli rzeczywiście chce pani to sprawdzić. Ja tutaj nie mogę pani pomóc, przyszedłem tylko upewnić się, że czują się państwo na siłach przebyć podróż.

- Podróż! - krzyknął Gwyn Mace. - Dokąd nas zabieracie?

- Dostałem polecenie, by odwieźć państwa do domku, zaś potem będziecie mogli pojechać do domu. - odpowiedział uprzejmie. - To naprawdę najlepsze miejsce dla was, z dala od zgiełku obozu. Musiałem się upewnić, że jest pan w stanie prowadzić samochód. Więc - jak się pan czuje?

- Ze mną wszystko w porządku. Zrobię wszystko, by wydostać się z tego domu wariatów!

- To dobrze, wspaniale. Jeśli zechcecie państwo przejść do końca korytarza, na zewnątrz czeka samochód, który odwiezie was do waszego domku. Ale z wyjazdem z obozu będziecie musieli poczekać do rana. Wyglądacie na bardzo zmęczonych, szczególnie pańska żona. Myślę, że mądrzej będzie wyjechać po wypoczynku.

- W porządku - zgodził się Gwyn, te kilka godzin można poczekać. - Chodźmy, Ruth.

Ruth spojrzała na państwa Evans, wyglądali na bardzo zmęczonych i przygnębionych. - Do widzenia. - Wyciągnęła rękę, ale nie odpowiedzieli jej. - I dziękuję raz jeszcze za pomoc. Nie wiem, co bym bez was zrobiła.

Gwyn pchnął ją przed siebie. Szkoda, że jeszcze nie przeprosiła ich za sprawianie kłopotu!

Usłyszeli za sobą trzaśnięcie drzwi.

Morton zbliżył się do siedzącej na ławce pary. - Przepraszam,

że kazałem państwu czekać, wszystko to musi być dla was bardzo męczące.

- Może pan to powtórzyć! - wrzasnął ze złością Billy. - Nie ma pan prawa więzić nas tutaj. Pozwólcie nam wyjść, albo sprowadźcie tu mojego adwokata.

- Nie mamy zamiaru trzymać was długo. - Morton niepostrzeżenie wyciągnął coś z kieszeni i schował w dłoni. - Wiecie, że nie jest z wami najlepiej. To zapewne przez ten brytyjski klimat.

- Nie zmierzył pan mojej temperatury! - Evans wstał. - Nie jestem dzieckiem, może pan zaczynać!

- Billy! - Valerie przechyliła głowę i dostrzegła, co "lekarz" trzymał w dłoni. - To nie termometr, to strzykawka. On chce zrobić nam zastrzyk!

- Mogę was zapewnić, że to zupełnie bezpieczne, nic nie będziecie czuli. - Morton zaśmiał się. - To tylko trochę uspokoi wasze nerwy i wtedy będziecie mogli wrócić do waszego domku, a rano wszystko będzie w porządku. Przrzekam.

- Do domku! Do jakiego domku! Wyszliśmy z naszego własnego domu, a pan próbuje powstrzymać nas przed opuszczeniem tego miejsca. Miałem rację, zajęliście cały kraj. Jesteś cholernym komunistą jak pozostali!

Morton zwrócił się do dwóch strażników stojących za jego plecami. - Panowie, potrzebuję waszej pomocy.

- Nie wściecie się nas tknąć - Billy zasłonił swoją żonę. - Spróbujcie tylko! Ta napaść będzie was drogo kosztować!

Umundurowani mężczyźni zadziałali szybko i sprawnie. Po kilku sekundach protestująca para była obezwładniona. Strażnicy trzymali ich mocno.

- Dobrze. - Morton uśmiechnął się z satysfakcją, podciągając rękaw Evansa. - Poczujesz tylko maleńkie szczyknięcie, przrzekam ci, o tutaj.

- Ty... - Billy przymknął oczy i poruszył bezgłośnie ustami.

- To tylko środek uspokajający. - Profesor podszedł do opierającej się kobiety. - Teraz pani...

Valerie zaczęła histerycznie krzyczeć, po czym urwała raptownie. Opadła w ramiona trzymającego ją strażnika.

- Proszę położyć ich na stole - rozkazał szorstko Morton.

Nie był już tak pewny siebie. Była to szorstkość człowieka, który zwątpił w rezultaty własnej pracy. C-551 okazał się sukcesem, ale

nie wiadomo jak organizm ludzki przyjmie antidotum. Schował strzykawkę do pudełka, a wyciągnął inną. Sprawdził jej zawartość. Pochylił się nad nieruchomym ciałem i poszukał żyły. Starał się zachować spokój.

- Cudownie! - Cofnął się i skierował w stronę strażników. - Myślałem, że będą większe kłopoty. Po zmroku zanieście ich do domu i połóżcie do łóżek. Rozbierzcie ich i przykryjcie jak małe zmęczone dzieci, które zasnęły w drodze do domu. Jasne?

- Tak, proszę pana. - Wyższy z nich kiwnął głową. - Postaramy się. Nikt nas nie będzie widział.

- Wspaniale. Gdy zbudzą się rano, nie będą o niczym pamiętać. Dokończą swoje zwyczajne robotnicze wakacje - zachichotał. - I oczywiście przestanie padać śnieg!

Rozdział dwudziesty

- Już myślałem, że zostawiłeś mnie tam samego, Jeff - stwierdził Norman i odetchnął z ulgą. Siedzieli obaj na tarasie za barem, spoglądając na sztuczne jezioro. Norman starał się nie przyglądać wyspie i nie rozmyślać nad tym, co się tam wydarzyło. Ale tam właśnie dokonano morderstwa i coś wewnątrz niego mówiło wciąż, że jego ofiarą była Sara.

- Przecież nie zrobiłbym tego. - Jeff jadł po kawałku rybę plastikowym widelcem. - Wiedziałem, że zrobisz swoje bez względu na mnie. Jeżeli ci faceci mieliby zamiar zabrać cię, to głupio by się stało, gdybyśmy obaj stracili wolność, prawda ?

- Tak, masz rację. - Nonnan zgniótł pustą torebkę po frytkach i wrzucił do kosza. Zeskoczyli z tarasu na trawnik. - Ale wciąż nie rozumiem, dlaczego zabrali Ruth Mace, a poza tym - widziałeś jak oni byli ubrani.

- Myślę, że mieli halucynacje, wydawało się im, że jest zimno - Jeff mówił w zamyśleniu. A to tylko potwierdzałoby moje przypuszczenia. Tu ktoś prowadzi eksperymenty na ludziach i widocznie bardzo nie chce, by ktokolwiek się w tym zorientował. Anna, moja dziewczyna, wie o tym wszystko. Jest przerażona, ale nie ma odwagi, by o tym powiedzieć. Nawet mnie. A nie chciałbym jej narażać. W każdym razie, ja mam wolną rękę i mogę coś zrobić. Ale boję się o nią. Pewnego dnia mogłaby na przykład zniknąć. Myślałem już o tym, czy nie lepiej by było ją stąd zabrać...

- Masz na myśli porwanie ?

- Nie tak dramatycznie - Jeff uśmiechnął się. - Ona sama chciała stąd uciec. Zeszłej nocy namawiała mnie do tego. Może rzeczywiście, gdybyśmy dostali się do miasta, nie wrócilibyśmy tu już. Ale tak się nie stało, ponieważ ktoś przebił nam opony. Teraz trzeba obmyślić nowy plan.

- Na mnie możesz liczyć.

- Dzięki, stary, nie masz pojęcia jak bardzo brakowało mi kogoś takiego. Musimy zatem po pierwsze - znaleźć twoją dziewczynę, a po drugie - odkryć, co się tak właściwie dzieje w tym obozie. I nie zapomnij, że nie wolno nam jadać w restauracji. Moja intuicja mówi mi, że oni dosypują coś do posiłków.

- Ale reszta ludzi wygląda całkiem normalnie.

- Zapewne spośród wszystkich wczasowiczów wybierają tylko

kilka ofiar. Dlaczego chcą mnie, nie mam pojęcia. Ale na pewno dotyczy to twoich przyjaciół, państwa Mace. Również tego faceta i kobiety, którzy zostali zabici. Sara może być gdzieś tu żywa i... całkiem bezpieczna.

- Miejmy nadzieję. Więc co teraz robimy ?

- Bez pośpiechu. - Jeff rwał w palcach kawałek papieru. - Jeśli dopisze nam szczęście, Anna pojawi się u mnie dziś wieczorem. Późno, około jedenastej. Może przyjdiesz także. Myślę, że o północy rozejdziemy się. Jeśli ta sprawa jest naprawdę poważna / a sądzę, że tak / to lepiej, żeby nie widywano nas razem.

Norman spojrział na niego. To było rozsądne. - Więc resztę dnia spędzimy oddzielnie ?

- Tak będzie bezpieczniej. Ja pójdę popływać, albo poleżeć na plaży. Ty też znajdź sobie zajęcie. Norm.

Patrzył za odchodzącym Jeffem. Znowu został sam. Gdy byli razem wszystko nie wyglądało tak strasznie.

Był bardzo niespokojny, nie mógłby teraz zwyczajnie leżeć na plaży. Chciał coś zrobić, coś, co zajęłoby jego myśli. Idąc zobaczył z daleka linę wiszącą nad ziemią, a na niej rząd przemieszczających się w stronę plaży wagoników. To było coś w rodzaju wyciągu krzeselkowego. Siedzący w wagonikach ludzie spoglądali w dół i cieszyli się przejazdem ponad ziemią. To było lepsze niż siedzenie na leżakach, czy wałęsanie się bez celu. W ten sposób można było przelecieć nad całym obozem i powrócić na miniaturowy peron kolejki.

Norman poszedł szybko w tamtą stronę. Przy wagonikach ustawiła się kolejka ludzi. Nie przeszkadzało mu to, miał przed sobą cały dzień. Dwa rzędy wagoników poruszały się w przeciwnych kierunkach. Jeżeli miało się ochotę można było cały dzień spędzić na krążeniu nad ziemią. Norman oparł się o barierkę. Wagoniki przejeżdżały, pasażerowie zeskakiwali na ziemię. Był tam również pracownik obozu - niski, w dżinsach i brązowej marynarce. Pojawiał się tu jedynie dla przyzwoitości, teraz właśnie ze zdziwieniem przyglądał się dwóm chłopcom palącym papierosy. Uśmiechnął się i wsadził ich do wagonika. W obozie pracowało wielu sezonowych pracowników. To był sposób na zminimalizowanie kosztów, trudno się dziwić właścicielom.

- Proszę wsiadać! - Mężczyzna miał miękki głos. - Dwoje do jednego wagonika, dzieci tylko w towarowym zystwie dorosłych. Proszę

się pospieszyć!

Norman zajął miejsce, zostawiając drugie dla kogoś innego. Pomimo takiej liczby chętnych, ludzie byli bardzo wybredni, jeśli chodzi o miejsca podróży. Jakiś mały chłopiec chciał wskoczyć do Normana, ale matka zaraz go odciągnęła.

- Nie, ty nie Alanie. - Miała piskliwy głos. - Nie chcę stracić cię z oczu. Pojedziesz ze mną, a tu siądzie tata.

- Ale ja chcę jechać tutaj! - Chłopak mazał się i próbował się wyrwać z uścisku matki.

- Powiedziałam już, że pojedziemy innym. Ja cię znam, włączysz wszędzie, jeszcze wychyliš się i wypadniesz. Chodź tu i przestań się szarpać, słyszysz? Jim, wsiaź tutaj, a ja zostanę z Alanem.

Jej mąż w milczeniu zajął miejsce obok Normana. Siedział, patrząc przed siebie.

- Teraz pójdziesz ze mną, mały urwisie! - Kobieta odciągnęła syna. - Tam są dwa wolne miejsca.

Facet w brązowej marynarce sprawdził zapięcia łańcuchów i dokładnie obejrzał złącza wszystkich lin. Przy wagoniku Normana zatrzymał się i dokręcił kluczem jakąś śrubę, po czym odszedł do następnego. Pasażerowie byli podekscytowani czekającą ich podróżą. Ludzie na platformie przybliżyli się do barierki w oczekiwaniu na następny rząd wagoników, który mógł się pojawić za kilka minut. Usatysfakcjonowany nadzorca pociągnął za dźwignię. Wagoniki poruszyły się i odjechały poza peron. Zachwiały się lekko i powoli zaczęły unosić się ku górze.

Norman trzymał się kureczowo oparcia, gdy wagonik pod kątem 45 stopni wspinał się na górę. Widział przed sobą liny zawieszane pięćdziesiąt stóp nad ziemią. Zrobiło mu się trochę niedobrze.

Gdy wznoszenie zakończyło się, a wagoniki znalazły się na właściwej wysokości - skierowały się w stronę plaży. Wiatr lekko nimi kołysał. Norman wstrzymując oddech spojrział w dół. Niesamowite, obóz przesunął się pod nimi jak miasteczko z klocków. Równoległe ulice, kolorowy budynek salonu gier, ludzie poruszający się jak ruchliwa kolonia mrówek. Wszystko stawało się coraz mniejsze, a wagonik podążał ku wybrzeżu.

Wszędzie pełno było zieleni. Jedynie w miejscach, gdzie słońce wypaliło trawę, widniały brązowe plamy. Trasy jezdzieckie stratomane były przez konie, kilka owiec pasło się na łące.

Wagonik drgnął, zatrzymał się i ruszył znowu. Norman znieru-

chomiał i rozejrzał się. To złącza lin, wagoniki podskakiwały na nich, jak na wybojach. Gdzieś za nim matka usiłowała uspokoić płaczące dziecko. Dwaj młodzi chłopcy spoglądali z zaciekawieniem na zbliżający się z naprzeciwka inny rząd wagoników, który miał ich minąć za kilka minut. Rozległy się śmiechy i okrzyki wymieniane między pasażerami, gdy obie kolejki znalazły się na tych samych poziomach.

Wagonik przejechał jeszcze kilka złączy, na których chwiał się i zatrzymywał, pomiędzy nimi poruszał się dość szybko. Norman spojrzął w dół, pod nimi widać już było miniaturową platformę na plaży. Przez wydmy przejeżdżał mały kolorowy pociąg. Dalej ciągnęła się linia skalistego brzegu, urwiste zbocza i piaszczyste łachy. Ludzie kąpali się i grali w piłkę, samotny rybak na wysuniętej w morze skale, łowił ryby.

Spojrzał na swego towarzysza. Wydawało mu się, że tamten przez całą drogę zupełnie się nie poruszał. Podmiejski tatuś zmuszony do wyjazdu na urlop. Prawdopodobnie cieszył się, że choć przez ten krótki czas nie musi przebywać z rozpuszczonym synem i zrzędliwą żoną. Wyglądał na zupełnie nie zainteresowanego tym, co się z nim dzieje i gdzie się znajduje. Norman nie zajmował się nim więcej. Nie miał też ochoty na pogawędkę z obcymi. Stąd mógł już zobaczyć kolejkę ludzi czekających na platformie. Zastanawiał się, czy wrócić pieszo przez wydmy, czy też powąłęsać się jeszcze po plaży. Jeff mógł gdzieś tam być. Wagoniki zaczęły już zjeżdżać w dół. Nonnan złapał się oparcia, gdyż właśnie zbliżali się do następnego złącza. Wagonik przechylił się. Norman zamknął oczy jak mały chłopiec przejeżdżający przez tunel duchów w wesołym miasteczku. Wtedy usłyszał zgrzytnięcie metalu, nastąpił przechył i nagle poczuł, że spada. Otworzył oczy, usłyszał krzyk swego współpasażera, złapał go za rękaw. Wagonik przechylił się bardzo mocno. Kołysanie doprowadziło ich do szaleństwa, trzymali się w górze za linę.

- Lina jest zerwana! - Mężczyzna leżał teraz na nim, obaj zsunęli się na jeden brzeg wagonika. Norman starał się odepchnąć go od siebie i spojrzeć w górę. Wisielec tylko na jednej linie, główny kabel zwinął się jak pęknięta struna. A za nimi następny wagonik zjeżdżał w dół!

Norman przygotował się na uderzenie. Ludzie krzyk pod sobą widział przepaść i kamienistą plażę. Ogarnęła go panika,

strach sparaliżował go zupełnie. Wiedział, że nic nie może zrobić, czeka go śmierd.

Gdy zbliżył się jadący za nimi wagonik, obaj rzucili się na podłogę. Słysząc było metaliczny pisk, wokół rozsypał się deszcz iskier. Metal uderzył o metal. Norman czuł, że jego towarzysz trzyma się go kurczowo, próbował odepchnąć go, ale bezskutecznie. Obaj wypadli z wagonika, lecieli w dół jak spadochroniarze, którzy dopiero co wyskoczyli z samolotu. Początkowo zdawali się szybować w powietrzu. Wokół nich przelatywały szczątki wagonika. Spadali na sterczące w dole skały. Norman kręcił się wokół własnej osi. Świat wirował mu przed oczami. Lodowaty wiatr zagłuszył krzyk. Zamknął oczy. Poczł wstrząs, który sparaliżował go. Zamknęła się nad nim ciemność.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Ruth Mace tego ranka również nie czuła się dobrze. Obudziła ją mdłości, pobiegła więc do łazienki, by jak najszybciej się ich pozbyć. Czuła się koszmarnie, klęcząc na zimnej podłodze i pochylając się nad muszlą klozetową. Zastanawiała się, w którym jest miesiącu. Jak tylko wróca, zgłosi się do doktora Davisa.

Miała nadzieję, że nie obudziła Gwyna. Nie dlatego, że jej mąż potrzebował snu, lecz z obawy, że zacznie z niej kpić. Postanowiła, że nie zgodzi się na aborcję.

Siedziała na podłodze w łazience. Za kilka minut wszystko będzie w porządku. Ach tak, dzisiaj wyjeżdżają do domu, co za ulga. Te wakacje przekształciły się w koszmar. Wciąż nie rozumiała tego, co się wczoraj stało. Wtedy to wszystko wydawało jej się takie rzeczywiste. Postąpiła głupio wierząc Evansom, że jest zimno i pada śnieg. To było jak zły sen. Jakże chciała mieć już to poza sobą. Żeby tylko dotrzeć do domu. A Sara... Ruth potarła czoło, próbując przypomnieć sobie co się działo z Sarą i Normanem. Chcieli razem wyjechać na wakacje, zrobiła się awantura, ale w końcu zgodzili się, żeby młodzi przyjechali z nimi razem do obozu. Ruth zgubiła się już we wszystkim. W końcu chyba doszło do tego, że Sara z chłopcem nie przyjechali tutaj. Zapyta jeszcze Gwyna, może on wie, gdzie jest ich córka.

Poczuła się lepiej i wyszła z łazienki. Zajrzała do sypialni. Gwyn spał rozłożony na środku łóżka tak, że nie mogłaby położyć się, nie przeszkadzając mu. Poza tym nie była już senna, właściwie nie czuła się tak silna już od dawna.

Postanowiła, że zacznie pakować rzeczy i zabrała się do tego z zapałem. Tak cieszyła się, że dziś stąd wyjeżdża. Ośrodki wczasowe były dobre dla rodzin z małymi dziećmi, nie dla takich ludzi jak oni. To był szalony pomysł, by przyjeżdżać tutaj. Im szybciej opuszczą to miejsce, tym lepiej.

Chodziła na palcach i otwierała szuflady najciszej jak potrafiła. Z trudnością odnajdywała rzeczy. Zastanawianie się, gdzie leżą sprawiało jej kłopot. Świtało. Nastawiła czajnik, by zrobić mężowi herbatę. Zastanawiała się, czy to nie ona powinna prowadzić samochód. Nie czuła się bezpiecznie, gdy Gwyn siedział za kierownicą. On nie znosił widoku jakiegokolwiek samochodu przed sobą. Wtedy momentalnie przyspieszał, by go wyprzedzić. Czajnik właśnie

zaczął gwizdać, gdy usłyszała otwierające się drzwi kuchni.

- Wcześniej wstałaś - Gwyn stał w drzwiach w spodniach od pizamy.

- Już kończę pakowanie. - Napełniła filizankę herbatą. - Dzięki temu będziemy mogli wyjechać wcześniej.

- Lepiej się czujesz? - zapytał z nutą złośliwości i spojrzał z ukosa na jej brzuch.

- Dziękuję - mam się dobrze, Gwyn.

- Oprócz tego, że jesteś w ciąży, o to ci chodzi?

Zarumieniła się. - To wszystko przez ciebie.

- Doprawdy? Jak mogę być tego pewien?

Insynuacja była dość oczywista. Ruth zagryzła dolną wargę.

- Gwyn, jak możesz! Skąd ci to przyszło do głowy!

- Wiele żon robi to, gdy mężowie są w pracy. Nie wzrusza mnie, że zadawałaś się z innym facetem, ale nie mam zamiaru wydawać pieniędzy na cudzego dzieciaka.

Wybiegłaby do łazienki, gdyby nie stał w przejściu. Była w potrzasku, upokorzona, znieważona i bliska płaczu. Jej matka zawsze powtarzała, że w takich sytuacjach najlepiej nastawić drugi policzek.

- W czajniku jest herbata. Nalej sobie, jeśli chcesz.

- Wspaniale. - Zawrócił do pokoju. - Piękny poranek, prawda, na zewnątrz z pewnością pada śnieg!

Zignorowała tę uszczypliwość i krzyknęła za nim. - Martwię się o Sarę. Jak myślisz, gdzie ona może być?

- Jaka matka, taka córka. - Nalewał sobie herbatę trzęsącą się ręką, rozlał trochę na spodeczek. - Spodziewam się, że włoczy się gdzieś z tym chłopakiem, zapomniałem jak on ma na imię. Albo też uwili sobie jakieś obskurne miłosne gniazdko. Teraz pewnie obudzili się i zaczynają się kochać jak pieski.

- Nienawidzę cię, Gwyn. - Usiadła na krześle przy stole. - Sara jest nie tylko moją córką, ale też i twoją. Mnie możesz znieważać, jeśli chcesz, ale ją zostaw w spokoju.

- Lepiej pójdę po samochód. - Dopijał swoją herbatę, jakby zapomniał, o czym wcześniej rozmawiali. - Im wcześniej wyjedziemy, tym lepiej.

- Może ja poprowadzę?

- Nie, kiedy jestem na skraju wyczerpania nerwowego, co chyba zauważyłaś!

- Dzięki, Gwyn. - Miała ochotę wylać mu na twarz herbatę. - Idź po ten samochód.

Słyszała jak się ubierał. W rzeczywistości nie czuł się jeszcze na tyle dobrze, by prowadzić.

Gwyn długo nie pokazywał się z powrotem. Ruth wystawiła już bagaże do przedpokoju i usiadła na walizce. Nie czuła się dobrze. Pamięć wciąż zawodziła, nie była w stanie rozwiązać żadnego problemu. Teraz wydawało jej się, że słyszy przed domkiem odgłos silnika samochodu.

Gdy załadowali bagaże, oprócz nich nikogo nie było na ulicy. Mogła być najwyżej siódma, pomyślała Ruth, zdała też sobie sprawę z tego, że nie ma zegarka. Prawdopodobnie zgubiła go wczoraj. Jednak nie miała zamiaru go szukać i powracać do tamtego koszmara.

Oboje milczeli. Gwyn zajęty był własnymi myślami, których wolała raczej nie znać. Wsiadła do wozu. Ruszyli z piskiem opon. Pojawiła się przed nimi główna brama, samochód zahamował. Po lewej stał ten okropny budynek, dokąd strażnicy zabrali państwa Evans... Ale teraz już po wszystkim. Dziwne, że tak długo tu zostali.

Gdy ujrzała zbliżającego się człowieka w szarym mundurze, wcisnęła się głęboko w fotel, a nawet chciała skulić się na podłodze, Gwyn opuścił szybę w oknie, ale strażnik sprawdził tylko numer ich wozu. Potem odwrócił się, zwolnił dźwignię i czerwono- białą szlaban podniósł się powoli. Machnął jeszcze ręką - droga wolna! Ruth jeszcze nie wierzyła, jeszcze wydawało jej się, że strażnik za chwilę zmieni zdanie i ich zatrzyma. Nawet nie zapytał ich o dokumenty. Poczula ulgę, gdy ich volvo ruszyło naprzód. Przejechali przez bramę, opuszczając to straszne miejsce. Wolni!

Ruth spojrzała w lusterko, ale strażnik wrócił już do budynku. Na drodze byli sami. Samochód nabrał prędkości, jej mąż również chciał być już jak najdalej stąd.

Jechali to pod górę, to w dół po górskich serpentynach. Tuż przy drodze wyrastały skalne urwiste ściany. Ostre zakręty w takim terenie były bardzo niebezpieczne. Gwyn musiał zwolnić raptownie, by przepuścić nadjeżdżającą furgonetkę. Gdy ją mijali kierowca błysnął światłami i zamachał do nich pięścią.

- Gwyn, myślę, że powinieneś trochę zwolnić. - Przez lata potarzała mu to już tyle razy.

Odpowiedź była zawsze ta sama: - Wiem, co robię. ,

Zamknęła oczy. Zazdrościła ludziom, którzy mogli spać w czasie podróży.

Machynlleth. Nie mogła uwierzyć, że tak szybko znaleźli się tutaj, wydawało jej się, że jadą dopiero pół godziny. Spojrzała na wieżę z zegarem przy głównym placu, była 8.20. Wjechali znów na prostą drogę. Zerknęła na prędkościomierz. Gwyn wciąż przyspieszał, a teraz wyminął dwóch pędzących motocyklistów.

Ruth poczuła, że robi się jej niedobrze. - Może moglibyśmy zatrzymać się gdzieś na kawę? - "Niech się po prostu zatrzyma i pozwoli mi postać przez chwilę na twardym gruncie. Bo inaczej zabrudzę mu cały samochód" - powtarzała sobie w duchu.

- Nie będziemy się zatrzymywali. - Znów przeciął białą linię. - Jedziemy prosto do domu na obiad.

Straszna myśl nie dawała Gwynowi spokoju. Ci faceci w popielatych mundurach, to była jakiegoś rodzaju policja. Specjalna... Policja Skarbowa, Tajna Służba Bezpieczeństwa, nieważne jak się nazywają. Powinien był zdać sobie z tego sprawę wczoraj, gdy wsadzali go do celi. Mogli go śledzić. Spojrzał nerwowo w lusterko. Jakież trzysta metrów za nimi jechał czerwony wóz, wyglądał jak datsun. Chyba starał się ich dogonić, zawrócić. Wcisnął pedał gazu.

- Gwyn!

- Bądź cicho!

- Robi mi się niedobrze.

Datsun zbliżał się do nich. Gwyn pomyślał, że mogą czekać już na nich na miejscu. Dom jest pewnie przetrząsnięty, znaleźli to, czego szukali, cokolwiek to było. Nie mogli nakryć go z księgą podatkową, a wszystkie pieniądze były już w banku hiszpańskim.

Ruth przycisnęła dłoń do ust, najwyraźniej nie zwracał na nią uwagi. "Pędź sobie, jeśli chcesz, ale później będziesz musiał czyścić cały samochód".

Samochód ledwo zmieścił się w zakręt. Gwyn ujrzał przed sobą ciągnik z przyczepą wypełnioną stertą siana. Jechał wolno, kierowca zapewne nie zdawał sobie sprawy, co się dzieje na drodze za nim.

- Idiota!

- Gwyn! - Ruth odjęła rękę od ust i znów ją przycisnęła. Wcisnęła się w siedzenie i zamknęła oczy. - Nie, nie możesz tu wyprzedzać, nie widzisz? Przed nami jest zakręt!

Volvo osiągnęło swą maksymalną prędkość. Gwyn czuł, jak ko-

ła podskakują na twardej krawędzi drogi, kamienna ściana niemal rysowała karoserię samochodu. Myślał tylko o tym, by wyminąć tego zawalidroge, który jeszcze nic nie zauważył.

- Gwyn! - Ruth krzyknęła i zwymiotowała na przednią szybę samochodu. Przechyliła się na męża i wtedy zobaczyła nadjeżdżającą z naprzeciwka ciężarówkę. Złożyła ręce, jakby miała zamiar się modlić. Opony zapiszczały, poczuła swąd gumy.

Gwyn pochylił głowę, instynktownie reagując na wymioty żony - czuł, jak palą mu oczy. Metal zgrzytnął o skałę, samochód przezołkował i uderzył w przód ciężarówki.

Jakimś cudem Ruth wciąż żyła. Uzmysłowała sobie, że znajdują się w roztrzaskanym samochodzie, kawał metalu gniótl jej ciało. Był półmrok, dławił ją smród palonej gumy i wymiocin. Wokół panowała niezwykła cisza. Nie mogła oprzytomnieć i zorientować się w sytuacji.

Chodziło o jakiś śnieg. Gdzie byli teraz państwo Evans? Musieli być gdzieś w pobliżu. Poczowała pragnienie, by ich zobaczyć, powiedzieć im, że jest w ciąży. To miejsce w ogóle jej się nie podobało, coś gniotło jej brzuch i nie mogła znieść tego fetoru. Gdyby tylko miała tyle sił, by krzyknąć do nich. Musieli zatrzymać się gdzieś na noc, znaleźli jakieś schronienie przed śniegiem. Tu, gdzie się znajdowała, było ciepło, ale za to nie można było się poruszyć. Bolały ją nogi, czuła, że są wilgotne i lepkie.

Z niezwykłym wysiłkiem przekreśliła głowę. Dzięki Bogu, był tu ktoś jeszcze, leżał obok niej, odgradzała ich tylko jakaś metalowa ściana. Jeśli podniesie głowę, będzie mogła przez nią zajrzeć. Pan Evans na pewno by jej teraz pomógł, szczególnie, gdyby się dowiedział, że spodziewa się dziecka. Powoli podnosiła się, by spojrzeć na drugą stronę przegrody. Bolał ją kark, ale starała się na to nie zważać. Było tak ciemno, to chyba środek nocy.

Wykręcone ramię, ten ktoś chyba śpi. I ta koszulka, tak, rozpoznałaby ją wszędzie, nawet w takiej ciemności. To był Gwyn! Więc jednak poszedł za nimi, nie opuścił jej. Więc są razem, zatem wszystko będzie dobrze. Nigdy już się nie rozstaną, znajdą Sarę i życie będzie wspaniałe.

Rozglądała się w ciemności, szukając twarzy męża. Chciała upewnić się, czy to naprawdę on. Pewnie bardzo niewygodnie śpi mu się w ten sposób. Rano na pewno obudzi się z obolałym karkiem, który

i tak był poszarpany i umazany szkarłatną ciecżą. To chyba krew. Znów zaciął się przy goleniu, zawsze to robił. Żył w ciągłym pośpiechu. Pędził do pracy, jakby miał bez niej umrzeć. Gdyby tylko mogła się do niego dostać, obudziłaby go, upewniła się, że to on. Próbowала go zawołać, ale wydobyła z siebie jedynie szept, którego nie mógł usłyszeć.

Z wysiłkiem spojrzała tam, gdzie powinna znajdować się jego twarz. Ale nie było jej tam. Nie było jego głowy!

Jakiś czas później, dużo później, zaczęła histerycznie krzyczeć.

Rozdział dwudziesty drugi

Jeff Beebee wolał plażę niż kryty basen. Chciał dotrzeć tam wyciągiem, ale zniechęciła go długa kolejka czekających na platformie. Zdecydował, że pójdzie pieszo. Nie było potrzeby się nigdzie spieszyć.

Na plaży nie było tłoczno. Ale gdy tylko zaczynał się przyptyw morze zabierało miejsce ludziom. W pewnym momencie wszystkie ręczniki leżały na skale przy miniaturowej stacji wyciągu. Na tym wąskim pasku plaży nie było jak się poruszać. Jeff przebrał się i usiadł na kamieniach. Wówczas zauważył wąski występ skalny tuż nad taflą wody, którego jak dotąd nikt jeszcze nie zajął. Zszedł na skałę, położył się i zamknął oczy. Czas płynął powoli. Słyszał zbliżającą się lokomotywę, która po chwili zatrzymała się na stacji. Robił się coraz większy harmider. Miniaturowy pociąg ruszył z powrotem. Jeff zastanawiał się jak maszyniści znoszą tak nudną pracę, jeździć w kółko po tej samej trasie.

Z oddali słychać było krzyk ludzi. Otworzył oczy i ujrzał coś, co przypominało sznur zbliżających się balonów. Podwójne krzesła na wyciągu posuwały się w dół ku plaży wysoko nad obozem. Zastanawiał się, czy nie wrócić w ten sposób do domu. Znów zamknął oczy. Próbował zasnąć.

Obudził go przerażający krzyk wydobywający się z setek gardoł. Rozróżniał tupot bosych stóp po kamieniach, pokrzykiwania zrozpaczonych matek. Poprzez przekleństwa usłyszał zgrzyt metalu.

Całkowicie przebudzony odwrócił głowę i na chwilę zastygł w osłupieniu. Ujrzał za sobą pędzący tłum, krzyczący i przerażony. Na kamieniach zostały opuszczone ręczniki, ubrania i zabawki.

Jeff wstał, rozejrzał się i dopiero teraz zrozumiał co się stało. Jedna z lin utrzymujących wyciąg zerwała się, a wagonik wisiał poniżej, kręcąc się i kołysząc. Następny wpadł w pełnym pędzie wprost na niego. Kolidzja na tej wysokości była bardzo niebezpieczna. W zerwanym wagoniku nie było widać pasażerów, więc albo już spadli, albo leżeli na podłodze. Pojedyncza lina prawdopodobnie nie wytrzyma naprężenia i pęknie.

Stał jakieś sto metrów od tego miejsca, nie zagrażało mu więc niebezpieczeństwo, nie było powodu, by przyłączać się do uciekających w popłochu ludzi. Patrzył w górę, straszne było to wycze-

kiwanie na najgorsze. Scena jak z horroru. Dwóch facetów trzymających się zerwanego wagonika, wymachujących nogami i spoglądających w dół na śmiercionośne skały.

Nagle zapadła dramatyczna cisza. Wszyscy zastygli, jakby zaakceptowali już to, co nieuchronne. Wagonik runął w dół. Dwóch mężczyzn wypadło z niego i szybowало jak bezskrzydłe ptaki wymachując rękoma i nogami. Następny wagonik również przechylił się i następna dwójka ludzi spadła na ziemię. Uderzyli o sterczące skały, krusząc kruche kamienie. Stojący na plaży ludzie krzyczeli rozpaczliwie, rodzice zasłaniali oczy dzieciom, ktoś zwymiotował.

Jakimś cudem następne zjeżdżające wagoniki zatrzymały się, prawdopodobnie włączył się mechanizm reagujący na tego typu wypadki. Ktoś wołał o pomoc, ale nikt się nie poruszył, nikt też nie miał odwagi podejść do ciał tych, którzy spadli.

Jeff czuł, jak nogi się pod nim uginają. To było więcej niż przecucie, podejrzenie, że jedna z tych postaci wiszących w pierwszym wagoniku... Nie, nie widział na tyle wyraźnie, by być pewnym. Zaczął przedzierać się przez tłum gapiów, bał się, że jego przypuszczenia mogą okazać się prawdą. Słyszał jak ludzie wokół niego ożywają się, zaczynają iść za nim. Ktoś po prostu musiał być pierwszy.

Jedna z ofiar wypadku jeszcze żyła, dziewczyna o ciemnych długich włosach. Przypominała Jeffowi Annę, ale na szczęście to nie była ona. Jej twarz była poraniona, z ust wypływała krew. Jęczała, ale jej ciało było sztywne, najprawdopodobniej miała złamany kręgosłup. Była jeszcze świadoma, lecz bezsilna, czekała tylko na koniec bólu. Leżąca obok niej dziewczyna była zmasakrowana. Musiała umrzeć bardzo szybko. Odwrócił głowę. Zobaczył mężczyznę.

Nie widać było ani śladu krwi. Ubranie całe, nie rozdarte, ramiona rozłożone na boki. Wydawać by się mogło, że śpi.

Ostatni był Norman. Jeff był już tego pewien. Twarz była roztrzaskana, oczy zamknięte. Wciąż krwawił, szkarłatna kałuża powiększała się pod nim i spływała w skalną szczelinę.

Nad nim wciąż krzyczeli uwięzieni pasażerowie. Jedna z kobiet wpadła w histerię i wrzeszczała coś niezrozumiałego. Słyszał ludzi zbliżających się do niego, chwiejne kroki na kamieniach. Wszyscy chcieli zobaczyć ofiary, ale bali się podejść zbyt blisko.

- Tamta dziewczyna jeszcze żyje - powiedział ktoś.

Jeff odwrócił się. Stało tam trzech bladych facetów i kobieta.

- Dajmy jej jakiś ręcznik. Niech będzie jej jak najwygodniej. -
Potrzebowali kogoś, kto powiedziałby im, co mają robić. Chcieli pomagać, to był ich moralny obowiązek.

- Nie ruszajcie jej, ostrożnie.

Twarz kobiety wykrzywiona była bólem. Jeden z mężczyzn odwrócił się i podniósł porzucony ręcznik plażowy. Stał tak trzymając go. - Więc jak ? - zapytał swych towarzyszy. - Musimy coś zrobić.

- Kiedy przyjedzie karetka ? - zapytała szeptem kobieta. Nikt jej nie odpowiedział.

Jeff spojrział na Normana. Godzinę temu chłopak żył jeszcze i martwił się zaginięciem swojej dziewczyny. Zapewnie miał rację, to Sarę zamordowano na wyspie. To było tak pewne, jak to, że Norman nie zginął przez przypadek. Zmyślnie obmyślane, żadnych śladów. Był zbyt uparty, nie chciał wyjechać, poddać się. Jak i on.

Jeff poczuł, że wszyscy na niego patrzą wyczekująco, ale nie był w stanie nic zrobić. Odwrócił się i spojrział na tłum. Ludzie spoglądali na niego, jak na przywódcę, który pierwszy podszedł tu, ośmielił ich. Była ich może setka, czekali. " Teraz twoja kolej, Be-bee. To będzie wypadek, jak i tamten " - przeszyła go okropna myśl. Drżał mimo ciepłego słonecznego dnia.

Na stację kolejki zajechał samochód z wymalowanymi na drzwiach symbolami Obozu Wypoczynkowego "Raj". Wysiedli z niego mężczyźni w popielatych mundurach. Jeff poczuł, że powinien stąd uciec, zanim jeszcze nie jest za późno, rzucić to wszystko. Teraz nie mogli go tknąć, zbyt wielu ludzi stało wokół. Słyszał dobiegające z oddali wycie syren, z każdą sekundą głośniejsze. Nie tracili czasu, tak jakby byli w pogotowiu, oczekiwali tego. To nonsens, powiedział do siebie Jeff. Wszystko tylko po to, by zabić jednego przeszkadzającego im człowieka.

Odwrócił się i odszedł. Oczekiwał, że ktoś go zawoła, ale nic takiego się nie zdarzyło. Wszyscy byli zajęci makabrycznym widowiskiem. Ta dziewczyna prawdopodobnie także już nie żyła. To było dla niej najlepsze.

Jeff szedł przez plażę, trzymając się z dala od torów. Pasażerowie wyciągu wciąż krzyczeli z góry. Na pewno zostaną uratowani, a wyciąg naprawiony, jutro wszystko będzie funkcjonowało normalnie.

Włóczył się bez celu, przyglądając się parze gęsi kanadyjskich.

Nie było tu nikogo, wszyscy poszli na plażę. W takich chwilach traci się poczucie dumy z faktu przynależności do rasy ludzkiej.

Nagle zorientował się, że zmierza w kierunku parkingu. Przyspieszył. Samochód Normana, trochę rdzewiejący, czeka na kogoś, kto mógłby do niego wsiąść i odjechać. Jeff dawno już nie czuł się tak samotny, wystarczyłoby tylko uciec stąd, a koszmar by się skończył. Maxi stał na swoim miejscu. Obszedł go, spojrzął na opony. Drżącą ręką otworzył drzwiczki, oparł się o kierownicę, wahał się, czy przekręcić kluczyk. Tu również mogła być jakaś pułapka. Nie, oni byli na to zbyt subtelni, ich specjalnością były "wypadki", a nie oczywiste zbrodnie. Zapalił silnik, przejechał kilka metrów, sprawdził biegi i wrócił na miejsce.

Tylko jedno go powstrzymało - Anna! Gdyby nie ona wyjechałaby już dawno, nawet rozwaliliby ten przeklęty szlaban. Nie zrobiliby mu nic w biały dzień, pośród tłumu wczasowiczów. Ale to nie miało znaczenia, przecież nie ma zamiaru stąd jeszcze wyjeżdżać. Jeżeli to zrobi, to tylko z Anną.

Gdy przyjdzie do niego dziś wieczorem, spróbuje namówić ją, by wyjechała z nim do miasta. Albo i dalej, tak, by nigdy już nie musieli tu wracać. Przypomniał mu się film, który oglądał kiedyś, o więźniu, który kopał tunel ku wolności. Najgorsze zawsze było czekanie.

Gdy wszedł do domku, wiedział, że ktoś tu podczas jego nieobecności był. Na zewnątrz nie było żadnych śladów włamania, wszystkie szuflady były pozamykane, drzwi szafy lekko uchylone. Wszystko tak jak pozostawił rano. Dreszcz przeszedł mu po plecach na myśl, że ktoś mógł być tutaj schowany. Zaczął zaglądać wszędzie, choć nie wiedział, czego szukać. Oni byli zbyt sprytni, jeśli schowali tu coś, to i tak by tego nie znaleźli. Pilnowali go. Dostali już Nonnana, teraz kolej na niego.

Nie mógł tu teraz zostać. Przebrał się w świeże ubranie. Bezpieczny mógł być tylko w tłumie wczasowiczów, więc trzeba było do nich dołączyć, pograć z nimi w bilard czy tenisa. Nie wsiadać do żadnych pojazdów, czy czegokolwiek, gdzie mogliby spowodować katastrofę. Nie wolno ryzykować życiem.

Nie wiedział, dlaczego im tak na nim zależało, ale teraz mieli dodatkowy powód - był przyjacielem Normana. Praktycznie nie wiedział o niczym, to wszystko to były tylko jego przypuszczenia. Pomyślał, że jeśli go do czegoś potrzebowali, to martwy na nic im

się nie przyda.

Pół godziny spędził przyglądając się meczowi piłkarskiemu - półfinał rozgrywek obozowych. Potem spacerując przyglądał się rozgadanyim ludziom, kręcącym się na karuzeli dzieciom. Nikt nie pomyślałby, że w tym sielskim ośrodku może dziać się coś złego. Co innego, gdy wiedziało się o pewnych sprawach.

Koło szóstej zaczął padać orzeźwiający deszcz. Ludzie nasuwali na głowy kaptury, dzieci biegły do swoich matek. Dzień w zasadzie się kończył, dorośli szykowali się do wieczornych rozrywek. Dzieci położyły się do łóżek, albo przejdą pod opiekę zatrudnianych przez oboz opiekunek. Potem można było wyjść do kina lub baru.

Jeff wszedł do jednego z nich. To najlepsze miejsce, by poczekać jeszcze kilka godzin. Oferowano tam zestaw dań obiadowych, sałatki rybne, frytki i kawior lub po prostu pizzę z pomidorami. Jeśli nie przeszkadzało komuś kupowanie posiłków po zwykłych cenach, to mógłby tu całkiem dobrze zjeść.

Usiadł i zamówił sałatkę z krewetek i kieliszek czerwonego morganu. Może powinien się upić, jak większość ludzi przychodzących tutaj. Nie, jeśli chciał przeżyć, musiał zachować jasność umysłu.

Zaczęli schodzić się pierwsi goście. Ubrani byli całkiem zwyczajnie, ale wyczuwało się, że to mieszkańcy luksusowych apartamentów, wyżsi urzędnicy, przedsiębiorcy. Jeff poczuł, że nie bardzo pasuje do tego towarzystwa. "Lecz za to, panie i panowie, uczęszczałem do Wrekin College, to można sprawdzić. A poza tym nie przepadam za wami" - pomyślał zjadliwie.

O 21.30 wracał już do siebie. Było ciemno, pod mdłym światłem latami ulicznych czyhały cienie, mogące ukryć całą armię bandytów. Jeff trzymał się chodnika, unikając ciemnych ścieżek. W uszach mu huczało i każdy przechodzień wydawał się podejrzany.

Pchnął drzwi i szybko zapalił światło, jakby chciał zaskoczyć intruza. Nikogo nie było. Uspokoił się i zaczął przeszukiwać wszystkie pokoje i szafy. Nie sądził, by byli tu po raz drugi. Wyczuwało się tylko, tak samo jak wcześniej, to samo dziwne napięcie w powietrzu. Jeff zaciągnął zasłony.

Anna mogła przyjść wcześniej. Trzymał się tej nadziei. Bez żadnych wstępnych rozmów wsiądnął do samochodu i wyjadł do miasta. I niech tylko ktoś spróbuje zatrzymać ich przy głównej bramie. Czy mogliby go znowu ubiec i zepsuć samochód? Nie mógł pozbyć się

tych myśli, starał się zająć czymkolwiek, by skrócić czekanie. Ale z minuty na minutę czuł się coraz gorzej, nie pomogła nawet kąpiel.

Była dopiero 22.30. W zasadzie nie było powodu, by już się martwić. Choć przecież cały dzień spędził na martwieniu się. Czuł tremę jak przed pierwszą randką.

Postanowił pójść jej poszukać. Wiedział, gdzie mieszka, przedostatni domek w szeregu zajmowanym przez personel. A może już wyszła i miną się po drodze. Zastanowił się którędy mogła iść. W dół obok Caribbean Bar, przez główny deptak przy salonie gier, a potem koło Baru Morskiego. Był to istny labirynt. Równie dobrze mogła wybrać inną drogę. Poza tym i tak w tłumie nocnych przechodniów mogli się łatwo minąć.

Gdy zbliżała się 23.20 postanowił, że pójdzie. Wychodząc włożył w szparę drzwi kartkę: "Wkrótce wrócę". Zostawił także zapalone światła i lekko uchylił zasłony, by wracając można było zajrzeć do środka, sprawdzić, czy domek jest pusty. Przypomniał sobie nagle Normana i pozostałą trójkę leżących na plaży. Mógł skończyć tak samo, a Anna razem z nim.

Szedł szybko» nie zwracając uwagi na cienie, przyglądał się za to uważnie każdej mijanej kobiecie. Liczył, że z daleka rozpozna sylwetkę Anny. Miał taką nadzieję.

Kwatery dla personelu stały w pobliżu budynku recepcji i nie różniły się wyglądem od innych domków, tyle tylko, że paliło się w nich zawsze mniej światła. Pracownicy korzystali z nich w zasadzie tylko w czasie snu. Jeff ujrzał domek Anny i przyspieszył kroku. W oknach było ciemno. Nie było jej tutaj. Mógł minąć ją po drodze, trzeba szybko wracać! To był najbardziej optymistyczny wariant. Drzwi były zamknięte, zapukał nie oczekując odpowiedzi.

Ogarnęło go to samo uczucie co wcześniej w południe. Opuszczony domek kpił z niego, wywoływał mdłości. To samo wrażenie odniósł w swoim domku, gdy zorientował się, że oni tam byli. Niczym nie dawało się tego wrażenia powstrzymać. Opanowały go jednocześnie strach i złość.

Stał po środku ciemnej opuszczonej ulicy i wiedział, że został pokonany. Anna była w ich rękach. Teraz będą chcieli dostać jego, to tylko kwestia czasu.

Rozdział dwudziesty trzeci

- To miejsce śmierdzi gównem - powiedział zjadliwie David Dolman ochrypłym głosem. - A nawet gorzej.

Artur Smith podrapał się po głowie. Miał już na prawdę dość znajomości z tym człowiekiem. Z początku widział w nim kogoś, kto go rozumiał. Teraz ten sympatyczny człowiek przemienił się w potworną bestię uzbrojoną w jadowite kły i w żaden sposób nie dającą się oswoić. To był fanatyk, więcej niż buntownik - anarchista!

- Masz szczęście - mruknął. - Wszystkie domki oprócz tego są już wynajęte. Ten stał pusty, gdyż zamókł w zeszłym tygodniu podczas burzy. Przygotowałem go specjalnie dla ciebie. Wcześniej powiedziałem szefowi, że wysuszenie go zajmie dwa tygodnie. Miejmy nadzieję, że nie przyjdą tu, by to sprawdzić. Jak cię tu znajdą, zostaną bez pracy!

- Nie znajdą mnie. - Dolman był pewny siebie. Rozejrzał się po pokoju. Na szczycie ściany widniała plama, trochę już przesuszona. Krzesła ustawione były przy stole, szuflady wysunięte, szafki otwarte i puste. Tylko jego walizka świadczyła o tym, że ktoś tu mieszka. W pomieszczeniu rzeczywiście czuło się zapach stęchliny. - Ale musisz przyznać, że sprawy idą dobrze. - Chodził utykając na jedną nogę, która wciąż była obandażowana.

Artur kiwnął głową, próbując w ten sposób wyrazić swój entuzjazm. Miał nadzieję, że Dolman uspokoi się po tym jak oberwał na tych nieszczęsnych wyścigach osłów. Tutejsza policja nie pozwalała na tego typu rzeczy. Odstawili go do jego domku. I, do cholery, mógł tam pozostać aż do wygojenia nogi, a potem wracać do domu!

Ale Dave Dolman powłóczęgą nogą wrócił do działania. Tym razem z jeszcze większą przebiegłością poruszał się po obozie. Był ekspertem od znajdowania ludzi, których potrzebował. Artur pomógł mu się ukryć, ale jemu chyba w ogóle nie zależało na bezpieczeństwie. Nie szukał robotników, szukał dzieciaków na zasiłku, którzy w ogóle nie chcieli pracować. Podjudzał ich do szaleńczych chuligańskich wybryków, a posłuch miał rzeczywiście niemały. Tacy młodzi ludzie wydają się całkiem spokojni, interesuje ich tylko alkohol i dziewczyny, ale gdy zbić ich w jedną gromadę, tworzą groźną armię. Rozmawiał z nimi w barach, a nie na wiecach, tam

też poznawał z innymi. Artur drżał na samą myśl, co mogliby oni zebrani razem zrobić. Dave zebrał pięćdziesięciu, czy sześćdziesięciu, czekających na sygnał ludzi, a Bóg jeden wie, co on takiego planuje!

- Musimy walczyć z nimi na ulicy - cedził Dolman z błyskiem w oczach. - Skończyły się czasy wolności słowa. To co mnie się przytrafiło jest na to dowodem. Wtedy nasyła się policję z gumowymi pałkami. Ale tej wojny, którą szykujemy, nie będą w stanie powstrzymać. Mogą przerwać wiece, ale nie rozgonią rozwścieczonego i zdesperowanego tłumu. Jesteśmy już prawie gotowi, Arturze, jeszcze dzień, czy dwa.

- Co... co zamierzacie zrobić? - Tak naprawdę bał się to usłyszeć. Strajk czy mały sabotaż, to można jeszcze zrozumieć, ale teraz poleje się krew. Zastanawiał się, czy może w jakiś sposób udałoby się powstrzymać tego wariata. Chyba było już za późno, te młode dzikusy to szaleńcy, zrobią to, na co będą mieli ochotę, z Dolmanem, czy bez niego.

- Poczekaj, to zobaczysz! - Dolman odpowiedział wymijająco, jakby zaczynał coś podejrzewać. - Chyba nie zjada cię strach, Arturze? - Chłopaki wiedzą, co mają robić, wszyscy dostali instrukcje. Nie mogą czekać, aż społeczeństwo odbierze im resztę wolności. Przyjrzyj się temu, co tu zrobimy, Arturze, nigdy przedtem nie widziałeś czegoś podobnego. W porównaniu z tym, co tu się będzie działo, ostatnie rozruchy w miastach wydadzą ci się zabawą dzieciaków. Masz moje słowo!

Arturowi zaschło w ustach. Poszedłby teraz na piwo, ale nie chciał iść tam z Dolmanem. Zdawał sobie również sprawę z tego, że sam się do tego wszystkiego przyczynił. Gdyby nie on, policja już dawno skończyłaby temu szaleńcowi tyłek.

- Wynoszę się z tego chlewu - Dolman śmiał się ochryple. - Prawdopodobnie jutro.

- Co! - Smith odetchnął z ulgą. Zatem będzie mógł skończyć osuszanie domku i nikt nie będzie mógł mu nic zarzucić. - Będą cię szukali, Dave, to jedyne miejsce w obozie, gdzie mógłbyś się schronić. - Niech to, nie powinienem był tego mówić, ten drań jeszcze zdecyduje się zostać.

- Doprawdy? - Znowu to chytre spojrzenie. - Zostaw to mnie, znam jeszcze pewne miejsce. Ale i tak będę cię potrzebował. Muszę mieć klucze od bramy.

- Mam tylko mój własny - odparł Smith. Brama zawsze była zamykana, powstałaby wielka awantura, gdyby znaleziono ją otwartą. Szefowie na pewno dojdą, kto jest za to odpowiedzialny. A poza tym on potrzebował tego klucza, by wprowadzać dużą kosiarkę na boiska.

- To sporządzimy drugi. - Dolman wyciągnął monetę funtową. - Jest takie miejsce za sklepem z pamiątkami, gdzie można to zrobić. Dorabiają tam dodatkowe klucze dla idiotów, którzy je gubią. Zrób to jutro rano, będę go potrzebował.

Tamten wziął monetę i wsadził do kieszeni. "Spełniam jego polecenie jak uczeń" - pomyślał. "Przynoszę mu jedzenie, picie, gazety i wszystko, co z tego mam, to kilka pensów reszty". Dolman miał hipnotyczny wpływ na niego i zdawał sobie z tego sprawę. Łapał się na tym, że mu przytakuje. Potem obiecywał sobie, że zdarzyło się to już ostatni raz, ale robił to wciąż i wciąż. Ci głupcy podczas wyścigów słuchaliby go bez końca, gdyby nie zainteresowała policja. - W porządku, zobaczę, co da się zrobić

- Nie będziesz miał z tym żadnych problemów. Jeżeli nie zrobisz tego dla ciebie, to będzie znaczyło, że nie zrobiliby tego dla nikogo. Więc bądź tu jutro rano.

Dolman skierował się w stronę łazienki, co miało znaczyć, że uważa rozmowę za skończoną. - Jak powiedziałem, wyniosę się stąd gdy tylko będę miał klucz. Zapewniam cię, że nikt nie będzie wiedział, gdzie jestem.

Artur wyszedł na wpół oświetloną ulicę. Czuł się tak, jak gdyby ktoś mocno uderzył go po głowie. Nie chciał wracać tu jutro. Bał się tego małego człowieczka z obandażowaną nogą i jadownym językiem. Po tych zabójstwach i wypadku na wyciągu krzeselkowym, mogło się zdarzyć wszystko. I jak tu nie wierzyć w fatum ciężące nad tym ośrodkiem.

Kapitan przyglądał się siedzącemu przed nim mężczyźnie. Często rozmawiał z tego typu agentami, ale Muliman był inny i nie miał sobie podobnych. Nie widział w jego twarzy ani szacunku, ani strachu. Miał spojrzenie człowieka, który nigdy nie psuje roboty. A wręcz przeciwnie, wzywa się go dopiero wtedy, gdy trzeba coś naprawić.

- Dobra robota. - Ten komplement miał dać do zrozumienia, że kapitan jest wobec niego przyjaźnie usposobiony. W odpowiedzi

nie zauważył nawet najmniejszego uśmiechu. Ze stoickim spokojem czekał na następne rozkazy. - Czytałem w dzisiejszej gazecie, że państwo Mace mieli w drodze do domu poważny wypadek. On zginął na miejscu, ona zaś znajduje się w stanie krytycznym, bez większych szans na przeżycie. To się stało szybciej, niż oczekiwałem - uśmiechnął się. - McNee zniknął bez śladu, nikt nawet o niego nie pytał. Zaś jeśli chodzi o ten wypadek na plaży, to rozumiem, że Tong był jedną z ofiar. W takim razie nasz kłopotliwy przyjaciel nie będzie nam już przeszkadzał.

Tym razem również nie było żadnej odpowiedzi.

Kapitan odkasznął. Przyszedł czas na małą reprimendę. - Ale gdzie, do diabła, jest Dolman?

- Zaszły się w domku, którego przez jakiś czas nie można wynajmować ze względu na wilgoć - wyjaśnił krótko Muliman. - Był tam przez dwa dni.

- Skoro wiedziałeś o tym, dlaczego nic nie zrobiłeś?

- Chciałem zbadać zasięg jego kontaktów. Mógłbyś podać mu antidotum.

- To już moja sprawa. On stanowi groźbę dla społeczeństwa bez względu na to czy działa pod wpływem C-551, czy nie. Lepiej się nim zajmij.

- W porządku.

- A co z Beebee?

- Musiał się już zorientować, że są tu przeprowadzane eksperymenty. Unika restauracji jak zarazy. Trzeba będzie z niego zrezygnować, albo...

- To mogłoby być dobre wyjście, ale jeszcze nie teraz. On rozmawiał z Tongiem i mógłby powiązać śmierć chłopca z wypadkiem państwa Mace. Nie możemy ryzykować. A poza tym Stackhouse musiała mu coś powiedzieć, inaczej nic by nie podejrzewał. Musi zostać przesłuchana, myślę, że Morton już to zbadał. Cholerny głupiec, facet z taką pozycją, a ugania się za własną sekretarką. Mógłby znaleźć sobie kobietę, która nie narażałaby go na takie ryzyko. Że też pozwolił sobie na coś takiego! - Kapitan wybuchnął gniewem. Wszystko szło źle, a kogoś trzeba było ukarać.

- Biorę na siebie Beebee. - Muliman podniósł się z krzesła. Przypomniał teraz kapitanowi tygrysa, przeciągającego się po popołudniowej drzemce.

- Nie, najpierw trzeba złapać Dolmana! Narobił już dość kłopo-

tów. Wiemy, co dzieje się z buntownikami, którzy docierają zbyt wysoko. Sięgają po władzę. Ten eksperyment również to potwierdził, a my nie chcemy więcej publicznych przedstawień. Prasa nazywa to miejsce "obozem śmierci". Jeżeli wydarzy się jeszcze coś, będziemy musieli wszystko odwołać i cała dotychczasowa praca pójdzie na marne.

- Nie ma obaw, dziś w nocy dostanę Dolmana. Po prostu zniknie, nie ma potrzeby się martwić. Być może Beebee także.

- Zobaczymy, jak będzie po wszystkim. Bądź ostrożny. Potem rozważymy sytuację.

Muliman był już przy drzwiach, gdy kapitan zawołał go raz jeszcze. W jego głosie kiryła się niepewność.

-Tak? - Muliman nigdy nie zwracał się do niego per "pan". Pracował dla niego, lecz daleki był, od służalczości.

- Martwię się o Mortona - odpowiedział po chwili wahania.

- Będę na niego uważał - odparł Muliman i wyszedł.

Rozdział dwudziesty czwarty

- Obudź się!

Valerie Evans poruszyła się i poczuła jak bardzo jest osłabiona. Chciała spać dalej, ale ktoś potrząsnął jej ramieniem. Było jej tak ciepło i przyjemnie, to niemożliwe, by musiała już wstawać. Było jeszcze ciemno, a Billy już nie spał. No cóż, ale dlaczego nie pozwala jej się wyspać? W lodówce miał przygotowane kanapki, robiła je dla niego już od trzydziestu lat. Czas najwyższy, by sam sobie przygotował śniadanie.

- Wał, obudź się!

Otworzyła oczy i w półmroku sypialni ujrzała męża ubranego w płaszcz i szalik, z czapką na głowie. - Wychodzisz, Billy... - Wszystko nagle wróciło, droga przez śnieg, aresztowanie, ich nowa znajoma Ruth. Valerie usiadła. - Co się stało?

- Przenieśli nas z powrotem do domu. - Był zły i widać miał ku temu powody. - Musimy spróbować jeszcze raz, kochanie.

Przypomniała sobie wczorajszy koszmar, szyderczy tłum, podły lekarz. - Nie uda się nam, Billy, a następnym razem mogą obejść się z nami jeszcze gorzej.

- Nie możemy tu zostać. - Rozejrzał się za jej ubraniami. - Lepiej będzie nie zapalać światła, im mniej zauważą, tym lepiej. Śniegu jest już pewnie więcej.

- Sprawdziłeś?

- Nie musiałem sprawdzać, chłód jest coraz większy. Teraz wstawaj i ubierz się, przed świtem powinniśmy być już daleko. W przeciwnym razie znowu nas złapią.

- Brama na pewno będzie zamknięta. - Drżała, ubierając się. - Nie przejdziemy. Zmarnujemy tylko czas.

- Nie musimy iść główną drogą - odrzekł w ciemności. - Tam na pewno wystawili strażę. Przejdziemy przez pola, choć będzie to trudniejsze ze względu na zasy. Pospiesz się, a wszystko się uda.

Ubrała się, a potem zaczęła szukać swoich ocieplanych butów. Może są w szafce. Ale kto je tam schował? Ktoś, kto sądził, że już nie będą jej potrzebne. Zabawne, że nie pamiętała powrotu do domu. Ostatnim zapamiętanym obrazem był lekarz, wbijający jej igłę. Musiał ich uśpić. Bez ich pozwolenia, nie miał do tego prawa.

- Szybciej. - Billy z niecierpliwością czekał przy drzwiach.

- Gdzie się podziały nasze zapasy? - Rozejrzała się po pokoju

szukając toreb z żywnością.

- Myślę, że je zabrali. - Nacisnął klamkę. - Ale zostając tutaj i tak umarlibyśmy z głodu. Po drodze poszukamy czegoś do jedzenia.

Na zewnątrz było ciemno i zimno. Valerie złapała męża za rękaw. Znowu pomyślała o Ruth i doszła do wniosku, że ją również odesłali do domu. Ulice były opustoszałe, ale mimo wszystko starali się nie rzucać w oczy. Billy zatrzymywał się co chwila nasłuchując, ale za wyjątkiem świstu wiatru, nic nie było słychać. Śnieg nie wydawał się tutaj zbyt głęboki, prawdopodobnie wiatr wywiał go z drogi.

- Spójrz! - Szarpnęła męża za ramię, pokazując coś drugą ręką.
- Tam pali się światło.

- To wygląda jak kaplica - odparł. - Musimy iść dalej

- Billy?

- Co takiego?

- Chciałabym... wejść do kaplicy. Tylko na dwie minutki.

- Po co? - Spojrzał na nią z niedowierzaniem. - Nie byłeś w kościele od dnia naszego ślubu!

- Wiem. - Była zmieszana, ale zdecydowana. - Ale teraz chciałabym. Może... wtedy poczułabym się lepiej, Billy.

Wahał się, ale po chwili zgodził się. - Czym było tych kilka minut, gdy stracili już tyle godzin.

Drzwi kaplicy otworzyły się z łoskotem i weszli do środka. Pojedyncze światło paliło się gdzieś w oddali, panowała głęboka cisza. Dopiero po chwili zauważyli człowieka stojącego przed stopniami ołtarza. Był bardzo wychudzony. Uznali go za ofiarę zimna i głodu, jednego z tych, którzy wybrali się na poszukiwanie cieplejszego klimatu. Tak jak oni.

W ławce klęczała z pochyloną głową kobieta. Trwała tak nieruchomo jakby była chora, albo nawet...

Mężczyzna usłyszał ich i odwrócił się powoli. Miał ściągniętą twarz i małe oczy. Powiedział cicho: - Witamy w Domu Bożym. - Złożył dłonie jak do modlitwy. - Cieszę się, że przyszlście, może będziecie w stanie mi pomóc.

"Wariat" - pomyślał Billy Evans.

- Oczywiście - uśmiechnęła się Valerie. Pomogli Ruth, czemu nie mieli by pomóc temu biedakowi? - Co możemy dla pana zrobić, panie...

- Holman. - Wskazał skuloną postać w ławie. - Moja żona... Obawiam się, że Bóg ją wezwał...

Billy cofnął się o krok. "Lepiej wynośmy się stąd" - pomyślał przerażony.

- Może moglibyście pomóc mi ją przenieść. W takich okolicznościach, myślę, że najlepiej położyć ją za ołtarzem. To będzie oznaczało jej pojednanie z Bogiem, jeśli rozumiecie, co mam na myśli.

Billy zbladł, ale Valerie szła już naprzód. Posuwał się za nią stukając swoimi roboczymi butami. Valerie zawsze pchała się w jakieś kłopoty. To ona namówiła go, by zabrali ze sobą Ruth. Tamci z pewnością jej nie uwolnili, inaczej wróciłyby do nich. Potrzebowali jej do czegoś.

Martwa kobieta jeszcze nie zeszywniała i wysunęła się im z rąk. Billy złapał ją za nogi, a Valerie i Holman trzymali za ramiona. Powoli, z wysiłkiem wnosili ją na stopnie ołtarza. Billy pomyślał, że łatwiej byłoby ją ciągnąć, ale nie powiedział tego głośno. Ten facet nie wyglądał na szczególnie zmartwionego, był bardzo filozoficznie nastawiony do śmierci swej żony.

- Tak będzie dobrze. - Holman wyprostował się. - Niech Pan przyjmie ją do siebie.

Za ołtarzem była przestrzeń tworząca coś w rodzaju alkozy, wystarczająco duża, by położyć ciało. Billy rozejrzał się, ale nie mógł znaleźć nic, czym można by było je przykryć.

- Bardzo wam dziękuję. - Holman uklękł przed ołtarzem. - To było bardzo uprzejme z waszej strony. Może chcielibyście przyłączyć się do krótkiej modlitwy za nią? Była dobrą kobietą i wierną żoną.

- Dzięki, ale lepiej będzie, jak już pójdziemy. - Billy złapał mocno nadgarstek Valerie, nie chciał zostać tu ani minuty dłużej. - Śniegu wciąż przybywa.

- Tak, oczywiście. - Przez moment zdziwienie zarysowało się na twarzy Holmana. - Panie, dziękujemy ci za życie Margaret, dobrej i wiernej Tobie kobiety, teraz zmarłej...

Billy odetchnął, gdy wyszli na zewnątrz. - Za dużo tego jak na mnie. Teraz pomyślmy, którędy mamy iść.

Zaczęło świtać, zimna szara poświata zalała okolicę.

- Chyba słyszysz czyjeś kroki! - Valerie przytuliła się do męża. - Spójrz tam, tłum ludzi! - Ogarnęło ją przerażenie, gdy przypomnia-

ła sobie wczorajsze przeżycia.

- Nie zwracaj na nich uwagi. - Billy szedł dalej ciągnąc ją za sobą. - Wyglądają jak zgraja chuliganów. Prawdopodobnie płądrują opuszczone domy w poszukiwaniu jedzenia. Nie patrz na nich.

Nie widział ich zbyt wyraźnie, nie było jeszcze dość jasno, a poza tym co chwila chowali się za krzakami. - Billy, boję się.

Złapała go mocniej. Tamci zbliżyli się, tworząc półkole. To byli młodzi chłopcy, wyglądający jak banda zabijaków. Dżinsy i skórzane kurtki, wysokie buty. Wyglądali jak ci, którzy rozbijają się na stadionach. W dłoniach mieli kije i jeszcze jakąś broń. Zbliżali się do nich i nie wyglądało na to, by mieli przyjazne zamiary.

- Spójrzcie tylko na nich! - odezwał się przywódca. - Mają na sobie zimowe ciuchy! Nie pokazalbyś nam swoich kalesonów, dziadku? - Wokół rozległy się okrzyki i śmiech. - Przyjrzymy się im.

- Przepuście nas, proszę! - Billy próbował przemówić zdecydowanym tonem, ale zabrzmiało to płacźliwie. Zasłonił sobą Valerie. Nie mógł powiedzieć jej, by uciekła, gdyż nie miałaby dokąd uciec. Dogoniliby ją w ciągu kilku sekund.

- Nigdzie nie pójdziecie. Chcemy zobaczyć twoje kalesony. I twoje szczupłe kolana, paniusiu! - rechotali i podeszli jeszcze bliżej. - A jak nie, to my wam coś pokażemy, prawda chłopcy?

Zaczęli wyciągać obite gwoździemi deski, łańcuchy rowerowe, noże, metalowe kulki i puste butelki po piwie z rozbitym dnem.

Valerie zrobiło się słabo. Gdzie podziała się ta policja w szarych mundurach? Teraz ich widok sprawiłby jej radość.

- Chcemy zobaczyć tę luksusową bieliznę! - Krzyknął tamten ochryplym głosem. - Oboje, szybciej!

- Musimy to zrobić, Billy - szepnęła. - Przynajmniej jedno z nas. Może później pójdą sobie.

Billy zaczął rozpinąć swój płaszcz, a potem grzebać przy pasku. Później staromodne guziki, nigdy nie lubił zamków błyskawicznych, gdyż zawsze się zacinały. Spodnie spadły mu do kostek. Lodowaty wiatr owiał mu nogi.

Rozległ się obrzydliwy śmiech, wszystkie twarze skierowały się w jego stronę. -I oto mamy. - Wysoki wyrostek pokazał swój błyszczący nóż. - Nosi długie gacie, a nie ma kalesonów! Wciągaj je z powrotem, koleś, teraz zajmujemy się twoją panią. Zobaczymy co ma pod sukienką.

Valerie rozpięła płaszcz i podniosła sukienkę. A co na to powiecie, brudne dranie! Bielizna jak u nastolatki. Zadowoleni?

Nie byli zadowoleni. - Rozbieraj się dalej, damulko. Ty też, dziadku!

Wolałaby stracić teraz przytomność i nic więcej nie słyszeć. Nie zamierzała ustąpić bez walki.

Billy spuścił majtki. Głowy pochyliły się do przodu, by coś zobaczyć. Rozległy się śmiechy i kpiny. - Jezu, spójrzcie na to, jak u osła!

Billy zakłopotany zasłaniał dłońmi kroczce.

- Teraz ty, ściągaj to!

Valerie cofnęła się i schowała za swego męża. - Nie, nie zrobię tego, będę krzyczeć - pisnęła.

Trzech skinleiadów wystąpiło z grupy i spojrzęło na przestraszoną parę. Najwyższy z nich trzymał grupy łańcuch, którym zaczął szybko wymachiwać. Wszyscy patrzyli na niego jak zahipnotyzowani.

Valerie zatrzęsała się strwożona, odskoczyła od męża i drżącymi palcami zaczęła zdejmować z siebie bieliznę. Odzież zatrzymała się na kolanach, zaczęła kopać nogami, by zrzucić z nóg kozaki. Zamknęła oczy. Co za poniżenie. Nie zapomni tego do końca życia.

Słyszała jak zbliżali się do niej, chrapliwe oddechy, ciche gwizdy, pomruki. Jeden z nich mruknął: - Wygląda jak szmata, która leżała u nas za domem, dopóki mama jej nie wyrzuciła!

Inny dodał: - Nie widać trawki!

- Co z nimi zrobimy. Stink?

Nastąpiła długa pauza, Valerie miała wciąż zamknięte oczy. Przerazający moment oczekiwania przeciągał się, wstrzymała oddech. Strach rósł w niej coraz bardziej. "Billy, zrób coś" - modliła się.

- Uważam, że powinniśmy zabrać im te ubrania, zanim się w nich uduszą - oświadczył przywódca. - Słyszeliście mnie?

Valerie zakręciło się w głowie. Nie, nie róbcie tego! - Zamarzniemy na śmierć, to gorsze niż...

- Lepiej oddajmy im te ubrania - powiedział Billy, słyszała jak ściągnął szalik i koszulę.

Odwróciła głowę, wciąż miała zamknięte oczy. Zrzuciła z siebie płaszcz, swetr i bluzkę. Zrobiło jej się bardzo zimno, pomyślała, że na pewno zachoruje na zapalenie płuc. Trzęsła się cała.

- Twój biustonosz!

Kiwnęła głową. Odpięła go, spadł na ziemię. Spoglądając spod zmrużonych powiek widziała pełne pożądliwości twarze. Spojrzała na męża.

- Dobrze. - Facet zwany Stink kiwnął na stojących za nim mężczyzn. - Podnieście ubrania.

- Nie mam rękawiczek. Stink!

- Później zdezynfekujesz ręce! - zakpił któryś.

Tamten pozbierał rozrzuconą odzież i zapytał: - A teraz, co z nimi zrobimy?

- Znajdziemy dla nich jakiś śmietnik.

- Pozwól im iść, są niegroźni. Goście będą mieli się z czego pośmiać, jeśli tylko któryś z tych leniwych łajdaków już wstał.

Valerie odetchnęła z ulgą. Chyba będą mogli odejść.

Po chwili pozostali sami, ona i Billy, starając się nie patrzeć na siebie. Tamci odeszli.

- Co teraz zrobimy?

- Lepiej wracajmy. - Odwrócił się i zaczął iść. Nie obchodziło go, czy pójdzie za nim.

Szedł pospiesznie ulicą tak, że z ledwością dotrzymywała mu kroku. Nie mogła sobie przypomnieć, gdzie znajdował się ich dom, ale to nie miało większego znaczenia. Szli tylko po to, by umrzeć, by stało się to, jak najszybciej. Zazdrościła tej kobiecie w kaplicy, dla której potworności ziemskiego życia były tylko wspomnieniem.

- Billy?

- Co? - Nie zwolnił, ani nie odwrócił głowy.

- Czy pamiętasz powrotną drogę do kaplicy?

- Dlaczego pytasz?

- Pomyślałam, że byłoby to odpowiednie miejsce, by umrzeć.

Billy nie odpowiedział, szedł dalej.

- Billy? - Zatrzymała się nasłuchując.

- Co znowu?

- Słyszę, że ktoś się zbliża.

Za nimi rozległy się zbliżające się kroki ludzi, lecz byli zbyt przestraszeni, by się obejrzeć. Gang podążył za nimi, ci bandyci mieli chyba ochotę pobawić się z nimi w kotka i myszkę.

- Łap ich! - krzyknął ktoś rozkazującym tonem, potem poczuła na ramieniu czyjąś rękę. Zaczęła płakać.

- Jezu, to znowu oni!

Valerie wytrzeszczyła oczy na dwócliu umundurowanych mężczyzn, obaj mieli kaski na głowach. Zrobiło jej się niedobrze na myśl o szarym pokoju, w którym ich wczoraj trzymano.

- Cóż, najwidoczniej lubią ekstremalne warunki. Najpierw w płaszczach zimowych, a teraz spacerują nago!

- Zostaliśmy... napadnięci - wykrztusił Billy.

- Napadnięci! Nie wyglądasz na pobitego. Czy oni... zabrali wasze ubrania?

- Tak. - Była przekonana, że jej nie uwierzą, chciała tylko, by puścili jej ręce. Byli tak samo wstrętni jak tamci.

- Rozumiem, W takim razie najlepiej będzie jak teraz pójdziecie z nami. Wtedy będziecie mogli złożyć zażalenie, a spróbujemy znaleźć tych facetów. Nie możemy pozwolić, by w obozie działały takie rzeczy, prawda? Ani na to byście spacerowali nago, inni goście mogliby złożyć skargę na was. Znajdziemy wam jakieś ubranie i może coś do jedzenia.

Nie broniła się, gdy prowadzili ich, jak niegrzeczne dzieci za rękę. Nic przecież nie mogła zrobić, mimo że bardzo nie chciała wracać do tamtej celi.

- Jezu, Mike - szepnął jeden z nich do drugiego. - Szef oszaleje, nie chciałbym być tym, który mu o tym powie. Ci dwoje już dawno powinni się uspokoić i zapomnieć o wszystkim, co się wydarzyło. A zamiast tego zachowują się jeszcze gorzej. To zasrane antidotum nie działa!

Rozdział dwudziesty piąty.

Anna w zdumieniu ujrzała w swoim przedpokoju profesora Mortona. Nie słyszała jak pukał, więc albo nie zamknęła drzwi, albo on użył zapasowego klucza.

- Tony! - krzyknęła zaskoczona.

- Muszę z tobą porozmawiać, Anno.

Najpewniej stało się coś niedobrego. Profesor nigdy nie przychodził do swych pracowników. To oni zawsze musieli czekać na wizytę u niego i okazywał mu odpowiedni szacunek. Pod białym płaszczem miał na sobie elegancki garnitur. Włosy miał rozczochrane, jakby właśnie wstał z łóżka, krawat krzywo zawiązany i przesunięty na jedną stronę. Nigdy nie widziała, żeby był taki błady.

- Wał więc, słucham. - Bez żadnych wstępów, jestem u siebie i mam dziś wolne. Pracownikom ministerstwa rzadko się to zdarza, więc mów, co masz do powiedzenia i idź sobie.

- Musimy wyjechać stąd, Anno. Ty i ja. Teraz! - Żuł koniuszek fajki.

- Myślałam, że zakazano nam opuszczać teren obozu.

- Wszystko idzie źle! - Rozłożył ręce. - Cały eksperyment wymknął się spod kontroli. - Spojrzał za siebie sprawdzając, czy drzwi są zamknięte. - Morduje się niewinnych ludzi i to ja jestem temu wszystkiemu winien.

- Kogo zamordowali? - Czuła w sobie niesamowite napięcie. - Zastrzelili Jaya i tę dziewczynę, McNee. Kogo jeszcze?

- Zabili tę parę Mace - wyszeptał z rozpaczą. - Wsadzili ich do samochodu i kazali jechać do domu. To tak, jakby wsadzić pijanego za kierownicę. Piszą o tym w gazetach, mówią w dziennikach telewizyjnych. Poza tym jeszcze Tong, ponieważ zaczął zadawać zbyt dużo pytań. To się stało podczas wypadku z wyciągiem krzeselkowym. Ja za to odpowiadam, ja podawałem im te tabletki. Na które nie ma antidotum!

- Ale mówiłeś...

- Pewnie, kłamałem. To mogło działać, tak jak działało w wypadku zwierząt, byłem przekonany, że zadziała. Ale w żaden sposób nie mogłem tego sprawdzić. C-551 powinno zostać zneutralizowane, ale tak się nie stało! Gdy Evansowie byli nieprzytomni, pobrałem próbki krwi, i dlatego wiem, że to nie zadziałało. O Boże, co się z nimi wszystkimi stanie? Mówię ci, nastąpi "wypadek" za

"wypadkiem" ten Muliman to płatny morderca!

Nogi zaczęły uginać się pod nią.

- Z nami zrobi to samo, z tobą i ze mną. - Morton przyłożył dłoń do czoła. - Oczyszczą wszystko lada dzień. To katastrofa, o której nikt się nie dowie. Musimy stąd uciekać.

To mogła być pułapka, nie wierzyła, by to wszystko było możliwe. Morton był dobrym aktorem, nie raz już mogła się o tym przekonać. Ale nigdy przedtem nie stracił zimnej krwi. Teraz oparty o ścianę błagał o litość. Czują dla niego zarówno pogardę jak i współczucie. Sam nawarzył sobie tego piwa. Od kiedy podpisałeś ich papiery, twoje życie, twoja dusza, nie należą już do ciebie. Kiedyś on sam jej o tym przypomniał.

- Powiedziałaś ci, że między nami wszystko skończone. Tony - mówiła zimno tak, że każde słowo raniło straszliwie.

- Tak to całkiem jasne - odpowiedział. - Rozumiem to, ale czuję też, że jestem ci teraz winien pomoc, że powinienem cię z tego wyciągnąć. Jeżeli teraz wyjedziemy, możemy się uratować.

- Przykro mi, ale nie mam zamiaru wyjeżdżać.

- Z powodu Beebee?

"Ty draniu, chcesz po prostu ocalić z tego coś dla siebie, myślisz tylko o sobie!" - Być może.

- Prędzej czy później, dostaną go. Umrzesz razem z nim, jeśli zostaniesz tutaj.

- A tymczasem ty będziesz ratował własną skórę. Chcesz zostawić tu tych wszystkich ludzi ich własnemu losowi, nieuchronnej śmierci! - Nie mogła opanować złości. Zresztą, przyszedł czas, by skończyć z tym udawaniem.

- Wróć do mnie, Anno. - Podszedł do niej, lecz ona cofnęła się.

- Jesteś wszystkim, czego kiedykolwiek pragnąłem.

- Nie zbliżaj się do mnie. Tony.

- W porządku. Porozmawiajmy. Ale nie tutaj, tu jest zbyt niebezpiecznie. Oni wiedzą o twoim związku z Beebee.

- Więc powiedziałeś im?

- Nie, wierz mi. Chciałem to ukryć, ale to nie było łatwe. Ściany mają uszy, rozumiesz. Kapitan dowiedział się jakoś.

- Powiedział ci o tym?

- Nie musiał. Po prostu wiem, że on wie. Anno, proszę cię, porozmawiajmy. Jeżeli nie chcesz teraz wyjechać ze mną, to chociaż wróćmy do mojego mieszkania.

- w porządku. - Musiała grać na zwłokę. Wciąż bała się, że to podstęp, że on zaraz wezwie straż i każe ją zamknąć. Chociażby z chęci rewanzu. Granica pomiędzy geniuszem, a obłąkaniem była bardzo wąska, a Tony Morton wisiał nad krawędzią przepaści.

- Porozmawiajmy, ale nic nie obiecuję.

Kiwnął głową. Podniosła torebkę i otworzyła drzwi.

Już przy wejściu do luksusowego apartamentu profesora Anna poczuła zakłopotanie. Tak niedawno przychodziła tu z miłością.

- Napijesz się czegoś? - Otworzył barek.

- Wolałabym kawę. Myślę, że nam obojgu dobrze by zrobiła. Sama zaparzę.

Weszła do kuchni, знаła ją przecież dobrze. Wstawiła wodę. Słyszała go, jak przechadza się w sąsiednim pokoju. Martwiła się o Jeffa. Do tej pory może już zaczął się niepokoić, może nawet poszedł jej szukać. Co robi, gdy zastanie jej domek pusty? Uciekaj stąd, Jeff, póki jeszcze możesz. Ale wiedziała, że tego nie zrobi. .

Nalała dwie filiżanki kawy, dodała śmietanki i zawahała się. Po krótkim namyśle drżącą ręką otworzyła torebkę. Zajrzała i zaczęła w niej szperać, aż znalazła to, czego szukała. Była przestraszona i zdesperowana. Pomyślała jeszcze raz o Jeffie.

Wiedziała, że nie było innego wyjścia.

- A dokąd, według ciebie, moglibyśmy pojechać? - Podała mu filiżankę kawy.

- Za granicę. - Spojrzał na nią z nadzieją. - Myślę, że do Szwajcarii. Mam willę we Francji, ale oni wiedzą o niej. W Szwajcarii bylibyśmy bezpieczni. Mam w genewskim banku trochę pieniędzy. Musielibyśmy zatrzeć za sobą wszelkie ślady. Czas nie pracuje na naszą korzyść.

- Rozumiem.

- Zatem zdecydowałaś, że wyjedziesz ze mną?

- Zastanawiam się. Muszę zebrać myśli.

- Nie ma już na to czasu. Mam dość pieniędzy na podróż do Szwajcarii. Ale musimy się pospieszyć'. Jak tylko się zorientują, zawiadomią Interpol. Zostaniemy aresztowani pod jakimś absurdalnym zarzutem. Wszędzie znajdują się tacy jak Muliman. Będziemy musieli się ukywać.

- Do końca życia?

-Tak.

- Ależ to okropne. Tony. Zostań tutaj. Oni przecież zaopiekują

się tobą. To, że antidotum nie zadziałało, to tylko twoje przypuszczenie.

- W przypadku Evansów nie działało, kiedy robiłem badania. Co prawda dopiero po kilku dniach dochodzi do całkowitego odreagowania, ale już powinny być jakieś widoczne znaki. Mój test wykazał, że ich organizm odrzucił tę substancję.

- Nawet jeśli to nie działa, nie mogą cię z tego powodu zabić.

- Nie chodzi o nich, to ja sam myślałem o tym. Bez potrzeby będą umierać niewinni ludzie, już się tak stało. Gdyby nie ja, nie byłoby żadnego C-551, nikt by nawet o tym nie pomyślał. To ja go przypadkowo odkryłem i podałem ludziom. Jestem już winien śmierci kilkorga ludzi, a będzie ich jeszcze więcej.

- Nigdy nie podejrzewałam cię o posiadanie sumienia. - Patrzyła na niego uważnie.

- Bo nigdy go nie miałem, aż do... aż do tego wypadku z wyciągiem krzeselkowym. Dwie dziewczyny i młody ojciec nigdy nie mieli nic wspólnego z eksperymentem. Tong przynajmniej stanowił dla nas pewne niebezpieczeństwo. Mielismy wpływać na ludzkie emocje, ale nie życie. Kapitan nie podchodzi do tego w ten sposób. To bezduszna maszyna na usługach ministerstwa. Nie myślisz chyba, że rząd mógłby zrobić coś takiego swoim wyborcom, prawda? To znaczy, że śmierć tych ludzi prawdopodobnie pomoże dojść im do władzy. Ależ to cyniczne. Nie chcę mieć z tym już nic wspólnego. Zrobiłem moją część roboty. Jak facet, który znalazł myxometozę, załamał się i wstąpił do klasztoru. Nie zdajesz sobie sprawy z działania wynalazku, aż w końcu jest za późno.

Niemalże mu współczuła. Siedział trzymając pustą filiżankę i patrząc przed siebie, zajęty własnymi myślami. Czekala. Zamknął oczy na sekundę lub dwie i otworzył. Wyglądał na bardzo zmęczonego.

- Oni... nie mogą nas znaleźć - stwierdził po jakimś czasie.

- Kto? - Anna wstrzymała oddech.

Zdawał się walczyć z czymś, zmagać z własnymi myślami, jakby obudził się właśnie z głębokiego snu i próbował przypomnieć wcześniejsze wydarzenia. - Twój mąż... To znaczy, nie chcę skandalu. Romans to wspaniała rzecz, dopóki się nie wyda. - Morton śmiał się pusto.

- Nie znajduj nas tutaj - zapewniła go i wzięła z jego ręki pustą filiżankę. - Odrpęż się. Tony. Wszystko będzie dobrze. Rozwie-

dziesz się ze swoją żoną?

Wydał wargi. - Nie wiem.

- Obiecałeś. Poza tym przecież zamierzamy się pobrać, gdy już będzie po wszystkim.

- Tak, tak, rzeczywiście. - Nie bardzo wiedział o co chodzi. • Naprawdę kocham cię... Anno? - zapytał jakby nie był pewien jej imienia.

Udała, że nic nie zauważyła. - Wiem o tym. Tony, ale to wszystko jest dla ciebie bardzo wyczerpujące. Wciąż te obawy. Teraz jesteś bezpieczny, nikt nie wie, że jesteśmy tutaj. Najlepiej będzie jak położysz się do łóżka, ja przyjdę do ciebie za kilka minut.

- Tak. - Patrzyła na nią pożądlivym wzrokiem. - Tak zrobię. Tyłko nie ociągaj się zbyt długo.

- Dobrze. - Patrzyła, jak niepewnym krokiem wchodzi do sypialni.

Co za niesamowita sytuacja. Kilka minut temu Morton chciał uciekać przed organizacją, do której należał, a teraz stał się zazdrosnym kochankiem. Anna zaśmiała się nerwowo. Nagle droga ucieczki stała przed nią otworem. C-551. Nawrócone sumienie profesora Mortona żąda od niego ostatniej ofiary.

Całe jej ciało drżało. Oni przecież wciąż tu byli. W tym dziwnym obozie czał się agent Muliman.

W tej właśnie chwili ogłuszające walenie wstrząsnęło frontowymi drzwiami.

Rozdział dwudziesty szósty

Dolman otworzył drzwi kaplicy i stanął w nich, wpatrując się w półmrok wnętrza. Świątynie zawsze wprawiały go w zakłopotanie, mimo że był ateistą. Nie wierzył w nadprzyrodzone siły ani dobre, ani złe. Wciąż to sobie powtarzał, ale nie był do końca przekonany. Nigdy nie mógł się wyzbyć pewnego strachu przed takimi miejscami.

Po kilku sekundach wyczuł czyjąś obecność, usłyszał astmatyczny oddech dochodzący z drugiego końca wnętrza. Jednak nikogo nie mógł dojrzeć, tylko rzędy ławek, ambona i ołtarz. Jeżeli ktoś tu był, musiał znajdować się za ołtarzem. Złościło go to, nikt nie miał prawa przebywać tu o tej porze. On to co innego, miał przecież zapasowy klucz. W takim razie czego szukali tu inni ludzie?

Był tylko jeden sposób, by się o tym dowiedzieć. Po cichu, na palcach podszedł do ołtarza i wspiął się po stopniach. Zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. Bez wątpienia ktoś się tam krył. Zapewne jakiś pijaczyna śpi tu sobie spokojnie od kilku godzin. To go jeszcze bardziej rozwścieczyło, pomyślał, że weźmie tego faceta za frak i wyrzuci na zewnątrz. Chciał być tu sam, ta kaplica miała posłużyć mu za kryjówkę na czas, gdy płomienie, które tu wzniecił zaczną rozpalać się i niszczyć tę fortecę kapitalizmu. Wybuchnie tu za moment prawdziwa rewolucja!

Zza ołtarza wynurzyła się postać wychudłego mężczyzny o bladym obliczu, wyglądał jak zmora nocna. Wzniósł swoje kościste ręce, poruszył wąskimi wargami i wyszeptał: - Witaj w Domu...

- Do diabła! - wykrzyknął Dolman i zachwiał się na nogach.

- Ty! - Tamten wyciągnął ku niemu ręce. - Błuznierco, czemu profanujesz Dom Boży?

- A niech to, przecież to ten dewot! - Dolman odetchnął z ulgą. Był zakłopotany, ale poczuł się trochę bezpieczniej. Wprawdzie ostatnią rzeczą, jakiej by teraz pragnął, była dysputa na temat bytu i Boga. - Cliryste, przestraszyłeś mnie.

- Nie wymawiaj imienia Pana Boga swego nadaremnie. - Edward Holman skarcił go przykładnie. To zły znak, gdy ateista wkacza do świątyni. A może jego wcześniejsze słowa przemówiły do tego komunisty tak, że postanowił wstąpić na ścieżkę Pana. To było całkiem możliwe. - Miło cię znów widzieć, przyjacielu, nawet przy tak smutnej okazji.

Dolman pomyślał, że musi wyrzucić stąd tego faceta, jeżeli nie siłą, to choćby namową. Ten stary głupiec do reszty oszalał.

- Stało się coś złego, stary?

- Moja żona odeszła. Ale kimże jestem, by osądzać wolę Boga?

- Przykro mi... to słyszeć.

- Pojawiłeś się w sam raz na ceremonię pogrzebową.

Jezu! Długo tego nie wytrzymam. Trzeba będzie się go jak najszybciej pozbyć. - Przykro mi, ale... mam dużo pracy do zrobienia - odparł Dolman. - Ja tu sprzątam. - Miał nadzieję, że zabrzmiało to dość wiarygodnie.

- Nie sądzę, by było to konieczne. - Holman kiwnął palcem. - Podejdz tu, proszę.

Dolman podszedł do niego i wszedł za ołtarz. Był tam rodzaj alkowy pełnej różnego rodzaju desek, połamanych krzeseł, starych gazet. Wyglądało to jak stos przygotowany do podpalenia. Goś leżało za nim, zauważył stopy i ręce, bladą nieruchomą twarz z zamkniętymi oczyma. O Boże, tu leży martwe ciało!

- To moja żona. - Holman uśmiechnął się z lekkim poczuciem dumy. - Jak już powiedziałem, została wezwana. Zawsze chciała by po śmierci jej ciało zostało poddane kremacji, więc jak mógłbym nie spełnić jej prośby? Postanowiłem, że sam to dla niej zrobię.

- Nie możesz tego zi-obić! - Dolman cofnął się o krok. Prawdopodobnie ten stary dziad sam zabił swoją żonę i w ten sposób chciał pozbyć się zwłok. To wariat. - Spalisz całą kaplicę!

Tamten rozłożył ręce. - W tej sytuacji, myślę, że jest to sprawiedliwe. Ogień to najlepszy sposób, by oczyścić to miejsce grzechu. Mam błogosławieństwo od Boga. I oczywiście mam zamiar towarzyszyć mojej drogiej żonie w drodze do Najwyższego. Teraz, jeśli pozwolisz, pójdę po modlitewnik. Myślę, że to miejsce za ołtarzem najlepiej się do tego nadaje, prawda? Trzeba umierać z twarzą zwróconą ku Bogu.

Dolman cofnął się jeszcze o krok. Trzeba zatrzymać tego szaleńca. Ta kaplica to przecież schronienie. Ktoś, z kim miał się tu spotkać, może pojawić się lada chwila, a poza tym ogień sprowadzi policję. Nie namyślając się długo, podniósł odkłamaną nogę od krzesła i schował ją za plecami. Czekał, nasłuchując kroków powracającego wdowca.

- Może mógłbyś uklęknąć ze mną przed ołtarzem na krótką modlitwę. - Holman wszedł do alkowy wertując jakąś książeczkę. - A,

tutaj jesteś. Muszę ci powiedzieć jak bardzo cieszę mnie, że odnalazłeś prawdę i odrzuciłeś ateizm, mój przyjacielu. Chyba zapomniałem jak się nazywałeś.

- Dolman. - Cofnął się i uklęknął z pochyloną głową.

- Dohnan i Holman, ha, ha, zabawne. Skierujmy nasze myśli...

W tym momencie Dolman uderzył go. Modlący się człowiek upadł na twarz, krew spływała po jego ramieniu. Bez jęków i bólu, zmarł natychmiast.

Dolman patrzył na niego i zdał sobie sprawę, że w ciągu tych kilku sekund stał się mordercą. Przedtem często był świadkiem śmierci i przemocy, ale nigdy sam nie zabił. Kiedyś w czasie pikiety zginął policjant, ale on nigdy nie miał z tego powodu wyrzutów sumienia. Wtedy kto inny zabił. Teraz opanowała go groza, ręka mu drżała, drewniana pałka uderzyła o podłogę. "Ten głupi staruch pozbawił życia żonę, więc to samo mógł zrobić ze mną. To była samoobrona. Przecież nigdy nie będę musiał się z tego tłumaczyć. Wkrótce cały ten obóz wybuchnie jak wulkan" - tłumaczył sobie.

Dolman opanował wzrastającą panikę i zaczął wlec martwe ciało za ołtarz. Holman był zadziwiająco ciężki jak na swój wygląd. Na podłodze za nim tworzył się ślad krwi. Z największym wysiłkiem dźwigał ciało i położył na stosie. Teraz wystarczyło tylko podpalić. Wszystko w swoim czasie. Gdy znalazł się znowu przed ołtarzem, usłyszał zgrzyt otwieranych drzwi. Ktoś wszedł i zamknął je za sobą.

Ten młody człowiek nazywał się John Smith i był zdaje się siostrzeńcem Artura Smitha. Miał na sobie błękitny garnitur, białą koszulę i starannie zawiązany krawat. Wyglądał jak urzędnik. Krótko ścięte włosy, okulary i dobre maniery. Dolman przywitał go z pewnym lękiem. Ponoć widywano go wszędzie, gdzie tylko dochodziło do większych rozruchów, a szczególnie na stadionach Anglii i pozostałych krajów Europy. Smith chwalił się, że był jednym z organizatorów zamieszek na stadionie Heysel w 1985 roku. Był szczególnie dobrą figurą wśród głupców, lubujących się w rozlewie krwi. Każdą swoją akcją najpierw precyzyjnie planował. Szczególnie lubił przygotowywać je w dwóch miastach równocześnie, co bardzo dezorientowało policję. Poza tym udostępniał swoim chłopcom szczególne rodzaje broni - duże proce i kusze. Przekształcał niesforny motłoch w zorganizowaną armię. Teraz z podnieceniem oczekiwał następnej okazji, która ukazałaby jego umiejętności.

- To tylko mała sprzeczka. - Dolman zauważył, że przybysz zainteresował się śladami krwi na podłodze. - Nic, czym moglibyśmy się martwić.

- Ja niczym się nie martwię. Chłopcy są gotowi, nie mogą ich dłużej powstrzymywać.

- Jutro w nocy...

- Dziś w nocy! - Smith uśmiechnął się zajadle. - Za godzinę. Nie chcą dłużej czekać.

- Ale musimy otworzyć bramę...

- To już zrobione! - Smith wyciągnął klucz i zaśmiał się. - Namówiłem wujka Artura, by mi go oddał. Chłopcy cały dzień ostrzyli broń. Kilku kierowców straciło pewne części od swoich wozów, a przed restauracją sprzątają teraz stłuczone szkło. Nikt nie widział jak tu wchodził. Mają ze sobą kusze i proce. Jezu, to dopiero będzie zabawa!

Dolman starał się ukryć swoje zmieszanie. Nagle wszystko potoczyło się zbyt szybko. Patrzył na tamtego z oburzeniem, ten dzieciak chciał go ubiec. To nie byli buntujący się robotnicy, to były dzieciaki, wandy, którzy nigdy w życiu nie pracowali. To już co innego.

- Jutro zadzwonię do prasy londyńskiej - dodał Smith. - Niech sami wyciągną wnioski. Wiesz, zrzucą winę na Front Narodowy, niedobrze mi się od tego robi. To nasz pokaz i zapewne będzie sporo rannych i co najmniej kilku zabitych. Nie mówiąc już o tych świniach, które tu noszą się na szaro. - Fanatyzm przemawiał przez tego człowieka. - Ty wszystko zacząłeś, rozumiem. - John Smith poszedł za śladem krwi i zajrzał za ołtarz. - Dwoje! Co chcesz zrobić, spalić ich?

- Jeszcze się nad tym nie zastanawiałem.

- To proste. - Jakby od niechcenia zapalił zapałkę i zaraz zgasił. - Dziś w nocy będzie wiele pożarów.

- Zaczekaj, jeszcze nie zaczęliśmy.

- Ta kaplica będzie się dobrze paliła. To mógłby być znak dla reszty chłopców. - Smith znów zapalił zapałkę. - Lubię ogień.

Obaj odwrócili się instyktownie. Poczuli, że nie są sami, chociaż nie słyszeli zgrzytu otwieranych drzwi. Przed nimi stał mężczyzna, ręce trzymał w kieszeniach marynarki, twarz ukryta była w cieniu. Widać było tylko białą linię zębów, gdy się uśmiechał.

- Kim jesteś, do cholery? - zapytał John Smith.

Przybysz nie odpowiedział, wyjął za to z kieszeni pistolet i wy-celował w Dolmana. Padł głuchy strzał. Johnowi wydawało się, że głowa jego towarzysza eksplodowała. Krew rozprysła się na wszystkie strony. Patrzył przerażony jak Dolman opada na podłogę. Po-tem z nim stało się to samo.

Muliman schował pistolet i podszedł kilka kroków w stronę oł-tarza. Smith i Dolman leżeli obok siebie. Rozdzielił ich czubkiem buta i najpierw podniósł młodszego. Zaciągnął go za ołtarz. Spoj-rzał na dwa leżące już tam ciała i dołożył do nich trzecie, potem poszedł po czwarte. "Ależ okropna kostnica" - pomyślał. "Nie, ra-czej krematorium".

Przyjrzał się leżącym zwłokom, były blade, czekające na po-grzeb. Z Dolmanem nie miał żadnych problemów, mógł mieć go wcześniej, ale wstrzymał się trochę i oplotło się. Policja od dawna usiłowała złapać Johna Smitha, ale to już nigdy nie nastąpi.

Muliman potarł zapalną, przyłożył do gazety, odczekał chwilkę i rzucił płonący papier na ułożony stos. Odwrócił się i podszedł do drzwi, kierując swoje myśli w stronę Jeffa Beebee. Rankiem zda kapitanowi raport, że oba zadania zostały wykonane. Potem, jak zwykle, dostanie następny rozkaz.

Gdy wyszedł na zewnątrz usłyszał strzały i krzyki, eksplozję bomby, gdzieś wybuchł pożar. Schował się w cień, poczuł jak krew pulsuje mu żywiej w żyłach. Maszyna do zabijania gotowa była do akcji. Śnił o tym każdej nocy, walka, jakiej nie przeżył jeszcze od czasów wojny w Angoli.

Zniknął w ciemnościach podążając w kierunku zamieszek.

Rozdział dwudziesty siódmy

Anna wyszła z domku Mortona i wzdrygnęła się. Nie z zaskoczenia, że zastała tam Jeffa, sprawił to raczej wyraz jego twarzy. Z jednej strony wydawał się szczęśliwy i zadowolony ze spotkania, z drugiej surowy i zły. Wargi miał ściśnięte, oczy zmrużone.

- Jeff! - To niemożliwe, przecież on nic nie wiedział o tym miejscu.

- Ale ze mnie dureń. - Pchnął delikatnie nogą drzwi. - Dwa razy w ciągu dwóch tygodni. Jak można być takim głupcem.

- Ty nic nie rozumiesz. - Przecież nigdy nie wiedział dostatecznie dużo, by móc zrozumieć. - Mogę ci wszystko wytłumaczyć...

- Oczywiście, że możesz. Dobrze ci się żyje z tym twoim szefem, to zbyt dobra partia, by móc z niej zrezygnować. I było ci mało, chciałaś mieć jeszcze młodego zalotnika do pary? Ale z tym już koniec.

- Jak mnie tu znalazłeś?

- Droga dedukcji, mój Watsonie. - Kopnął ze złością drzwi. - Nie było cię w domu, więc musiałaś być u szefa. A gdzież można znaleźć szefa jak nie w luksusowych apartamentach przydzielonych personelowi obozu? Jest ich sześć, ale nie musiałem wszystkich sprawdzać, tylko w jednym paliły się światła, rozumiesz teraz?

- Chciałabym ci to wyjaśnić. - Była błada i cała się trzęsła. Zaglądała przez drzwi do wnętrza domku. - Myślę, że najlepiej będzie powiedzieć ci wszystko, teraz nie ma już potrzeby, by cokolwiek ukrywać.

- Rzeczywiście, nie ma. - Otworzył drzwi na oścież. - Nie próbuj dłużej robić ze mnie głupca.

- Nie, Jeff, proszę! - Próbowała go zatrzymać, ale odepchnął ją i wskoczył ze złością do przedpokoju.

W tym momencie z sypialni doszedł ich zdesperowany okrzyk. - Anno, idziesz do łóżka? Czekam na ciebie!

- Idź i baw się dobrze! - kTzyknął do niej Jeff i wybiegł na ulicę.

Po chwili rozległ się huk kilku bomb i wystrzałów, który wstrząsnął całym obozem.

- Kiedy powiem "pal", to pal. Albo wynoś się z miasta! Przed rewolwerowcem stała grupa ostrzyżonych młodzieniaszków.

Strzelec patrzył na nich swym nieustraszonym wzrokiem, gotowy do ostatniej gry. - Pal!

Jego ręka sięgnęła po rewolwer, wycelował w stojącego naprzeciw człowieka. Ale zanim doszło do strzału, ktoś rozbił o niego butelkę i całą postać zajął słup płomieni. Coś zaczęło skwierczeć, dymie, a on patrzył na chłopców z nieugiętą miną. Neonowy napis "CHYBIONY" zapalił się nad nim i zgasł. Reszta graczy zaczęła krzyczeć i wpadła w popłoch, wszyscy rzucili się ku wyjściu ewakuacyjnemu. Uciekający tłum tratował dzieci. Ale zanim rygiel metalowych ogniotrwałych drzwi został podniesiony, coś uderzyło w nie, a słup ognia wzbil się aż po sufit. Gniazdzka zasilające maszyny do gry zaczęły wybuchać. Ludzi ogarnęło krańcowe przerażenie.

Płomienie szybko rozprzestrzeniały się do innych pomieszczeń. Słychać było tłuczenie szkła, trzaski i krzyki uwięzionych w budynku ofiar.

Potem eksplodowały pompy na stacji benzynowej, niebo zasnuły kłęby czarnego dymu. Z ciemności zaczęły wyłaniać się grupy atakujących młodych ludzi, po czym zeszły się w centrum obozu. Mieli ze sobą śmiercionośne kusze i proce i strzelali z nich do uciekających ludzi. Bandyci w końcu wzięli ich w krzyżowy ogień, jeden z pocisków trafił dziecko. Rozległ się przeraźliwy krzyk matki, aż i ją dosięgła strzała z kuszy.

Budynek salonu gier cały już płonął. Ktoś wewnątrz wołał o pomoc, która nigdy nie miała nadejść. Oślepiiony mężczyzna wpadł na grupę skinheadów, kołyszący się łańcuch rowerowy powalił go na ziemię, olbrzymie buty zdruzgotały mu kości.

Przez otwartą bramę wtargnęły samochody ukradzione z parkingu, które poruszały się po ulicach z szaloną prędkością, Ludzie próbowali uciekać, ale noże i łańcuchy zmusiły ich do zejścia na ulicę. Zaczęli biec, kilkoro z nich potknęło się i upadło, modląc się, by teraz właśnie nie przejeżdżał tędy oszalony kierowca. Płacz podniósł się ponad tym płonącym piekłem. Śmierć odnosiła swój triumf.

Muliman schował się za murkiem ogładającym tor dojazdowy na wrotkach. Trzymał w dłoni pistolet, patrzył i czekał. Następna eksplozja i czerwone płomienie rozświetliły niebo. Znowu podniósł się krzyk, a potem odgłos szybkich kroków.

Inna grupa bandytów zagroziła drogę uciekającym. Muliman usłyszał świst rozcinających powietrze łańcuchów, trzask kusz. I

grzmiący śmiech.

Przekłete szumowiny! Uniósł swój pistolet, czekał na właściwy moment. Na tarasie salonu gier toczyła się prawdziwa gra w zabicie. Gra o życie i śmierć. Padł niesłyszalny w zgiełku strzał. Jeden z atakujących zatrzymał się, oparł o balustradę tarasu i upadł na ziemię. Nikt nie zwrócił na to uwagi. Potem następny; stał kilka sekund, tak że strzelec myślał już, że chybił. Ale raptem kolana ugięły się i ofiara upadła na twarz.

- Co jest, do cholery? - Wybuchła panika. Muliman zastrzelił następnego, lecz tym razem zauważono go. Młody skinhead upadł na środku ulicy. Miał służyć dla reszty za przestrożę.

Ludzie z szalonym strachem w oczach zaczęli uciekać do domków. Ojcowie nieśli dzieci, matki krzyczały histerycznie. Muliman widział jak biegnący tłum tratuje jego ostatnią ofiarę.

Pojawiła się policja i karetki pogotowia migocące niebieskimi światłami. Za nimi straż pożarna, nie mogli przejechać, gdyż na drodze leżały trupy i ranni. Oddział umundurowanych mężczyzn zbierał ciała i układał na chodniku. Gdzieś wybuchła następna bomba. Płomienie zajmowały jeden budynek za drugim. Wnętrze salonu gier było już całkiem wypalone, spadały belki, unosiły się gigantyczne chmury iskier. Muliman podszedł do końca ulicy i z satysfakcją przyglądał się płonącej jasno kaplicy.

W tej sytuacji nie było szans na znalezienie Beebee, być może nawet ten człowiek już nie żył. Muliman załadował pistolet i wsadził go do kieszeni. Głaskał pieszczotliwie palcami stalową lufę. Wokół wrzała bitwa. Ale on musiał najpierw skontaktować się z kapitanem.

- Niech cię wszyscy diabli! - Kapitan przypominał teraz Mulimanowi rozwścieczonego krasnala. - Niech cię diabli! - I po raz trzeci. - Niech cię diabli!

Już od dawna był najemnik nie czuł się tak nieswojo. Miał wrażenie, że jest chłopcem karconym przez nauczyciela. Biuro szefa wyglądało jak po przejściu huraganu, widocznie szukał czegoś w pośpiechu. Sterta papierów porzuczanych na biurku, pootwierane szuflady. Atmosfera zupełnego chaosu.

- Co za głupia, idiotyczna myśl przysła ci do głowy! - Kapitan uniósł zacisnięte pięści i dwa razy uderzył nimi w biurko. - Wszystko spartaczyłeś. Jak twoim zdaniem uda nam się zatuszować fakt,

że w ciałach kilku ofiar tkwią kule z pistoletu? Policja nie ma prawa używać do tłumienia zamieszek nawet kauczukowych pocisków, A tu nagle coś takiego!

- Zbiorę ich wszystkich. - Muliman utrzymywał pozory pewności siebie. - Pozbędę się ich.

- Mogłeś pomyśleć o tym wcześniej. W ogóle powinieneś się częściej zastanawiać, zanim naciśniesz spust. Jesteś szaleńcem, Muliman. Gdybyś wrócił do normalnego społeczeństwa, zostałbyś mordercą. My cię chronimy, dzięki nam twoje zbrodnie ujdą ci bezkarnie. A ty w zamian za to wpakowałeś nas w gówno.

Muliman stał niewzruszony. Czekał na rozkaz. Kapitan zaczerpnął powietrza i pochylił głowę. - Cóż, dostałeś Dolmana, to już coś, nawet jeśli stało się to zbyt późno. Czekaliśmy na strajk robotników, a zamiast tego dostaliśmy "to". Letni festiwal chuliganów! Ale prasa będzie miała frajdę!

Zapadła grobowa cisza, kapitan otworzył szafkę i wyjął wykaz nazwisk, większość z nich podkreślona była czerwonym atramentem. Eksperyment z preparatem C-551 wyglądał coraz gorzej. Tym bardziej, że nie było antidotum. Zatrzeć ślady... Tak szybko, jak to tylko możliwe.

Nawet tu słychać było zgiełki rozruchów. Pojawiło się więcej wozów policyjnych i strażackich. Czuć było swąd spalenizny.

- Nasi ludzie dostali polecenie opuszczenia obozu. Od tej chwili wszystko przechodzi w ręce policji. Bóg wie, ile im zajmie doprowadzenie tego wszystkiego do ładu. Czegoś takiego nigdy w życiu nie widziałem. Miejmy nadzieję, że cały ten obóz wypali się do szczętu. - Spojrzał z naciskiem na Mulimana dając mu do zrozumienia, że nie pozwoli mu na przyłączenie się do rozruchów. - Nie mogą zacząć kojarzyć nas z tymi wypadkami. Martwi mnie tylko tych kilku zastrzelonych chuliganów. - Złość już mu minęła.

Muliman przestąpił z nogi na nogę. Szef nie wezwałby go tylko po to, by go zbluzgać.

- Beebee może być już martwy - powiedział kapitan beznamiętnym tonem. - Nie możemy tego sprawdzić. Poza tym jest jeszcze Morton. I Stackhouse. Zapewne zaczną uciekać. Nie możemy ryzykować.

Muliman kiwnął głową. - Znajdę ich. Beebee także.

- Dobrze. - Machnął ręką zwalniając go, ale po chwili dodał jeszcze. - Zostaw broń.

Muliman zatrzymał się, wyciągnął z kieszeni **pistole!** i położył ostrożnie na biurku. Odwrócił się i wsadził rękę z powrotem do kieszeni. Wciąż miał jeszcze stalową linę.

Rozdział dwudziesty ósmy

- Jest mi okropnie przykro, że macie państwo przez nas tyle kłopotów. - Ubrany w popielaty mundur strażnik wszedł do szarego pokoju, gdzie siedziała para nagich ludzi. - Okazało się, że zaszła pomyłka. Jesteście państwo wolni.

Billy Evans zmrugał oczy i zawiązał na biodrach ręcznik. Valerie owinęła się w podobny. Byli zawstydzeni swoją nagością, ale wiadomość, że są wolni uradowała ich. Lepiej iść, zanim ci dranie nie zmienią zdania.

- Nie znalazłeś dla nas przypadkiem czegoś do ubrania? - przypomniał Billy.

- Przykro mi, nie znalazło się nic, co mogłoby na pana pasować. - ale jeżeli wróci pan do swojego... domu, wszystko będzie w porządku. - Odsunął się i pozwolił im wyjść, zgodnie z poleceniem szefa.

- Nabawimy się zapalenia płuc - dodał jeszcze Billy spoglądając na żonę z nadzieją, że tamten obdarza większymi względami piękną.

- Przestał padać śnieg - powiedział strażnik z niepokojem w głosie. - Radziłbym się państwu pospieszyć.

- Co się dzieje? - Billy spojrzał na rozpalającą się lunę. Popatrzył na sąsiedni budynek. W oknach było ciemno, drzwi pozamykane, ci łajdacy zamknęli wszystko i wynieśli się do domu.

- To wygląda jak pokaz sztucznych ogni - stwierdziła Valerie.

- Co, fajerwerki, kiedy wszystko tonie w śniegu, a ludzie próbują stąd uciekać?

-Może nie jest tak źle.

- Jest cholernie zimno - mruknął. - Chodźmy, nie ma czasu do stracenia. - Zatrzymał się i spojrzał na nią zmartwiony. - Pamiętasz drogę do domu. Val?

Potrząsnęła głową. - Nie, ale myślę, że nie szliśmy do domu - tylko na południe, tak jak inni.

- Musimy iść do domu po ubrania. Chodźmy już, rozpoznamy go jakoś, nie możemy stać tu bez końca. I patrz uważnie, czy nie ma tu gdzieś w pobliżu tych chuliganów. -Spójrz tam, pali się jakiś budynek. Zresztą to nas nie dotyczy.

Valerie zawiązała ciasniej ręcznik. Nie z powodu zimna, lecz na wspomnienie wcześniejszych upokorzeń. Ci odrażający ludzie

skrzywdzili ją i powinni zostać wtrąceni do więzienia. Albo nawet wykastrowani. Na szczęście nie dotknęli jej. Ale i tak na samą myśl o nich robiło jej się niedobrze.

Ludzie mijali ich w pośpiechu. Przestraszona kobieta niosła na rękach płaczące dziecko. Wokół panowała panika. Valerie przerażała się i złapała męża za rękaw. Czy w tym zamieszaniu znajdą drogę do domu?

Nagle jak spod ziemi wyrosła przed nimi grupa ludzi. Wyglądali jak ci, których spotkali rano. Billy zatrzymał się, zrobił krok do tyłu.

- Czy to znowu oni, Billy? - wyszeptwała.

Nie odpowiedział. Czterech czy pięciu łobuzów posuwało się wolno w ich kierunku, wymachiwali czymś i rozrzucaли dookoła płonące pochodnie.

- Oni nic na sobie nie mają! - krzyknął ktoś wesoło i reszta odpowiedziała śmiechem. - Wracają dopiero z plaży! Przeszła wam koło nosa cała zabawa. Ale nic nie szkodzi, lepiej późno niż wcale!

Billy usłyszał silny trzask i silny podmuch wiatru zwałił go na ziemię. Skurczył się, zapłakał z bólu, a wtedy spadły na niego kamienie.

Valerie po kilku ciosach również upadła obok męża. Próbowwała dłońmi zakryć twarz, ale nie mogły one stanowić przeszkody dla grubych stalowych łańcuchów. Krew zalewała jej oczy, więc zacisnęła powieki. Słyszała, że coś kołysze się nad nią ze świstem i spada na jej plecy. Zaczęła krzyczeć i płakać, choć usta miała pełne krwi.

Wtedy ciężkie buty ze stalowymi okuciami zaczęły miażdżyć jej kości z bezlitosną zaciekłością. Dwie nagie ofiary z trudem usiłowały zachować przytomność, aż w końcu ciemność zamknęła się nad nimi.

Profesor Morton siedział nagi na brzegu łóżka. Na twarzy widniał grymas zniecierpliwienia. Czuł się jak nowożeńiec w noc poślubną czekający, aż panna młoda wyjdzie z łazienki. Bolała go głowa, zapewne od wina, chociaż nie mógł sobie przypomnieć, czy pił dziś cokolwiek. To musiało być przy kolacji, chociaż nie, kolacji też nie pamiętał. Poza tym nie było sensu, by wracać do przeszłości. Teraz ważniejsza była najbliższa przyszłość. Miał niejasną świadomość tego, że spędzał właśnie potajemnie urlop z czyjąś żoną.

On nie był żonaty, więc to było oczywiste, że należało się martwić o męża Anny. Nie chciał żadnych awantur ani skandali.

Próbował ją sobie teraz wyobrazić. Ciemne włosy, długie, czy krótkie? To nie miało znaczenia. Cliryste, gdzie ona się podziiała? Wszystkie kobiety lubią takie podniecające zabawy. Ale on nie potrzebował już żadnych podniet! Zaśmiał się. Alkohol, jaki by nie był, nie był w stanie wpłynąć na jego potencję.

Usłyszał otwierające się drzwi. Nie widział zbyt wyraźnie. Powinien założyć okulary, ale niech tam, nie może iść do łóżka z dziewczyną w okularach. Spojrzał na postać stojącą w przedpokoju. Wyglądała chyba nieco inaczej, ale nie był tego pewien. Jej włosy jednak były krótkie i jaśniejsze niż przedtem. Zresztą, czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? Do diabła, wciąż była ubrana.

- Cześć, Anno! - przywitała ją.

- Jesteś w świetnym nastroju, kochanie. - Jej głos również brzmiał inaczej, był niższy i silniejszy.

- Byłbym w lepszym, gdybym nie musiał tak długo na ciebie czekać.

- Ależ nie wyglądasz na zbyt nieszczęśliwego. - Postać podeszła do okna, odsłoniła zasłony, wyjrzała na zewnątrz.

- Co to za wrzaski - zapytał profesor.

- Nie powinno cię to martwić. - Stała za nim, głaskała palcami jego kark. Zachichotał i oparł się o nią. Oddał się jej pieszczotom. To było takie przyjemne.

- Nie masz ochoty, by się rozebrać? - Ta gra miłosna była wspa-
niała, ale trwała już zbyt długo.

- Wszystko w swoim czasie. - Jej ręce cofnęły się, a potem zbli-
żyły się znowu i zaczęły nakładać coś wokół jego szyi.

- Co to jest?

- Masz łaskotki, prawda? - drażniła się z nim.

- We właściwych miejscach. - Cokolwiek to było, zaczynało go
dusić.

- Ja robię to bardzo dokładnie. - Głos stał się jeszcze bardziej
chrapliwy.

- Hejże! - Podniósł ręce do gardła usiłując oderwać to coś, co
owinęło się wokół jego szyi, co mogło go udusić.

Pęta zacisnęła się i wbiła w tchawicę. Próbował krzyczeć, ale
już nie mógł. Nie mógł też złapać oddechu, zaczął kopać nogami i
wymachiwać rękoma. Resztkami sił przekręcił głowę i rozpoznał

zamglony obraz. O Boże, to był mężczyzna.

Ogarnęło go przerażenie, ale napastnik był bardzo silny. Bezlistosne oczy i stalowy uścisk rąk. Tony Morton poddał się w końcu i opadł bezwładnie na łóżko.

Muliman odczekał jeszcze kilka chwil, nie zwalniając pętli. Kiedyś uwolnił swoją ofiarę zbyt szybko i po kilku dniach przekonał się, że "martwy" wciąż chodził. Nie chciał popełnić tego samego błędu po raz drugi.

Gdzie teraz mogła być ta dziewczyna? Z pewnością nie było jej w tym domku, sprawdził go przecież dokładnie. Zapewne zaciągnęła tu tego słodkiego ojczulka, nakarmiła tabletką C-551 i uciekła. Podła suka! Profesor pozwolił sobie na luksus, by myśleć o niej nieprofesjonalnie. Muliman pomyślał, że gdyby tu wróciła, co nie było zbyt prawdopodobne, pozwoliłby sobie na kilka minut przyjemności z nią. Mogłaby nawet walczyć, to mu nie przeszkadzało, było nawet podniecające.

Minęło dużo czasu odkąd Muliman był z kobietą. Nauczył się nie myśleć od nich w kontekście seksualnym, ale tym razem...

Zaczynał czuć podniecenie. Jako dorastający chłopak doprowadził swą zdolność samozaspokajania do perfekcji. Osiągał to bez dotykania siebie. Poza tym dużo przyjemniejsze wydawało mu się pobudzanie tego wrażenia bez spełniania. Odczuwanie pojawiającej się i walczącej o ujście na zewnątrz energii.

Morton już nie żył, ale on wciąż zaciskał pętlę na jego szyi. To samo mógłby zrobić ze Stackhouse, trzymać ją tak aż do końca. Potem leżałaby, aż ktoś by ją znalazł. Uśmiechnął się na tę myśl.

Wyobrażał sobie tę dziewczynę nagą, opierającą się. Pięknie! Długo nie mógł czekać, musiał ją szybko znaleźć. W tym momencie zimny pot oblał mu twarz, gdyż zdał sobie sprawę, że ktoś otworzył frontowe drzwi i obserwował go. To ona, to musiała być ona! Dalej, wejść, moja droga, jestem już gotów. Zepchniemy tego łotra na podłogę i...

Nagie tuż za nim rozległy się brzęk tłuczonej o ścianę butelki. Instynktownie padł na podłogę, by uchylić się przed ciosem. Sięgnął ręką do kieszeni, ale nie było tam pistoletu. Położył się płasko na podłodze za łóżkiem i rozejrzał wokół.

W tym momencie cała sypialnia stanęła w płomieniach.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Wzdłuż szarej mglistej plaży szło dwoje samotnych ludzi. Pod stopami mieli mokry piasek. Ciemne morze przelewało się zaledwie sto metrów od nich. Powietrze przepęnlone było wilgocią. Upalne słoneczne dni skończyły się już na tym wybrzeżu.

Trzymali się za ręce i co chwila spoglądali za siebie, zatrzymywali się nasłuchując, jakby obawiali się pościgu.

- Nigdy nie będziemy bezpieczni - powiedziała Anna zdyszczonym głosem. Bez względu na to, dokąd pójdziemy, zawsze będziemy oglądać się za siebie. Uciekać przez całe życie, bać się, że pewnego dnia znajdą nas.

- Może powinniśmy zgłosić o tym prasie - zaproponował bez przekonania Jeff. - Rozdmuchamy całą tę sprawę i będą musieli za wszystko odpowiedzieć.

- Nikt nam nie uwierzy - odpowiedziała. - Nie mamy żadnych dowodów. Eksperment nie udał się, więc zatrą wszystkie ślady i zaczną od początku w innym miejscu.

Szli dalej w milczeniu. Gdyby mieli dość sił, biegliby. Ale nie mogli już posuwać się szybciej. Z radością przespaliły się kilka godzin w jakiejś jaskini, gdyby taką znaleźli. Wtedy mogliby uciekać znowu, jak najdalej od obozu.

I tak mieli dużo szczęścia, że się odnaleźli. Jeff nie chciał nawet myśleć o tym, co by się stało, gdyby po wyjściu z domku Mortona nie zauważył tej bandy skinheadów. Miał przez to czas, by pobiec z powrotem do Anny. Razem uciekli przez dziecięcy plac zabaw, potem w dół przez pole wyścigów i na wydmy. Tam leżeli w długiej ostrej trawie nasłuchując odgłosów walki, krzyków rannych, syreny policyjnej, karetek pogotowia i straży pożarnej.

Tam Anna opowiedziała mu całą historię. Z początku nie mógł w to uwierzyć. Ale po namyśle zdał sobie sprawę, że to wszystko pasowało do zaistniałych tu zdarzeń i jego własnych przypuszczeń. Oboje ich opanowała złość i strach. Rząd próbuje manipulować ludzkim życiem tak, jak to robili naziści już prawie pół wieku temu. Igranie z ludzkimi emocjami i przekształcanie ich życia w wyimaginowane istnienie, podczas gdy niemożliwe okazuje się odwrócenie tego procesu. Ludzie umierali i nikt nie miał zamiaru ponieść za to konsekwencji.

W historii zapisze się to wydarzenie jako zamieszki wywołane

przez chuliganów, podobnie jak na stadionie Heysel. Wszystko zostanie oczyszczone, a zabici pogrzebani. A potem wszystko zacznie się od nowa.

Zacząło padać. Znaleźli małą grotę, a raczej zagłębienie w skale pełne morskich wodorostów. Od morza nadchodziła gęsta mgła, która jak szara kotara zaczęła zasłaniać pozostawione za nimi miejsce wstydu, odgrodziła ich od tego straszego świata, który teraz mógł istnieć już tylko w ich torturowanych umysłach. Jak zły sen. Chcieli tylko obudzić się i stwierdzić, że tamto zniknęło na zawsze. Byli zbyt wyczerpani, by móc myśleć inaczej.

- Jest pewna rzecz, która martwi mnie najbardziej. - Anna usiadła na dnie pieczary i oparła się plecami o skałę. - Wiemy wszystko o tym, co wydarzyło się w tym obozie. Ale przecież na tym nie koniec. To może jeszcze zdarzyć się wszędzie wokół nas, w każdej chwili.

Pytanie nie wymagało odpowiedzi, a Jeff był i tak zbyt zmęczony, by szukać jakiegokolwiek. Po chwili oboje zasnęli, ciesząc się tą krótką chwilą wytchnienia.

GUY N. SMITH - urodził się w **1939** roku w Anglii. Jego matka była autorką powieści historycznych, co niewątpliwie wywarło wpływ na zainteresowania pisarskie syna. Jako dziewięcioletnie dziecko "wydawał" raz **W** tygodniu komiks - sześć stron obrazków i historyjek. Pierwsze opowiadanie opublikował w wieku dwunastu lat w lokalnej gazecie "Tettenhal Observer", z którą potem współpracował przez dłuższy czas. Ponieważ ulubionym gatunkiem pisarza był horror, nawiązał kontakt z czasopismem "LondonMystery Magazine", gdzie w latach **1972-1982** opublikował **17** opowiadań. W tym czasie wydał książkę "Noc krabów", która odniosła natychmiastowy sukces. Zachęcony powodzeniem Guy N.Smith stworzył ponad osiemdziesiąt powieści, z czego na polskim rynku dzięki Wydawnictwu Phantom Press International dostępne są następujące pozycje: cykl **KRABY**, cykl **SABAT**, "Dzwon śmierci" I i II, "Trzęsawisko" I i II, "Mania", "Węże", "Neofita". W najbliższym czasie ukażą się: "Szatański pierwiosnek", "Obóz", "Szatan", "Niewidzialny", "Fobia".